

# ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

Rok LIX  
Kraków  
MARZEC  
(3) 2005  
598

## O Iustracji O Instrukcji!

Ks. Adam Boniecki, Halina Bortnowska,  
Jarosław Gowin, Józefa Hennelowa,  
Władysław Stróżewski, Karol Tarnowski,  
ks. Tomasz Węclawski, Stefan Wilkanowicz,  
Elżbieta Wolicka, Henryk Woźniakowski

O najnowszej książce Jana Pawła II

Młoda muzyka



[www.miesiecznik.znak.com.pl](http://www.miesiecznik.znak.com.pl)

ISSN 0044-488X  
INDEKS 383716

Cena 18 zł  
(VAT 0%)

Na okładce wykorzystano pracę

**Adama Marczyńskiego**

*Rdza, 1959*

blacha, tempera na drewnie

ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie

## Od redakcji

*Chrześcijańska droga ku uzdrowieniu społeczeństwa  
dotkniętego przez nienawiść i zdradę prowadzi między  
dwoma skrajnościami – zemstą i przemilczeniem winy.*

(ks. Tomáš Halík)

W gronie przedstawicieli Znak i „Tygodnika Powszechnego” lustracja ma swoich orędowników i przeciwników. Tych pierwszych zapytaliśmy, czy można dokonać rozliczenia z przeszłością, tak by nie było ono odwetem? Tych drugich – czy można zrezygnować z lustracji, nie bagatelizując równocześnie popełnionego zła? Podsumowaniem tych rozważań jest artykuł ks. Tomasza Węclawskiego, osadzający ów problem w szerszym, teologicznym kontekście zdrady, sprawiedliwości i przebaczenia.

Uwadze Czytelników polecamy również tekst Marka Lasoty o działaniach SB podjętych w czasie pierwszej pielgrzymki Papieża do Polski. Ponadto w numerze znaleźć można m.in. esej Paula Ricoeura *Między pamięcią a historią* oraz omówienie najnowszej książki Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość*.

„Nie ma zła, z którego Bóg nie mógłby wyprowadzić większego dobra – pisze w swojej książce Papież. – Cierpienie Chrystusa otwiera drzwi nadziei na wyzwolenie (...). Ono pali i pochłania zło ogniem miłości i wyprowadza nawet z grzechu wielorakie owoce dobra”.

Takiego właśnie „przemienienia” i oczyszczenia życzymy z okazji Świąt Wielkiej Nocy wszystkim naszym Czytelnikom i sobie samym.



Arkadiusz Stempin

## Polacy są z Marsa, Niemcy z Wenus?

O ile „aspekt niemiecki” wdiera się nawet do polskiej polityki wewnętrznej, o tyle „aspekt polski” mało obchodzi decydentów politycznych w Berlinie.

Odległe to czasy, kiedy wysiadający z limuzyn zajeżdżających pod urząd kanclerski w Bonn i Berlinie kolejni polscy premierzy opędzali się jak od dokuczliwych komarów przed oczekującymi ich dziennikarzami, którzy próbowali doszukać się choćby najmniejszych pęknięć w stosunkach polsko-niemieckich. Na twarzach polskich gości malowało się polityczne zadowolenie i niewymuszony optymizm. Nie mniej radośnie promieniowało oblicze Stanisława Stommy, nestora polsko-niemieckiego pojednania, już w marcu 1994 piszącego o nowej jakości we wzajemnych stosunkach, o których żaden z polskich polityków międzywojennych nie mógł nawet marzyć<sup>1</sup>. Z kolei Władysław Bartoszewski w intensywności toczzonego w latach 90. politycznego dialogu dopatrywał się cudu<sup>2</sup>. W ten sam cud zbliżenia uwie-

<sup>1</sup> S. Stomma, *Horyzonty przewidywalności i granice możliwości*, „Tygodnik Powszechny”, 13.03.1994.

<sup>2</sup> *Tyle dynamiki, ile realizmu. Rozmowa z Władysławem Bartoszewskim*, „Rzeczpospolita”, 25.04.1995.



rzył Bronisław Geremek, jako niekatolik z reguły mniej skłonny niż Bartoszewski do posługiwania się kategoriami religijnymi<sup>3</sup>. W tym czasie ministrowie spraw zagranicznych przemierzali wspólnie z małżonkami malownicze miejscowości, a to w Bawarii, a to nad Wisłą, wspinali się na szczyty polskich Tatr<sup>4</sup>, polski prezydent jako gość honorowy uświetniał Dzień Niemieckiej Jedności, podczas gdy 3 maja i 11 listopada w polskiej ambasadzie zjawiał się pierwszy garnitur niemieckich polityków.

Rzeczywiście, *classe politique* obydwu krajów poznała się, może nawet zaprzyjaźniła. Szalenie to ważne – już samo pobieżne prześledzenie przykładów na to, jak osobiste przyjaźnie polityczne przyspieszają i utrwalają strategiczne posunięcia na arenie działań politycznych, wypełniłoby stopy papieru. Chyba że szczere uściski są zawieszane w próżni – tu nasuwają się postaci Göringa i Becka, polujących wspólnie w Puszczy Białowieskiej, czy byłego kanclerza Helmuta Schmidta, zafascynowanego Edwardem Gierkiem do tego stopnia, że gotowy był mu powierzyć tekę ministra w swoim rządzie. Forsowane przez kanclerza i ministra Genschera szerokie pojednanie z Polską w latach 70. zakończyło się – wskutek przebiegłego przeciwdziałania jego niedoszłego ministra – „zbrataniem” z kierownictwem PZPR.

Stąd cieszyć się należy, że nowy prezydent Niemiec, Horst Köhler, ze Skierbieszowa rodem, a nie – jak chce jego metryka urodzenia – z austriackiego St. Pölten<sup>5</sup>, swoją pierwszą wizytę po wyborze złożył nie we Francji, lecz w Polsce, zaproszony przez parę prezydencką. W rezydencji Kwaśniewskich, położonej nad Zatoką Pucką, gwarzono w luźnej atmosferze salonu – dwa owczarki alzackie przeciągały się na kanapie, prezydencka córka figlarnie pstrykała zdjęcia – o napiętej sytuacji na linii Berlin-Warszawa. Bo wprawdzie Polacy i Niemcy zasiadają od 1 maja, jakby na przekór słabo pobrzmiwającym w tym dniu w Niemczech dźwiękom IX symfonii Beethovena i dość leniwie po-

<sup>3</sup> *Polska–Niemcy 1989–1997: Cud zbliżenia*, „Gazeta Wyborcza”, 20.11.1997.

<sup>4</sup> Chodzi o wizytę dr. Klausa Kinkela u Dariusza Rosatego w czerwcu 1997.

<sup>5</sup> Rodzice Köhlera zostali wypędzeni z Rumunii i przymusowo osiedleni w polskiej wiosce pozostającej pod panowaniem niemieckim. Krótco przed końcem wojny cała rodzina Köhlerów uciekła do Niemiec. Dopiero od starszego rodzeństwa przyszły prezydent Niemiec dowiedział się prawdy o miejscu swojego urodzenia, gdyż matka, wypierająca traumatyczne przeżycia wojenne, wołała mówić o austriackiej miejscowości.



wiewającej niebieskiej fladze z dwunastoma gwiazdami, nie tylko w ławach natowskich, ale i unijnych. Jednakże pomimo osiągnięcia obydwu celów, przyświecających wszak polskiej dyplomacji niemal od momentu upadku bloku radzieckiego, mimo postawienia przy tym na kartę niemiecką („Niemcy ambasadorem polskich interesów w Unii”), mimo obdarzenia kanclerza Kohla tytułem „dobrego wujka”, mimo stworzenia trójkąta weimarskiego, nagle okazało się, że cały ten piętnastoletni dorobek stanął pod znakiem zapytania.

Nie źródłem, lecz katalizatorem impasu polsko-niemieckiego stały się sprawy Centrum Wypędzonych w Berlinie, sama osoba buńczucznej Eriki Steinbach, roszczenia majątkowe wysuwane pod polskim adresem przez Powiernictwo Pruskie, podpis Leszka Millera pod „listem ośmiu” oraz polskie poparcie dla wojny w Iraku, nieopowiedziane nawet telefonem do „niemieckiego przyjaciela” Schrödera. Jeśli francuski prezydent zrużął wtedy Polaków, to niemiecki kanclerz, który w poglądach nie różnił się ani na jotę od Chiraca, zacisnął jedynie wargi i ugryzł się w język. Tymczasem ledwie zniknęły nagłówki w prasie z polskim „nie” dla traktatu europejskiego, to już runęła na kanclerza fala krytyki za to, że w imieniu „Starej Europy” ofuknął nowych członków Unii za „dumping podatkowy” („macie zbyt niskie podatki, przez co zabieracie nam inwestorów i miejsca pracy”).

Prawdziwe przyczyny kryzysu mają jednak swoje źródło gdzie indziej. To odziedziczona po XIX i XX wieku asymetria w bilateralnych stosunkach. Polska przypatruje się Niemcom argusowymi oczami. O ile „aspekt niemiecki” wdziera się nawet do polskiej polityki wewnętrznej, o tyle „aspekt polski” mało obchodzi decydentów politycznych w Berlinie. Także na szczeblu niższym. Czyż Erika Steinbach z kimkolwiek w Polsce konsultowała swój wieczór pamięci dedykowany ofiarom Powstania Warszawskiego? O ile dla Niemców historia zaczyna się w 1945 roku, o tyle Polacy myślą w kategoriach minionego tysiąclecia, wyprowadzając swoją tożsamość narodową z Rzeczypospolitej szlacheckiej i zmagają o przywrócenie własnej państwowości – od Kościuszki do Solidarno-

**O ile niemiecka kultura, literatura, nawet sport są obecne w polskich mediach, o tyle próżno by szukać czegoś podobnego po drugiej stronie Odry.**



ści. Nawet w formie karykaturalnej: wystarczy jedynie przespacerować się po podwarszawskich miejscowościach, gdzie jak grzyby po deszczu powstają domy budowane na modłę szlacheckiego dworku. Z małymi, przepuszczającymi niewiele światła oknami. Natomiast patriotyzm niemiecki garściami czerpie z konstytucji europejskiej. W konsekwencji to Polacy, nie Niemcy, drżą, że z chwilą oddania części prerogatyw do Brukseli, pozbędą się z trudem wywalczonej wolności. Przed trzema laty Gräfin Dönhoff utyskiwała, że przeciętnemu Niemcowi bliżej jest do Indii czy Chin aniżeli do Polski (liczba 3400 niemieckich ofiar ostatniego trzęsienia ziemi w Azji jest tego wymownym przykładem). Wsiada on w samolot i leci choćby na drugi kraniec świata. O Polsce nie wie nic lub prawie nic. Bo o ile niemiecka kultura, literatura, nawet sport są obecne w polskich mediach, o tyle próżno by szukać czegoś podobnego po drugiej stronie Odry. Na nagłówki „Bild-Zeitung”, bulwarowego dziennika o milionowym nakładzie, trafił w ubiegłym roku jedynie prezydent Warszawy Kaczyński porażający Niemców miliardowymi roszczeniami reparacyjnymi za zniszczenie polskiej stolicy. O ile w Polsce trudno nie potknąć się o szkoły języka niemieckiego, nie mówiąc już o licznych kierunkach germanistycznych na uczelniach, o tyle po roku 1990 zamknięto lub mocno zredukowano slawistykę na dziesięciu uczelniach niemieckich, w tym na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie. Bez paniki! Ostrzał slawistyki wynika z cięć budżetowych, którym poddane są uczelnie. Ale w praktyce rezultat jest identyczny, jak gdyby wymieranie polonistyki było podyktowane antypolskimi nastrojami.

W jaki sposób przezwyciężyć ową asymetrię? Jak przekonać Niemców do naszych historycznych racji? Jak wreszcie wypromować atrakcyjny wizerunek Polski nad Renem, by zwyczajni Niemcy ruszyli rowerem na Mazury lub przyjechali na Dni Krakowa? Pierwszy krok na szczęście został uczyniony. Po piętnastu latach obydwa rządy odważyły się powołać pełnomocników do spraw polsko-niemieckich. Nie kogo innego jak Gesine Schwan obarczył kanclerz tą odpowiedzialną misją. Płynnie po polsku mówiąca rektor Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, która w czerwcu ubiegłego roku jedynie kilkoma głosami przegrała batalię o fotel prezydencki, jest gwarantem, że pierwsza zinstytucjonalizowana możliwość współpracy



nie zostanie zaprzepaszczone. Niczym w dominie krok ten powinien spowodować kolejne. Byłyby nimi regularne rundy spotkań delegacji międzyrządowych, międzyresortowych czy parlamentarnych – doskonałe fora służące wymianie poglądów, wyłuszczeniu historycznych racji, oswojeniu się polityków ze sobą i nabraniu do siebie zaufania.

Potrzebne jest wskrzeszenie trójkąta weimarskiego, tej nieco zakamuflowanej, mistycznej sprężyny napędowej Europy, bojkotowanej po wojnie w Iraku przez rozsierzonego na Polaków Chiraca. Niemiecki kanclerz, ze względu na przyjaciela Jacques'a, z cicha tylko wymachuje orzeźwiająjącym kropidłem. Przy odrobinie dobrej woli mógłby on jednak pogodzić ze sobą zwaśnionych partnerów zza Renu i Odry. Bądźmy szczerzy, w ferworze narodowego podniecenia wkład Francji w europeizację Europy jest przez nas niemal niedostrzegany.

Pewnym remedium na brak profesjonalistów w zakresie tematyki polskiej w Niemczech (w obliczu likwidowania tamtejszych katedr polonistycznych) byłoby powołanie kilku centralnych i silnych instytutów polonistycznych, na wzór Instytutu w Darmstadt, zmodyfikowanie „nieprestizowej” polonistyki na „modne” studia krajoznawcze, ufundowanie (niestety za złotówki) polskich profesur na wybranych uczelniach czy chociażby wysyłanie tam lektorów języka polskiego, jak to od lat z sukcesem czyni Instytut Goethego. I – *last but not least* – rozbudowa programów stypendialnych dla studentów niemieckich w Polsce.

To program dla elit, a co dla mas, postrzegających Polskę jako kraj nieciekawym i nudnym? Wielką szansę otwiera Rok Polsko-Niemiecki, rozpoczynający się po obydwu stronach Odry już tej wiosny. Jego rozmach zależy, rzecz prosta, od nakładów. Ale nie tylko. W końcu chce się dotrzeć do przeciętnego Niemca, który ambitne koncerty i księgarnie omija z daleka, za to gapi się w telewizor, latem wyjeżdża na Wyspy Kanaryjskie, by się posmażyć na słońcu, a wieczorem napić piwa. Koniecznie niemieckiego. Taki przeciętny Niemiec – niech będzie on celnikiem na szwajcarsko-niemieckim przejściu granicznym w Lörrach – samochód z rejestracją francuską przepuści (podobnie jak auto z rejestracją niemiecką, włoską czy holenderską), ale z polską sumiennie skontroluje, jeśli nie z podejrzliwością, to z dokładnością zegarka kolegi Szwajcara. Jak do niego trafić?





A gdyby tak zorganizować i uczcić rocznicę Powstania Warszawskiego w Roku Polsko-Niemieckim (2005) meczem reprezentacji Niemiec i Polski, poprzedzając transmisję telewizyjną u naszych sąsiadów filmem dokumentalnym o losach tego najbardziej tragicznego momentu sprzężenia w dziejach obydwu narodów? Niemcy eliminacje do MŚ mają z głowy, ponadto w lecie mniej wypełniony jest kalendarz gier. Pięć milionów kibiców zasiądzie zatem przed telewizorem, w tym także wypoczywający na Wyspach Kanaryjskich. A gdyby tak dodać po jednym polskim pawilonie podczas odbywających się przez pięć letnich miesięcy w każdym kraju związkowym wystaw ogrodów (*Landeshortschau*)? Ściągają na nie tłumnie gospodynie domowe, renciści, w weekendy całe rodziny, ale także artyści i intelektualści, by poprawić sobie krążenie i podpatrzeć nowinki przydatne do upiększenia własnego ogrodu. A właśnie w zakresie sztuki ogrodniczej możemy być dumni ze swoich osiągnięć. Warto by też pamiętać o wydrukowaniu znaczka polsko-niemieckiego, który naklei co piąty niemiecki podatnik, wysyłający swoje roczne rozliczenie. I wydać do spółki z niemieckim wydawcą przewodnik *Rowerem po Polsce*. Rocznie po Europie pedałuje parę milionów Teutonów. Część z nich da się zwabić nad Wisłę, na „szlak grodów piastowskich”, trasę przełomu Dunajca w Pieninach czy na Mazury. Niemiec przyjedzie, pojeździ, pozwiedza. Możliwe, że zabierze ze sobą słownik polsko-niemiecki. Po powrocie przeglądnie polskie strony internetowe przygotowane z okazji Roku, odnajdując tam kuszącą ofertę pobytu w Krakowie. Niewykluczone, że wśród tych ludzi znajdzie się nasz celnik z Lörrach, który na widok polskiego samochodu miast skrupulatnej kontroli i wezwania „*Ausweis, bitte*” powie u podnóża Alp „dzień dobry” i, kalecząc sobie język, pożyczczy „szerokiej drogi”.

ARKADIUSZ STEMPIN, dr, historyk na Uniwersytecie Alberta Ludwiga we Freiburgu Bryzgowijskim, przygotowuje w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie pracę habilitacyjną o polityce niemieckiej na ziemiach Królestwa Kongresowego w latach I wojny światowej. Wraz z Berndem Martinem wydał ostatnio dwujęzyczną książkę: *Polen und Deutschland in schweren Zeiten 1933-1990 / Polska i Niemcy w trudnych latach 1933-1990* (2004).



Dorota Dakowska

## Fazy pamięci

Sądząc po niektórych radykalnych wypowiedziach odrzucających indywidualne rozliczenie z przeszłością określaną jako „ubeckie błoto”, a także po prowokacyjnych posunięciach samowolnych lustratorów, faza krytycznej analizy otwiera przed nami szerokie perspektywy.

Lustracja, z łac. *lustrare* (oczyszczać, poświęcać). Od *lustratum*, *lustratio* – oczyszczenie, oczyszczalna ofiara za cały naród, składana co 5 lat w Rzymie po zakończeniu cenzusu. Przegląd czegoś, oględziny dokonane przed lustratora-kontrolera (za W. Kopalińskim).

Pojęcie, które łączymy dziś z kontekstem wychodzenia państw środkowoeuropejskich z komunizmu, ma w rzeczywistości długą historię. W powojennej Europie kwestia „oczyszczenia” urzędów państwowych z elit związanych z reżimem uznanym za przestępczy była wielokrotnie rozpatrywana. Można dać za przykład Francję, gdzie tzw. *épurations* (czystki) dotknęły tysięcy kolaborantów reżimu Vichy. Również podczas demokratyzacji instytucji

niemieckich pod patronatem aliantów usuwano ze stanowisk publicznych byłych członków NSDAP czy SS oskarżonych o udział w zbrodniach Trzeciej Rzeszy. Do procedur „oczyszczających” należały gesty symboliczne. We Francji zastosowano pojęcie „*indignité nationale*”, odziedziczone z czasów *ancien régime*, prowadzące do utraty praw obywatelskich. Ale czystki podzieliły francuskie społeczeństwo powojenne i zostały prędko złagodzone amnestią. Dotyczy



to również Republiki Federalnej Niemiec, której „politykę wobec przeszłości” opisał Norbert Frei. Nastęstwem odbudowy państwa po okresie dyktatury są więc nieuchronne ciągłości personalne, co nie znaczy, że kolejne pokolenia nie odniosą się do nich krytycznie.

Po roku 1989 kwestię lustracji, czyli weryfikacji osób na stanowiskach publicznych pod kątem ich uprzedniej współpracy z reżimem komunistycznym podjęto w różnych krajach naszego regionu. W roku 1991 Czechosłowacja (jeszcze przed „rozwozem”) wprowadziła w życie ustawę lustracyjną, uzupełnioną rok później. Określona mianem *lustrace* procedura weryfikacji urzędników towarzyszyła innym spektakularnym gestom, takim jak potępienie reżimu komunistycznego przez parlament. Elementem charakterystycznym dla sytuacji czeskiej były próby instrumentalizacji lustracji, takie jak publikacja listy domniemanych agentów, tzw. listy Cibulki, przez antykomunistycznego publicystę pisma „*Rudé Krávo*”. Publikacja, bez weryfikacji, 160 000 nazwisk doprowadziła do wzajemnych oskarżeń oraz kilku procesów zakończonych oczyszczeniem pozywających z zarzutów. Chociaż taka indywidualna akcja nie ma nic wspólnego z lustracją, niesie ona ryzyko ogólnej dyskwalifikacji procedury lustracyjnej.

W Niemczech, gdzie dostęp do „teczek” został wywalczony przez ruch dysydencki w 1990 roku (pod hasłem „*Freiheit für meine Akten*”) i włączony (pod presją Niemców

wschodnich) do traktatu zjednoczeniowego, debata przybrała zupełnie inny kształt niż w Polsce. Istotą jej była kwestia „przywrócenia przeszłości” osobom poszkodowanym przez Stasi poprzez udostępnienie im możliwości dostępu do swoich „teczek”. Mogły one w ten sposób lepiej zrozumieć mechanizmy kontroli, prowokacji czy prób „destrukcji psychologicznej”. Kwestia wykrywania agentów wśród znajomych, rodzinie wśród osób publicznych, była aspektem obecnym, ale drugorzędnym. Sama lustracja (weryfikacja) dotycząca współpracy ze Stasi objęła nie tylko polityków, ale również urzędników, w tym nauczycieli, oraz wielu dziennikarzy. O ile każdy pracodawca ma prawo do weryfikacji swoich pracowników pod kątem współpracy ze Stasi, w praktyce tylko część z nich skorzystała z tej procedury. Należy podkreślić, że samo potwierdzenie współpracy nie pociąga za sobą automatycznie dyskwalifikacji zawodowej; istotna część osób zweryfikowanych jako agenci zachowała swoje stanowiska w służbie publicznej. Dokumenty analizowane są starannie, pod kątem szkodliwości społecznej raportów sporządzonych przez daną osobę.

W Polsce debaty na temat lustracji przysłoniły kwestię indywidualnego dostępu do archiwów, wybierając bardzo emocjonalny i upolityczniony charakter. Pierwsza niefortunna próba przyjęcia ustawy lustracyjnej przez ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza w czerwcu 1992 zakończyła



się fiaskiem i upadkiem rządu Jana Olszewskiego po skandalu wywołanym publikacją listy polityków oskarżonych o współpracę ze służbą bezpieczeństwa. Kolejny projekt został przyjęty wiosną 1997, paradoksalnie przez parlament zdominowany przez SLD, większością głosów opozycji, do której dołączyło PSL. Lustracją objęto osoby zajmujące wysokie stanowiska w hierarchii władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowej. Ustawa stworzyła zasadę autolustracji: osoby, które przyznają się do współpracy ze służbami PRL, nie ponoszą konsekwencji, poza publikacją oświadczenia w „Dzienniku Ustaw”. Natomiast ci, którzy zatają swą ewentualną współpracę, mogą zostać uznani za „kłamców lustracyjnych” i pozbawieni praw wykonywania funkcji publicznych przez 10 lat. Sprawdzaniem oświadczeń zajmuje się rzecznik interesu publicznego. Do dziś niewielka liczba osób przyznała się do współpracy ze służbami PRL, natomiast szerokie echo w mediach wzbudziło kilka procesów lustracyjnych znanych polityków. O upolitycznieniu sprawy lustracji świadczy poprawka prezydenta Kwaśniewskiego przyjęta w 2002 roku i postulująca wyłączenie spod lustracji agentów wywiadu i kontrwywiadu (choć ten ostatni służył inwigilacji opozycji). Warto dodać, że Instytut Pamięci Narodowej, utworzony na mocy ustawy z 1998 roku, nie prowadzi dochodzeń lustracyjnych, a tylko zobowiązany jest do przekazywania rzecznikowi materiałów, które znajdują się w archiwach.

Wydaje się zatem, że zarówno charakter reżimu autorytarnego, jak i sposób wychodzenia z niego mają podstawowe znaczenie dla kształtu debaty nad stosunkiem do przeszłości. Kompromisowy charakter zmiany ustroju w Polsce sprawił, że kwestia rozliczania osób winnych represji oraz inwigilacji została odsunięta na dalszy plan. Sam fakt pozostawienia do 1990 roku na stanowisku ministra spraw wewnętrznych gen. Kiszczaka, za którego kadencji dokonano większości zniszczeń materiałów służb bezpieczeństwa, ilustruje diametralnie różną sytuację Polski i Niemiec. Przerwanie ciągłości państwowej w tym ostatnim wypadku (jak i doświadczenie „podwójnej dyktatury”) stawia Niemcy w sytuacji, która nie ma odpowiednika wśród państw byłego bloku komunistycznego. Tłumaczy to, dlaczego argumenty powołujące się na ochronę racji stanu oraz tajemnicy państwowej były dużo częstsze w Polsce niż w Niemczech.

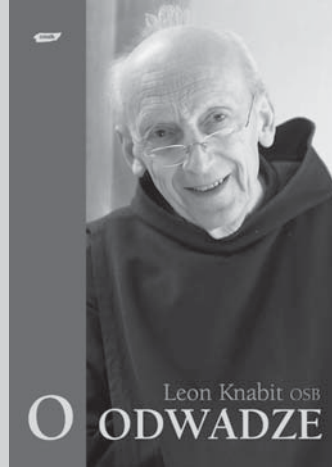
Zauważmy, że debaty w Polsce nadal polaryzują się wokół kwestii takich jak wiarygodność materiałów wytworzonych przez UB czy sens ich udostępnienia w ogóle. Wobec radykalnych postaw (z jednej strony odrzucanie tych materiałów jako źródła, z drugiej – bezkrytyczna afirmacja „prawdy” zawartej w tych dokumentach wiążąca się z tendencją do odkrywania nazwisk i sensacji) niełatwo jest prowadzić rzeczową dyskusję z zachowaniem dystansu. Mimo to coraz więcej historyków pracuje w archiwach IPN, publikując wyniki



badań i traktując materiały wytworzone przez MSW jako źródło podlegające – jak każde inne – krytyce i będące przedmiotem szczególnej ostrożności, ale jednak jako źródło niezbędne do zgłębienia historii PRL.

Nie wchodząc w rejestr moralizujący, przypomnijmy, że państwa mające za sobą okres dyktatury przechodzą przez różne fazy związane z pamięcią pokolenia, które było świadkiem lub uczestnikiem wydarzeń. Po fazie określanej czasem językiem psychoanalizy jako stłumienie (fr. *refoulement*, niem. *Verdrängung*) przeszłości związanej z konstrukcją mitów (jak np. mitu powszechnego oporu przez gaullistowską Francję) następuje czasem obsesyjny powrót tej przemilczanej przeszłości. W jakiej fazie znajdujemy się w Polsce? Można odnieść wrażenie, że tłumienie pewnych aspektów przeszłości miesza się z ich obsesyjnym powrotem, amnezja z hipermnezją a obalanie mitów z konstrukcją nowych. Sądząc po niektórych radykalnych wypowiedziach odrzucających indywidualne rozliczenie z przeszłością określaną jako „ubeckie błoto”, a także po prowokacyjnych posunięciach samowolnych lustratorów, faza krytycznej analizy otwiera przed nami szerokie perspektywy.

DOROTA DAKOWSKA, ur. 1975, wykładowca nauk politycznych na Uniwersytecie Paris X – Nanterre, doktorantka w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu.

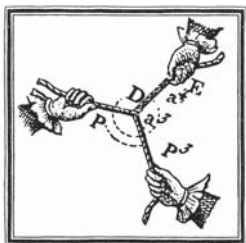


Leon Knabit OSB

## O odwadze

*Najbardziej cenię odwagę mówienia – z miłością! – prawdy w trudnych sytuacjach. Jestem pełen podziwu dla tych, którzy to potrafią. Mówienia prawdy bez miłości mamy wokół nas dużo: poczwwszy od rodziny, szkoły, a na polityce skończywszy. Chodzi o spokojne powiedzenie: „To nie jest tak”, „Tak nie można”. To często wymaga wielkiej odwagi, wielkiej pracy nad sobą, uwolnienia się od rozmaitych obaw. Chciałbym mieć taką odwagę.*

(fragment tekstu)



Jarosław Gowin

## Dlaczego jestem za lustracją

Historia antykomunistycznej opozycji to jeden z piękniejszych epizodów polskiej przeszłości. Trzeba zachować o niej pamięć. Chciałbym, aby wreszcie odwrócono czarną kartę agentury, tak żeby następne pokolenia mogły czerpać dumę i przykład z bohaterów polskiej wolności.

Fali plotek na temat agentów komunistycznej bezpieki, działających w czasach PRL w środowisku „Tygodnika Powszechnego” i Znak, towarzyszy opinia, że nasze środowisko jest jednomyślnie przeciwne lustracji. Nie brak też domysłów, że mamy szczególne powody, by obawiać się prawdy.

Czy rzeczywiście takie powody istnieją, pokażą badania IPN. O niektórych agentach ulokowanych w środowisku katolickiego laikatu czy w krakowskiej kurii wiadomo nie od dziś. Być może ujawnione zostaną nowe nazwiska. Niezależnie od tego, jak bardzo byłyby one szokujące, nie przekreślą heroicznego dorobku takich ludzi jak Hanna Malewska, Jerzy Turowicz, ks. Andrzej Bardecki, Stefan Kisielewski i wielu, wielu innych. Nie jest też prawdą, że nasze środowisko jest przeciwne lustracji. Część z nas od dawna opowiada się za jej przeprowadzeniem jako jednym z warunków budowy prawo-



rządnej i demokratycznej Polski. Przypominanie podstawowych (a więc moralnych, a nie politycznych) racji przemawiających za lustracją uważam za moralny obowiązek środowisk opiniotwórczych, takich jak Znak.

## Sprawiedliwość i przebaczenie

Po pierwsze, zawartość archiwów tajnych służb powinna zostać ujawniona w imię prawdy i sprawiedliwości. W środowiskach antykomunistycznej opozycji było wielu ludzi odważnych, często bohaterkich. Niektórzy z nich dali się jednak zastraszyć, podejmowali współpracę lub jakąś formę gry z bezpieczeńką – gry, której nie można było wygrać, nawet jeśli uwikłani w nią kluczyli, starali się nie szkodzić, dążyli do zerwania kontaktów itp. Byli też wreszcie tacy, którzy albo od początku kierowani byli do środowisk opozycyjnych przez policję polityczną, albo – złamawszy się – pozbywali się wszelkich skrupułów, pomagali niszczyć przyjaciół, brali za to wynagrodzenie.

Lustracja nie jest odwetem, lecz aktem sprawiedliwości. Bez nazywania bohaterstwa bohaterstwem, słabości słabością, a niegodziwości niegodziwością życie zbiorowe pogrąża się w cynizmie i zakłamaniu. Demokracja funkcjonuje dobrze tylko na fundamencie prawdy i zaufania. Bez przejrzystości życia publicznego (a więc i bez lustracji) jeszcze przez długie lata nie stworzymy solidnej demokracji.

Przeciwnicy lustracji mówią o potrzebie przebaczenia. Ale przebaczenie nie unieważnia obowiązku dokonania sprawiedliwego osądu. To brak lustracji wpycha Polaków w zapiekłość. Gdyby archiwa służb komunistycznych otwarto 15 lat temu, zdążylibyśmy przez ten czas nauczyć się przebaczać. Akty prawne – w tym przypadku decyzja o przeprowadzeniu lustracji lub o jej zaniechaniu – są również pewną wskazówką moralną. To znamienne, że w Czechach czy w Niemczech, gdzie prowadzono akcję lustracyjną, niektórzy dawni agenci sami okazywali skruchę i wyznawali przyjaciołom swoje winy. W Polsce nie słyszałem o takim przypadku. Czy nie ma to związku właśnie z brakiem lustracji? Wielu byłych współpracowników z pew-



nością zmagają się z poczuciem winy. Czy brak klarownego sygnału prawnego nie pogłębia ich zamętu moralnego i nie wyrządza im krzywdy? Propozycja abp. Życińskiego, by powołać jakiś rodzaj komisji prawdy i pojednania, wskazuje właściwy kierunek rozwiązań moralnych, nie uchyla jednak konieczności stosowania typowych procedur lustracyjnych.

## Zagrożenie dla Polski

Po drugie, lustracja to kwestia racji stanu. Bezpieczeństwo państwa jest zagrożone, gdy ważne stanowiska zajmują byli agenci. Są oni łatwo podatni na szantaż, mogą zostać zwerbowani przez obce wywiady, mogą też oddawać usługi dawnym PRL-owskim mocodawcom. Po aferze Orlenu nie sposób już zaprzeczyć, że struktury dawnych służb częściowo przetrwały, co najmniej jako lobby pasyżujące na polskiej gospodarce. 15 lat temu, jak niemal całe nasze środowisko, opowiadałem się za „grubą kreską”. (W sensie, jaki nadał temu pojęciu Adam Michnik, a nie Tadeusz Mazowiecki. Premierowi chodziło o odkreślenie „grubą linią” komunistycznej przeszłości, by Polskę budować na nowych zasadach; redaktorowi „Gazety Wyborczej” – o zaniechanie rozliczeń z przeszłością). Byłem bowiem przekonany, że aparat komunistyczny jest rozbity i nie zagraża już Polsce. Okazało się to skrajną naiwnością. Skoro na początku III RP zabrakło nam – środowisku „Tygodnika Powszechnego” i Znak – wyobraźni, dzisiaj nie powinno zabraknąć nam odwagi, by przyznać się do błędu i by próbować go naprawić.

## Pytanie o dekomunizację

Po trzecie, ujawnienie działalności agentów postawi na nowo pytanie o odpowiedzialność ich mocodawców. Przypadek agenta o pseudonimie „Nowak” (ktokolwiek się pod nim kryje) to wręcz modelowa ilustracja, w jaki sposób łamano charaktery. Jeśli ludzie, którzy okazali słabość, nie zdobyli się na wyznanie win przed własnym środowi-





skiem, a zwłaszcza jeśli po roku 1989 nie widzieli nic nagannego w obejmowaniu stanowisk publicznych, to prawda o ich przeszłości powinna zostać odsłonięta. Stokroć bardziej jednak powinna zostać ujawniona prawda o tych, którzy ich moralnie zniszczyli.

Mówiąc najkrócej, lustracja odsyła nas do problemu dekomunikacji. Prawda o czasach PRL jest w wielu aspektach naprawdę złożona, wiele życiorysów nie poddaje się jednoznacznej ocenie, przynależność do PZPR nie zawsze była wynikiem cynizmu i nawet w latach stanu wojennego niektórzy członkowie partii zachowywali się uczciwie i odważnie (pamiętam ówczesną dyrekcję Instytutu Filozofii UJ, która chroniła studentów przed represjami i dbała o swobodną wymianę myśli). Nie ma jednak najmniejszego powodu, by okazywać wyrozumiałość tajnym służbom. Trzeba opisać mechanizmy i skutki ich działania. Ale zacząć trzeba od ujawnienia nazwisk ich pracowników, a oni sami powinni być przez jakiś czas pozbawieni prawa do piastowania stanowisk publicznych. Po 15 latach taki zakaz ma znaczenie raczej już tylko symboliczne. Ale w życiu narodu symbole odgrywają rolę bardzo ważną.

## **W interesie niewinnie oskarżonych**

Oczywiście, w klimacie rozliczeń pojawią się – już się pojawiły – pomówienia. To czwarty argument za lustracją. Tylko za jej sprawą niewinnie oskarżeni uzyskają możliwość obrony dobrego imienia. Niestety, zapewne nie da się zapobiec ludzkim dramatom i nie da się odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jak wyważyć winę tych, którzy złamali się w chwili słabości, a potem z poświęceniem działali w szeregach opozycji? Nie można też wykluczyć, że zawartość niektórych teczek była preparowana lub przynajmniej „podkoloryzowana”. W niektórych przypadkach już dzisiaj wiadomo, że trudno będzie rozstrzygnąć, czy chodziło o współpracę czy też o nieudane próby zwerbowania. Nie każdy wreszcie rodzaj kontaktu ze służbami można zakwalifikować jako współpracę. (Wiadomo na przykład, że zanim w latach 70. opozycja wypracowała swoisty „kodeks” postępowania wobec SB, to naukowcy lub artyści wy-



jeżdżający na zagraniczne konferencje czy stypendia z reguły posłusznie stawiali się na rozmowy w urzędach bezpieczeństwa; można z dużą dozą pewności – uzasadnionej biografiami tych osób – założyć, że ogromna większość ograniczała się do udzielania informacji ogólnie dostępnych). Wszelkie wątpliwości muszą być rozstrzygane na korzyść oskarżonych.

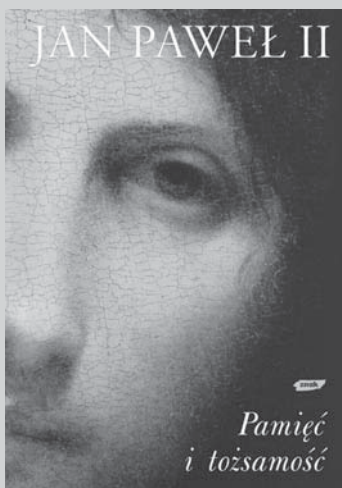
Podstawowe pytanie nie brzmi: „czy lustrować?”, ale: „jak to zrobić?”. Na szczęście tak gwałtownie i niesprawiedliwie zwalczany (również przez część dawnych środowisk antykomunistycznych, nie wyłączając osób związanych z naszym środowiskiem) Instytut Pamięci Narodowej daje gwarancję, że weryfikacja akt przeprowadzona zostanie w sposób maksymalnie wiarygodny. Nie ma też podstaw, by podważać zaufanie do instytucji Rzecznika Interesu Publicznego czy do sądu lustracyjnego.

## Duma i przykład

Jest wszakże jeszcze inny – niezwykle ważny – powód, dla którego należy ujawnić zawartość teczek. W dyskusji nad lustracją zarówno jej przeciwnicy, jak i większość zwolenników koncentrują uwagę na złu, które ma ona odsłonić. Ale lustracja przede wszystkim pokaże skalę oporu przeciwko totalitarnemu państwu, skalę odwagi, poświęcenia, bezinteresowności najpierw heroicznej garstki, a potem coraz szerszych rzesz opozycji. Pokaże prawdę, że na każdego, kto w kręgach opozycyjnych dał się zastraszyć czy przekupić, przypada dziesięciu takich, którzy za cenę kariery, poczucia bezpieczeństwa, wolności, a niekiedy i życia trwali przy tym, co nakazywało im sumienie.

Historia antykomunistycznej opozycji to jeden z piękniejszych epizodów polskiej przeszłości. Trzeba zachować o niej pamięć. Nie chodzi przy tym tylko o spłacanie długu wdzięczności za to, że żyjemy w wolnej Polsce. Ta pamięć realnie wpływa na moralną jakość naszego życia, także indywidualnego. Od wielu świąństw udało mi się powstrzymać ze wstydu: na myśl o tym, jak by mnie ocenili ci wszyscy – od Ojca począwszy – którzy uczyli mnie żyć przyzwoicie w cza-

znak



Jan Paweł II

## Pamięć i tożsamość

Nowa, długo oczekiwana książka Ojca Świętego Jana Pawła II. Tematem jest człowiek zanurzony w historii, stający wobec zła XX wieku, wreszcie – szukający swej tożsamości w spotkaniu z Bogiem.

sach, gdy trzeba się było liczyć, że przyjdzie za to zapłacić bolesną cenę. Chciałbym, aby wreszcie odwrócono czarną kartę agentury, tak żeby następne pokolenia mogły czerpać dumę i przykład z bohaterów polskiej wolności.

10 stycznia 2005

JAROSŁAW GOWIN, ur. 1961, redaktor naczelny miesięcznika „Znak”, rektor Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Tischnera.



Henryk Woźniakowski

## Krytyka władzy sądzenia

Na szczęście dość mamy źródeł świadczących o oporze, godności i heroizmie Polaków. Aby się o nich przekonać, nie trzeba odwoływać się do ubeckich autorytetów.

Sądziłem i nadal sędzę, że nie ma trudniejszego zawodu nad sędziego. Oto człowiek jak każdy – ułomny i dysponujący ograniczoną z natury rzeczą wiedzą, zawsze niepewnymi i niepełnymi dowodami i świadectwami – musi wydać wyrok rozstrzygający o losie bliźniego, aplikujący mu nie tylko określony wymiar kary, lecz także wydający go nierzadko na pastwę moralnego potępienia. Jakże to trudne, jakże często niewykonalne wręcz zadanie, które jednak musi być przez kogoś spełnione, wymaga tego bowiem dobro danej wspólnoty, która potrzebuje narzędzi obrony przed złoczyńcami dla zachowania elementarnych warunków ładu społecznego. I jak to dobrze – sądziłem – że są wysoko kwalifikowane osoby, dysponujące określonymi konstytucyjnymi gwarancjami niezależności, które są w stanie podjąć trud osądu i wyroku. Jakie to szczęście, że cywilizacja zachodnia wypracowała precyzyjne procedury procesowe, dając szanse na zachowanie maksimum obiektywności w drodze do tzw. prawdy materialnej i redukując, ile to możliwe, ryzyko błędu i niezawinionej krzywdy. I jak to



dobrze, że te osoby oraz instytucje uwalniają mnie od konieczności wyrokowania w iluż trudnych i niejasnych sprawach, czyniąc swoją powinność niejako w moim imieniu i w mojej obronie.

## **Prawda, sprawiedliwość i krzywda**

Okazuje się jednak, że wiele osób ma zupełnie inne poglądy w tej materii i odczuwa niezwykle głód osądzenia i wyrokowania. W ich gronie odnajduję również Jarosława Gowina. Większość argumentów, jakie przedstawił w swym tekście postulującym lustrację powszechną drogą upublicznienia materiałów bezpieki, budzi moje najwyższe wątpliwości.

„Zawartość archiwów tajnych służb powinna zostać ujawniona w imię prawdy i sprawiedliwości” – głosi Gowin. Dlaczego ujawnienie materiałów bezpieki miałyby być wyrazem służby prawdzie, a zwłaszcza sprawiedliwości – tego pojąć nie umiem. Na pewno w imię tych imponderabiliów zawartość ubeckich archiwów powinna być z najwyższą starannością, wnikliwością i z użyciem najlepszych narzędzi interpretacyjnych przebadana przez odpowiednio wykwalifikowanych i odpowiedzialnych historyków. Tak się zresztą dzieje. Uzyskana w ten sposób wiedza dotycząca sposobów działania tajnych służb, technik operacyjnych, sposobów rekrutacji agentów, zakresu i skutków infiltracji i inwigilacji rozmaitych środowisk, „ustrojowej” niejako roli agentury itp. powinna być powszechnie dostępna – to należy do historycznej prawdy o systemie komunistycznym. Inaczej sprawa wygląda, gdy chodzi o konkretne nazwiska i osoby. Tutaj potrzeba najwyższej rozwagi. Pierwszym wymogiem działania w imię sprawiedliwości – jak ja ją rozumiem – jest imperatyw, by nie mnożyć krzywd. Dość ich już wyrządził komunistyczny aparat. Nasza wiedza o ubeckich archiwach, o intelektualnym i moralnym poziomie pracowników i współpracowników służb, kilkanaście uniewinniających procesów lustracyjnych, doświadczenia czeskie i niemieckie – to wszystko żadną miarą nie pozwala traktować gromadzonych przez IPN zasobów jako krynicy prawdy, z których czerpać można bez żadnego filtra. Przyznaje to zresztą



Gowin, pisząc, że zawartość niektórych teczek może być preparowana lub podkoloryzowana. Jestem przekonany, że bezrefleksyjne ujawnienie archiwów zaowocowałoby krzywdą wieloraką, na czym prawda i sprawiedliwość głęboko by ucierpiały. Obawiam się, że krzywdy byłoby znacznie więcej niż tej, która rodzi się wskutek tzw. dzikiej lustracji, czyli upubliczniania przez pokrzywdzonych, którzy uzyskali dostęp do swych akt, domniemanych lub ujawnionych przez IPN nazwisk tajnych współpracowników. Z tą liczbą nie poradziłby sobie w rozsądnym czasie żaden aparat sądowy mający za zadanie rozpatrywanie wniosków o oczyszczenie z oskarżeń zawartych w materiałach. Oczywiście już teraz powinno się udoskonalić prawne możliwości obrony dobrego imienia – i pod tym względem ustawa lustracyjna zapewne będzie poprawiona. Jednak pisanie, że dla zapobieżenia pomówieniom należy ujawnić tecki jak leci, choć – jak lekkim piórem wyjaśnia Gowin – „niestety zapewne nie da się zapobiec ludzkim dramatom”, przypomina do złudzenia romantyczno-rewolucyjne frazy o tym, że nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, czy też że tam, gdzie lasy zamiast płonąć są rąbane – lecą wióry. Nie wyobrażam sobie również, by można było szczelnie odizolować i „ocenzurować” w aktach dziedzinę intymną, w której przecież SB poszukiwała często tzw. haków. Do ochrony tej sfery życia mają prawo nawet skazani przestępcy – dlaczego bardziej lub mniej heroiczne osoby, które znalazły się na celowniku służb, miałyby być dziś narażone na wystawianie swego życia na widok publiczny? Przede wszystkim więc – w imię prawdy i sprawiedliwości – nie pomnażajmy krzywd.

### **Źródło do dziejów heroizmu czy nikczemności?**

Dlatego ewentualna publikacja źródeł czy list agentów winna być końcem procesu, nie jego początkiem. Procesu kompletnego i wnikliwego badania akt i nauczania ich krytycznej lektury, pokazującej, jak się ma obraz rzeczywistości widzianej poprzez bezpieczniejskie tecki do obrazu zbudowanego na podstawie innych źródeł. Jarosław Gowin uważa, że wgląd w te papiery pozwoli mu zobaczyć he-



roizm rzesz opozycjonistów. Obawiam się, że jest w błędzie – z tego, co powszechnie wiadomo, wynika, iż akta, zwłaszcza w bezkrytycznej lekturze, są przede wszystkim świadectwem ludzkiej słabości, nikczemności, zdrady. Taka była natura ubeckiego spojrzenia i takie były zadania tych „dzieci Stalina”, o którym powiedziano przecież, że jego geniusz i zasada jego władzy polegały na bezbłędnej umiejętności wykrywania tego, co w człowieku słabe, tchórzliwe, nikczemne. Na szczęście dość mamy źródeł świadczących o oporze, godności i heroizmie Polaków. Aby się o nich przekonać, nie trzeba odwoływać się do ubeckich autorytetów.

### **Co jest potrzebne państwu?**

„Lustracja to kwestia racji stanu” – pisze Gowin i z tą tezą można się zgodzić. Istotnie, zajmowanie ważnych stanowisk w polityce, gospodarce czy informacji przez byłych agentów – zwłaszcza agentów nieujawnionych – może bezpieczeństwu państwa zagrozić. Wszelako nie wynika z tego, że publikacja teczek jest niezbędna dla podniesienia bezpieczeństwa państwa. Czego potrzebuje państwo? Państwo potrzebuje czytelnej i wiarygodnej procedury lustracyjnej, która uniemożliwi dostęp do stanowisk byłym agentom, w szczególności – nieujawnionym. Jak wiadomo, obowiązek deklaracji lustracyjnej obejmuje ok. 21000 osób: prezydenta, parlamentarzystów, członków rządu, szefów mediów publicznych, wymiar sprawiedliwości. Być może listę tę należałoby poszerzyć o kierownictwo mediów prywatnych, o dziennikarzy czy też szefostwo przedsiębiorstw o strategicznym znaczeniu dla kraju. A co z osobami, które przyznały się do pracy w służbach czy współpracy z nimi? W tym zakresie instrumentem mogłaby być tylko jakaś forma ustawy dekomunizacyjnej, która wszakże po piętnastu latach od obalenia komunizmu wydaje się całkowicie spóźniona, ponadto zapewne nie miałyby szans, by się obronić przed trybunałem w Strasburgu. Pozostaje zatem władza opinii publicznej i siła mediów – dopiero gdyby skutek tych „miękkich” narzędzi wybór byłego agenta czy TW na posła lub inną funkcję publiczną stał się nie do pomyślenia – moglibyśmy mówić, że deko-



munizacja w Polsce naprawdę się dokonała. Do takiej dekomunizacji powinniśmy dążyć – ale taką prawdziwą dekomunizację zapewnić może tylko żmudna praca nad stanem ducha zbiorowego, a nie efektowne rozgrywki sejmowe i ewentualne akty prawne.

Gdy idzie o potrzeby państwa, jedno jest pewne: należy dążyć do maksymalnego odpolitycznienia debaty o teczках, przynajmniej w tym sensie, by uwolnić tę sprawę od instrumentalizacji w kontekście wyborów, od atakowania konkurentów czy ideowych przeciwników za pomocą na ślepo wystrzelonej kanonady z nazwisk (jak chce tego LPR i jak to praktykuje w Lublinie Bender) lub też od chęci zdyskredytowania początków Trzeciej Rzeczypospolitej (jak zdaje się chcieć tego PiS, którego szefowie kolejny raz ogłaszają nowy, prawdziwy początek – ma się rozumieć pod własnym przewodem).

## Dobre i złe emocje

W dyskusji o lustracji ogromny udział mają złe emocje. Myślę tu nie tylko o nienawiści do byłych agentów, którą trudno mieć za złe rzeczywiście poszkodowanym – aczkolwiek winniśmy się radować z tych, którzy osiągnęli taki szczybel rozwoju duchowego, że zdobyli się na wybaczenie swym prześladowcom. Myślę nie tylko o poszukiwaniu sensacji – a bardziej o swoistej „*delectatio morosa*”, o ludziach duchowo skarłałych, dla których zasadniczym źródłem satysfakcji i uciechy jest widok grzechów słabości i zdrad popełnianych przez bliźnich – a zwłaszcza tych bliźnich, którzy są osobami publicznymi lub autorytetami. O taki rodzaj delektacji nie posądzam rzecz jasna Jarosława Gowina – ale istnieją też inne emocje, o których już wspominałem. Wyrastają one na gruncie temperamentu rewolucyjnego, marzenia o gwałtownym przełomie (ujawnienie teczek) i o oczyszczeniu w ten sposób życia zbiorowego, choćby po (moralnych) trupach. Niezbyt dobre emocje towarzyszą też przekonaniu, że jest się zdolnym do „dokonania sprawiedliwego osądu”, w materii często bardzo niejasnej, z pominięciem procedur i troskliwej dbałości o każdy konkretny przypadek. Dbałości, która nie tylko niewinnym czy wręcz bohaterom zagwarantuje, że nie zostaną ponownie skrzyw-





dzeni, ale która pozwoli również precyzyjnie rozróżnić między różnymi odmianami słabości a przypadkami oczywistej nikczemności, nie pozwalając na stawianie obok siebie kata i ofiary. Pisał o tym mądrze ks. abp Józef Życiński. Pismo Święte wielokrotnie wzywa nas do ostrożności w posługiwaniu się władzą sądenia. Sprawiedliwość nie jest ani ryczałtowa, ani statystyczna.

Kończę stanowczym odrzuceniem obrzydliwej i zatręcającej o moralny szantaż sugestii, którą Gowin cytuję na początku swego tekstu: o udziale środowiskowych interesów kręgu „Tygodnika Powszechnego” czy Znak w ocenie problematyki lustracji. Znajomość, nawet pobieżna, postaw i zachowań ludzi tego środowiska w czasach naprawdę trudnych pozwala potraktować jako absurd przypuszczenie, że to lęk przed prawdą – jakkolwiek mogłaby być bolesna – określa niechęć czynnych wciąż w naszym kręgu świadków tamtej epoki do lustracji (w postaci bezwarunkowego ujawnienia archiwów tajnych służb).

19 stycznia 2005

HENRYK WOŹNIAKOWSKI, ur. 1949, publicysta, tłumacz, prezes S.I.W. Znak, członek redakcji miesięcznika „Znak”.



Elżbieta Wolička

## Między żądzą odwetu a społeczną amnezją

Co najbardziej drastycznie obniża standardy życia zbiorowego i podważa zaufanie do urzędów? Brak przejrzystości. Na takim braku przejrzystości – a mówiąc mniej oględnie: na wszechobecnym zakłamaniu – oparty był przecież cały skomplikowany aparat „porządku publicznego” podległego „władzy ludowej”.

Zdecydowanie podzielam stanowisko redaktora Jarosława Gowina w sprawie lustracji. Nie jest to już zresztą stanowisko odosobnione. Nawet wczorajsi sceptycy dziś skłonni są przyznać, że zawartość archiwów tajnych służb PRL powinna zostać ujawniona, zarówno w imię zasad: prawdy i sprawiedliwości, jak też z racji bardziej prozaicznych, a mianowicie skuteczności demokratycznych praktyk – czyli właściwie pojętego interesu publicznego. Oslawiony trup w szafie od lat zatruwa społeczną atmosferę – czas najwyższy, aby go wydobyć i przewietrzyć otoczenie (prawdę mówiąc, za długo z tym zwlekaliśmy).

Co najbardziej drastycznie obniża standardy życia zbiorowego i podważa zaufanie do urzędów i osób odpowiedzialnych za funkcjonowanie instytucji dobra publicznego z państwem na czele? Brak przejrzystości. Na takim braku przejrzystości – a mówiąc mniej oględnie: na wszechobecnym zakłamaniu – oparty był przecież, jak



wiemy, cały skomplikowany aparat „porządku publicznego” podległo „władzy ludowej”. Ale i dziś brak nam „klarownego sygnału prawnego”, jak pisze Gowin, motywującego zbyt długo poddawaną próbie zbiorową nadzieję obywateli na sprawiedliwe rozliczenie najnowszej (jeszcze żywo obecnej w pamięci) wspólnej historii, ocenę zasług i win, oddzielenie zdrowego ziarna od plew i pleśni przeszłości. Taki osąd jest potrzebny, choćby operacje lustracyjne miały się ograniczyć tylko do wymiaru symbolicznego, bez ostrych, karnych sankcji wobec jawnych i tajnych współpracowników byłego systemu. Jednakże ich rola i indywidualny (zróżnicowany!) udział w „umacnianiu władzy ludowej” muszą zostać przynajmniej nazwane po imieniu i podane do publicznej wiadomości. W dobie „transformacji” (nie łudźmy się, że już pomyślnie zakończonej!) bez ugruntowanego zaufania do państwa prawa – zaufania popartego wiarygodnymi (tj. opartymi na obiektywnie ustalonych faktach) werdyktami sądowymi – nie zbuduje się ani społeczeństwa obywatelskiego, ani demokracji. Może nam grozić, że długo jeszcze pozostaniemy w szarej strefie demokracji pozorowanej lub, co gorsza, sterowanej z niejawnych ośrodków „trzymających władzę” – nie z publicznego mandatu, lecz „siłą faktów dokonanych”, czyli uzurpacji, finansowych (nie zawsze legalnie nabytych) przywilejów czy korzystnych, nadal sprawnie funkcjonujących, „układów”. Demokracja nie ostoi się na ruchomych piaskach relatywizmu – sytuacyjnego, koniunkturalnego, wąsko pragmatycznego, choćby w postaci doraźnej „politycznej poprawności” – i narzucanej przez wpływowy *establishment* społecznej amnezji.

Brak przejrzystości, jednoznacznych reguł prawnych, wyrazistych kryteriów oceny sprawia, że pograżamy się coraz głębiej w dusznej atmosferze plotek, insynuacji, pomówień, „prywatnych śledztw” przeprowadzanych przez rozmaitej maści „działaczy”, nadgorliwych w wyręczaniu wymiaru sprawiedliwości i na własną rękę „lustrujących”, piętnujących i dyskredytujących osoby z im tylko wiadomych powodów „podejrzane” lub po prostu przez nich nie lubiane i dla nich niewygodne. Nie sposób jednak pochopnie lekceważyć coraz częściej wyrażanych niepokojów dotyczących zbytnej opieszałości i pobłażliwości organów sądowych (a także ośrodków i środowisk



opiniotwórczych) względem tych, którzy „odznaczyli się” współpracą ze służbami specjalnymi PRL. Dziś oni, a także ich mocodawcy, wiodą niczym niezakłócony żywot powszechnie szanowanych obywateli z dostatnią emeryturą i w poczuciu „ubezpiezonej bezkarności”. Takie dobre samopoczucie nie tylko nie skłania do rewizji światopoglądu i tłumi samokrytyczne odruchy sumienia, ale skutecznie umacnia postawy cynizmu i aroganckiego zadufania. Niektórzy z beneficjentów minionego ustroju bez żenady zajmują dziś eksponowane stanowiska publiczne lub ubiegają się o nie, jako entuzjaści wolnego rynku robią spektakularne interesy, a nawet kreują się na moralne autorytety (wystarczy przypomnieć publikowane w „Gazecie Wyborczej” wywiady z architektami stanu wojennego i byłymi funkcjonariuszami SB).

Pobłażliwość, motywowaną specyficznie rozumianą „grubą kreską” narzucaną opinii publicznej w imię powszechnej zgody, przebaczenia, „wyboru przyszłości” itp., w istocie zaś w imię mniej lub bardziej partykularnych i doraźnych interesów, nader często podpira się pokrętnymi argumentami, że tak czy owak prawdy dojść się nie da, że fakty już zostały spreparowane, że zaufanie do źródeł przechowywanych w archiwach prowadzi na manowce ze względu na ich tendencyjność, fragmentaryczność, niekompletność itd. Są to argumenty dwuznaczne i obosieczne. W gruncie rzeczy zasiewają niewiarę w poznawczą dostępność prawdy i obiektywny walor faktów w ogóle, a w konsekwencji legitymizują dalsze próby ich zaciemniania i fałszowania. Pogląd, że dociekając „prawdy o faktach”, zawsze jesteśmy skazani na mniej lub bardziej dowolne ich „interpretacje”, schlebia wprawdzie modnemu dziś „paradygmatowi postmodernistycznemu”, który kręgom akademickim (i niektórym politykom) może się wydawać atrakcyjny, ale jest w najwyższym stopniu groźny dla praktyki życia społecznego i przyszłości demokratycznych instytucji. Pogląd ten otwiera bowiem pole etycznemu nihilizmowi i praktycznej „wolnej amerykance” – wszelkiego rodzaju „nadinterpretacjom” i manipulacjom. A na pewno jest to pogląd korzystny dla tych, którzy mają powody, by obawiać się odsłonięcia faktów i ujawnienia prawdy. Ufundowane na takim historycznym relatywizmie symptomy mentalnego rozprężenia i dezorientacji, lekceważenia reguł praworząd-



ności i obyczajności (cóż za staroświeckie słowo!) w życiu publicznym możemy dziś obserwować do woli. Prawdę zastępuje się medialną „siłą przebicia”, a „interpretację” faktów sprowadza do drażliwego utylitaryzmu i motywowanych najczęściej aktualnym interesem działań odwetowych lub zaczepnych wobec politycznych przeciwników. Lustracyjni harcownicy nie przebiegają w środkach – chętnie uciekają się do tropienia „winnych” lub choćby „podejrzanych” według własnych, ideologicznych kryteriów, do rzucania podejrzeń opartych na wątplych lub wręcz fałszywych podstawach, nawet do szantażowania.

A zatem w imię fundamentalnej zasady przejrzystości życia publicznego (i, rzecz jasna, prywatnego) archiwa tajnych służb powinny zostać przebadane i ujawnione. Lustracja i rozliczenie przeszłości powinny być dokonane. Do namysłu pozostaje tylko kwestia tego, jak zgodnie z prawem i poszanowaniem dóbr osobistych dokonywać tych operacji, by uniknąć nadużyć i przekłamań. Szczęśliwie dysponujemy wystarczająco wiarygodnym zespołem ekspertów, których cechuje szacunek dla faktów, profesjonalna umiejętność ich rekonstrukcji oraz „deszyfrowania” możliwych – czy wręcz spodziewanych – kamuflaży i zafałszowań. W kluczowej kwestii lustracyjnych procedur instancją powołaną i kompetentną, by sprostać tym trudnym zadaniom, jest Instytut Pamięci Narodowej. Rzetelność i bezstronność oraz wysoki standard warsztatu badawczego tej instytucji, nieposzlakowana uczciwość jej zwierzchnika, prof. Leona Kieresa, zostały wielokrotnie dowiedzione. Można jedynie (i zapewne należy) dyskutować nad udoskonaleniem podstaw prawnych oraz usprawnieniem działania IPN. Komisje i gremia rzeczoznawców, powoływane i kontrolowane pod jego auspicjami, gwarantują, że będzie w nich przestrzegana zasada odpowiedzialności indywidualnej oraz zasada kategorycznego rozróżniania: stopnia czynnego zaangażowania bądź niedobrowolnego uwikłania poszczególnych lustrowanych osób w działanie aparatu SB, a co za tym idzie: zasada proporcjonalnego do ustalonych faktów orzekania o winie bądź zaledwie uchybieniu. (Znamiennym przykładem jest tutaj, jak sądzę, *casus* Małgorzaty Niezabitowskiej. Wiele wskazuje na to, że nie była ona agentem, lecz dysponowanym przez „służby” kandydatem na potencjalnego współ-



pracownika, a jej najpoważniejszym błędem był „grzech zaniechania” – podejmując funkcję rzecznika prasowego w III RP, powinna była publicznie ujawnić, co się jej w „minionym okresie” przytrafiło).

Najtrudniejszym problemem, którego jednak nie uda się uniknąć ani zepchnąć w niepamięć, jest kwestia moralnego rozliczenia się z pelerelowską przeszłością już nie tylko na poziomie partii politycznych czy państwowych instytucji, ale na poziomie gremiów społecznych – ugrupowań zawodowych i religijnych, stowarzyszeń twórczych czy konfraterni towarzyskich – oraz poszczególnych obywateli. Na tym poziomie relacji osobowych ani IPN, ani też żadna inna powołana do obiektywnego ustalania i oceny faktów instancja publiczna nie są władne zastąpić czy wyręczyć osobistego sumienia. Mogą pomóc w dociekanii prawdy – zwłaszcza przykrej i bolesnej, jak to się stało w przypadku „sprawy Jedwabnego”. Mogą wesprzeć w wysiłku przewycięzania zbiorowej amnezji, dostarczając sprawdzonej wiedzy o faktach lub tę wiedzę poszerzając, ale nie uzdrowią świadomości jednostek i nie uleczą z dobrowolnego samozakłamania.

Oczyszczenie pamięci może i powinno się dokonać również dobrowolnie i osobiście – tak samo jak każdy akt wyznania i przebaczenia. Pomocną dłoń w tym ze wszech miar pożądanym procesie samooczyszczenia i prawdziwego, to znaczy niepozorowanego, niekonjunkturalnego dążenia do pojednania już wyciąga Kościół. I jest to, jak sądzę, jedyna „instytucja dobra publicznego” powołana i predysponowana wielowiekowym doświadczeniem do wspierania takich działań, a także do podejmowania i promowania inicjatyw, które mogą i powinny prowadzić do społecznego i narodowego odrodzenia – na dłuższą metę i na głębszym poziomie, niż tego się domaga „polityczna poprawność” lub oczekiwany sukces wyborczy kolejnych pretendentów do władzy. Oby Kościół – także potrzebujący samooczyszczenia – sprostał temu zadaniu.

25 stycznia 2005

ELŻBIETA WOLICKA, prof. dr hab., filozof, historyk sztuki, wykładowca KUL, członek redakcji „Znaku”.



Halina Bortnowska

## Co trzeba rozważyć

Słowo „oczyszczenie” i słowo „czystka” są sobie bliskie. A przecież ludzie, nawet obciążeni winami, nie są „brudem”, którego trzeba się pozbyć.

Poproszono mnie o krótką wypowiedź, która miałaby towarzyszyć tekstom Gowina i Woźniakowskiego. Lustracja to zagadnienie z mojego „menu”. To nie przypadek, że już w latach 1992 i 1993 uczestniczyłam w dwóch międzynarodowych konferencjach na ten temat – jako członek Komitetu Helsińskiego w Polsce. Byli tam obrońcy praw człowieka, prawnicy, a także politycy z krajów Europy Środkowo-wschodniej, ze Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej. Wspólny problem: przejście – *transition* – od systemów autorytarnych do demokracji, państwa prawa. Miałam więc do czynienia nie tylko z problemem polskim. Od dawna myślę o lustracji jako o zagadnieniu ogólnoludzkim, które wiąże się z pytaniami o naturę historii, jej dokonywanie się i tworzenie – jako nauki i jako wymiaru życia. Od lat też próbuję upominać się o upamiętnienia, traktowane możliwie bez ułatwień, bez uproszczeń. A więc pełne bolesnych prawd.

Dla mnie to, co się teraz dzieje w Polsce, to kolejna fala jakiegoś historycznego tsunami. Należało się jej spodziewać, choć konkretna



data i epicentrum były nie do przewidzenia. Obszarem sejsmicznym są niewątpliwie okolice IPN.

Posiadam, jak sądzę, dość kompletną listę pytań, na które trzeba sobie odpowiedzieć, zajmując teraz stanowisko wobec różnych celów, trybów i procedur lustracyjnych. Przez lata słuchałam wielu rad w tej kwestii, a także świadectw i ostrzeżeń podczas paneli organizowanych w wielu kontekstach. Uczestniczyłam też w doradzaniu (np. w Tiranie). Starczyłoby tego na obszerny referat, a gdyby rozwinąć – na książkę (ale nie myślę jej pisać!).

Nie czuję się osamotniona w swoich poglądach. Na przykład to, co pisze Henryk Woźniakowski, jest mi bliskie. Ale zarazem jakoś nieswojo się czuję obok dyskutantów, którzy na swoich tarczach wypisali daty 1961 i 1949. Jaki to ma sens, że napiszę 1931? Ten rocznik bynajmniej nie świadczy o niewinności, a naiwność nie zawsze mija z wiekiem. Ale starość może poniekąd usposabiać do empatii. Doświadczenia życia każą mi wierzyć, że wszystko jest możliwe, także rzeczy niepojęte. Każdy los i każdy wybór są nieporównywalne do innych. Grzechy i zasługi są niewspółmierne. Sens pozornie takich samych działań bywa diametralnie różny.

Lęk, smutek, zgroza i złość – to przeżywam na myśl, że kiedyś jakiś pracowity lub leniwy ubek czy esbek, a teraz po latach jakiś młody archiwista z IPN mają być hermeneutami ludzkich losów. Gdybyż można było to zostawić Bogu! Albo chociaż sędziom, wyrokującym według prawa i sumienia, albo przyszłym dziejopisom nierozpalonym już potrzebą odbrązowiania.

Żadna data urodzenia nie zwalnia od obowiązku widzenia spraw w kontekście historycznym. Własną, osobiście przeżytą przeszłość też nie każdy rozpatruje we właściwym, tzn. szerokim, zróżnicowanym kontekście. Nie chodzi o to, by kontekst usprawiedliwił, on tylko pozwala wiedzieć, odczytać, a nie wczytać znaczenie słów i wydarzeń. Parafrazując: przeszłość to taki czas, o którym trudno coś mniemać albo też nie mniemać. Przeszłość to rozpadający się pakunek czy kontener z napisem: Ostrożnie! *Fragile!* Nie odwracać! Strach mnie bierze, gdy ktoś do niego pędzi z młotkiem.





Nie napiszę krótkiego referatu ani nie wyeksponuję swego stanowiska, jak... tu wpisać dowolne PESELE. Mogę zrobić coś innego. Z nagromadzonych refleksji wybrać kilka wątków, prosząc o ich rozważenie.

## Trzy „złudzenia”

– tak oceniam te rachuby zwolenników lustracji.

O c z y s z c z e n i e? Na pierwszym miejscu o tym, bo nadzieja na oczyszczenie wciąż powraca i okazuje się daremna. Amerykanie też mieli swoje wydarzenia zbliżone do lustracji. W 1992 roku w Budapeszcie ktoś z ich delegacji rzucił uwagę, którą zanotowałam i podkreślałam: „Nic się nie da oczyścić za pomocą brudów”.

Przypominam, że lustracja taka jak nasza dotyczy nie zbrodni, lecz czynów, których nie da się opisać jako przestępstwa, czyli głównie donosicielstwa, ochotniczego i wymuszanego. Wielu innych przykładów brzydkiej kolaboracji, strachliwego i służalczego zakłamania, zdobywania przywilejów w zamian za głupią i szkodliwą uległość lustrować nikt nie zamierza i słusznie, bo to niewykonalne. Więc gdzie to „oczyszczenie”? Czy naprawdę zdołamy wybielić się za pomocą cienkiej strużki ujawnionych brudów? Albo przez przyjęcie się, jak łamano ludzi, czasem łatwo, a czasem z dużym wysiłkiem, zadając tyle bólu? Czy otwarcie ran nieheroicznych, zbrukanych ofiar uzdrowi dziś tych ludzi, podniesie ich i całe społeczeństwo ku wyżynom? Czy też raczej – jak mówił w radiu profesor Mirosław Kofta – wzrośnie poziom wzajemnej nieufności, lęków i niewiary w siły i szanse sprzeciwiania się złu?

Oczyszczenie jest konieczne. Ale to nie lustracja może je przynieść, tylko jakiś zryw dobra, pomocy wzajemnej, solidarności, troski o innych. Oczyszczenie mogłyby przynieść i przynoszą ludziom ich własne, osobiste akty wyznania prawdy i próby dobrowolnego zadośćuczynienia. Atmosfera lustracyjna podcina ich możliwość: stają się niewiarygodne, podejrzane, podwójnie ryzykowne.

Słowo „oczyszczenie” i słowo „czystka” są sobie bliskie. A przecież ludzie, nawet obciążeni winami, nie są „brudem”, którego trzeba się pozbyć.



Lustracyjne oczyszczenie przypomina mi dążenie do ustanowienia Kościoła Czystych, wolnego od ciężaru grzeszników. Zwolennicy takiego Kościoła szybko zaczęli wznosić stosy, a potem sami też byli paleni.

Przewencja? Zdaniem zwolenników lustracji ma ona zapobiegać dalszym czy nowym naruszeniom praw człowieka – czy prościej: nowym nadużyciom, podobnym do tych, których dotyczy. I to mniemanie spotkało się z protestem już na wspomnianych konferencjach w 1992 i 1993 roku. „Recydywie” trzeba zapobiegać inaczej. Zasadniczo nie ma podstaw do obaw, że w nowej sytuacji, poza systemem autorytarnym, z zachowaniem wolności słowa i trójpodziału oraz wzajemnej kontroli władz, odrodzi się system zmuszania do donosicielstwa szantażem i groźbami – i że będzie on dziełem tych samych ludzi co 15 lub 30 lat temu. Ci ludzie, o ile są wciąż fizycznie zdolni do działania, znów mogą być podejrzani o najgorsze, ale tak samo podejrzani mogą być inni, z dotąd pustą, czystą czy świetlaną kartą (teczką). Mafię mogą tworzyć byli funkcjonariusze, ale też byli bohaterowie albo dorastający już w III Rzeczypospolitej (i we wszystkich następnych, gdyby zaistniały). Dla dzisiejszego rozwoju sytuacji nie ma istotnego znaczenia, czy złe, szkodliwe działania prowadzą ludzie, którzy kiedyś byli TW, czy też zupełnie inni. Chodzi o to, co najróżniejsi ludzie robią teraz, w czasie rzeczywistym.

Jeden wyjątek: w szczególnym podejrzeniu o aktualne naruszanie praw bliźnich mam entuzjastów lustracji. Oni operują na terenie sejsmicznym, szczególnie zagrożonym. Tu z motywów ideologicznych czy ideowych oraz z różnych urazów wylęga się zacietrzewienie i lekceważenie praw i cierpienie konkretnych ludzi. Taka „prewencja” nic nie da.

Przewyciężenie bezkarności? To prawda, że licznym znanym i nieznanym ofiarom systemu doskwiera poczucie, że za ich krzywdy, cierpienia i popełniane na nich zbrodnie nikt nie został ukarany, nie było ani pokuty, ani zadośćuczynienia. Przeciwnie: odnosi się wrażenie, że winni, korzystający ze swego rodzaju amnestii, na ogół zachowują się arogancko.

Czy przyspieszona i rozszerzona lustracja zmieni tę sytuację na korzyść? Może w poszczególnych przypadkach. Może się zdarzyć,



że lustracja tu i ówdzie ułatwi, przyspieszy postępowanie karne przeciw bezpośrednim sprawcom zbrodni, jak w przypadku kopalni „Wujek”. Ale to może być argument jedynie za lustracją docelową, mikrochirurgiczną, ujawniającą, kto paraliżuje wymiar sprawiedliwości. Jednak obecna kampania lustracyjna zdaje się skierowana nie wprost przeciw ludziom dawnego aparatu ucisku, lecz ku podstawie piramidy, ku ludziom winnym kolaboracji w formie donosicielstwa (tylko zresztą „tajnego”, jawni donosiciele mogą spać spokojnie). Zawstydzeni zostaną ci, którzy mają poczucie wstydu, a więc nie najgroźniejsi.

Nie sądzę, by ktoś naprawdę poczuł, że jest bardziej sprawiedliwie, bo napiętnowano postacie marginalne, a nie filary całej struktury.

## Pytanie

Jak to się odbywa? Człowiek, któremu założono teczkę, zostaje oceniony na podstawie jej zawartości. Urzędnik czyta – sprawdza jeszcze informacje o danej osobie w innych teczkach i na tej podstawie klasyfikuje osobę jako „pokrzywdzoną” albo jako „TW” czy „kandydata”, czyli kogoś rozpracowywanego, namawianego do współpracy – dlaczego SB uznaje kogoś za „kandydata”? Skąd ten niezaszczytny wybór?

Żadne sankcje niby to nie grożą temu, kto w jakichś okolicznościach dał asumpt do zaliczenia go (przez funkcjonariusza SB) w szeregi TW. Nie ma więc prawa do procesu karnego, w którym osobie podejrzanej czy oskarżonej przysługuje domniemanie niewinności, a winy dowodzi się w procesie kontradyktoryjnym biorącym pod uwagę racje oskarżenia i obrony. Decyzja lustracyjna to tylko decyzja administracyjna: urzędnik potwierdza lub odrzuca wcześniejszą esbecką decyzję przechowaną w tezcze.

Nie rozumiem, jak ktoś może choćby przypuszczać, że teczka zawiera „całą prawdę” o tym, jak funkcjonariusz „pozyskał” zdobywcę, czyli kolejnego TW, i jak ten spełniał zadania. Funkcjonariusz miał w tym swój interes: jak mógł, tak dążył do odznaczenia się wy-



nikami. Co najmniej dziwna jest wiara, że w PRL-owskiej rzeczywistości totalnego zafalszowywania większości sprawozdań właśnie służba bezpieczeństwa stanowiła oazę prawdy, zaangażowania i rzetelności, a dokumentacja jej pracy była w znaczącej większości prawdziwa.

Oczywiste jest też, że dla wielu osób decyzja administracyjna – zwłaszcza odmowa uznania za „pokrzywdzonego” – pociąga za sobą bardzo poważne konsekwencje. W praktyce upublicznienie takiej decyzji równa się wyrokowi. Pytam więc, czy decyzja lustracyjna nie powinna być jedynie dokumentem wstępnym, jakimś prywatnym ostrzeżeniem, uzyskującym wagę dopiero po potwierdzeniu sądowym?

Lustracyjna „decyzja administracyjna” stwarza problemy przekraczające jej rangę. Państwo nie jest w stanie zapewnić realizacji prawa do sądu wszystkim osobom już dotkniętym statusem podejrzanych – choćby tylko w obecnej kampanii. Spraw jest już tyle, że sądy nie podołałyby konieczności ich rozpoznania. Muszą więc dziwić zapowiedzi przyspieszenia i rozszerzenia lustracji. Nienadążanie będzie powodować nowe krzywdy i wątpliwości. Z prawem do sądu będzie w Polsce coraz gorzej!

Powstaje też bardzo poważna i realna – choć formalnie zlikwidowana – kwestia przedawnienia. Kłamstwo i oszczerstwo lustracyjne popełniane są teraz czy względnie niedawno. Ale dowody pozwalające potwierdzić lub obalić zarzut pochodzą z innej, coraz bardziej odległej epoki. Na pewno stwarza to sytuację deficytu świadków. Podejrzani i oskarżeni sami też będą umierać, nim staną przed sądem.

\*

Co w tej sytuacji począć? Jedyna propozycja, na jaką potrafię się zdobyć, brzmi paradoksalnie: w obliczu faktów dokonanych – jak „lista Wildsteina” – nie zaczynajcie się spieszyć. Za niedomyślane ustawy, przepisy i regulaminy, za niewczesne pomysły już dość płacimy.

Osoby czytające ten tekst będą w innej sytuacji niż ja, kończąc pisanie 10 lutego. Pewne decyzje już zapadną, będzie też widać pierwsze skutki obecnych poczynań. A więc na zakończenie, w miejsce



wniosków, przypowieść nie tracąca aktualności. Zamiast konkluzji, dla zadumy –

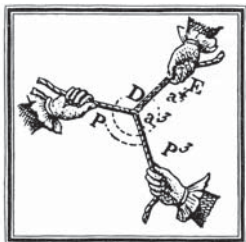
## **Przypowieść**

Dlaczego Jezus pisał na piasku? Mógł po prostu powiedzieć: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”. I kamienowanie cudzołżnicy rozpoczęłoby się natychmiast. Aż trudno byłoby zauważyć, kto je rozpoczął. Rzucaliby winni nienawiści, szalbierstw, pychy, lenistwa, zdrady – ale przecież nie cudzołóstwa. Albo i cudzołóstwa też, tylko że za poduszczeniem złych kobiet, takich jak ta.

To się nie stało, bo jedyny zdolny być sędzią pisał coś na piasku. Gdy się wszyscy rozeszli, wstał i odesłał drobiny piasku na ich dawne miejsca, nim kobieta podniosła się z klęczek. Nic więc nie widziała i zapamiętała, tylko to, co sam Jezus jej powiedział.

10 lutego 2005

HALINA BORTNOWSKA, ur. 1931, członek Komitetu Helsińskiego w Polsce, członek zespołu redakcyjnego miesięcznika „Znak”.



## Porozmawiajmy

Dyskusja z udziałem  
Józefy Hennelowej, ks. Adama  
Bonieckiego, Jarosława Gowina,  
Władysława Stróżewskiego,  
Karola Tarnowskiego  
i Stefana Wilkanowicza

*Spotkaliśmy się w gronie przedstawicieli „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, żeby rozmawiać o lustracji i dekomunizacji – żeby poznać racje jej zwolenników oraz przeciwników i dowiedzieć się, dlaczego ludzie z jednego w gruncie rzeczy środowiska mają w tej trudnej i bolesnej kwestii odmienne zdania. Punktem wyjścia uczyniliśmy dwugłos Jarosława Gowina i Henryka Woźniakowskiego.*

*„Zawartość archiwów tajnych służb powinna zostać ujawniona w imię prawdy i sprawiedliwości” – pisze Jarosław Gowin. Czy Państwo zgadzają się z tą tezą?*

STEFAN WILKANOWICZ: Chciałbym na początek opowiedzieć pewną historię, która – jak sądzę – pozwoli nam unaocznic sobie, jak skomplikowana i trudna do oceny jest kwestia tajnej współpracy z komunistyczną służbą bezpieczeństwa.

W roku 1950 siedziałem w więzieniu w jednej celi z tajnym współpracownikiem – ale jakież to był tajny współpracownik! Członek przed-



wojennej partii komunistycznej, więziony przez sanację; po ucieczce do ZSRR aresztowany przez Sowietów; po rozpoczęciu przez Hitlera wojny ze Związkiem Radzieckim przerzucony do Polski jako partyzant, działacz komunistycznego ruchu oporu, wreszcie więzień obozu koncentracyjnego w Dachau. Cudem uratowany, wrócił do Lublina, gdzie zaproponowano mu współpracę. On, ideowy komunista, zgodził się – i na początek odkrył spółkę złodziei i oficerów milicji, a potem wpadł na trop prokuratorów, którzy wypuszczali więźniów za łapówki. Jego los został przypieczętowany, kiedy w czasie posiedzenia komisji kontroli partyjnej powiedział, że czuje się tak, jakby przesłuchiwało go gestapo. Aresztowano go za wydanie Niemcom grupy Żydów (w rzeczywistości ostrzegł ich i próbował pomóc w ucieczce). Myśmy się w tym więzieniu zaprzyjaźnili. Mój współtowarzysz nieźle orientował się w obyczajach ubecji: przewidział, że wkrótce zostanie zwolniony, i poprosił, bym ostrzegł jego kuzyna. Okazało się zresztą, że ten kuzyn to... były komendant MO w Lublinie.

*A puenta Pańskiej opowieści?*

STEFAN WILKANOWICZ: Jest nią pytanie, czy w teczce mojego współwięźnia mogło być choć jedno słowo prawdy...

JÓZEFA HENNELOWA: W przywołanej przez redakcję tezie Jarosława Gowina nacisk położony został na pojęciach „prawdy” i „sprawiedliwości”. Ja tymczasem chciałabym zaakcentować słowo „ujawniona”. Czy Pan, Panie Jarku, może mi wyjaśnić, jak miałyby się to dokonać? Czy znaczy to, że drzwi archiwów IPN stoją odtąd otworem, nie ma żadnego cerbera: wchodzi – kto chce, grzebie – gdzie chce, i publikuje – co chce? Czy może jednak ma to być działanie uporządkowane, poddane jakimś zasadom? Czy jawność życia publicznego równać się ma anarchii, czy też jednak nie?

JAROSŁAW GOWIN: Nie chodzi mi, rzecz jasna, o udostępnienie zawartości archiwów na zasadzie zbiorów bibliotecznych. Mam na myśli, po pierwsze, coś na kształt Archiwum Gaucka, które na podstawie szczegółowych badań będzie ujawniać nazwiska współpracow-



ników komunistycznych służb bezpieczeństwa. Po drugie, chodzi mi o poszerzenie kategorii osób, które z urzędu poddane byłyby lustracji. Po trzecie wreszcie, domagam się odwrócenia „filozofii” podejścia do PRL-owskiej przeszłości: dotąd kierowano się zasadą niejawności, pora najwyższa, by życie społeczne i pamięć zbiorową oprzeć na zasadzie jawności. Społeczeństwo, które boi się prawdy o swojej przeszłości albo jest wobec niej obojętne, wchodzi na drogę moralnego „unicestwienia” – jak powiedziałby Norwid.

**KAROL TARNOWSKI:** Zasadniczą sprawą jest, jak sędzę, odłączenie lustracji od możliwości manipulacji politycznej, co wydaje się szalenie trudne, prawie niemożliwe. Bo inaczej nie będzie chodzić o prawdę, ale o odwet. Chęć odwetu żeruje na tej niejawności, którą się czuje i która, moim zdaniem, powoduje złe samopoczucie Polaków. Henryk Woźniakowski pyta: „Kto ma prawo osądzać?”. Ale gdyby nie było instancji osądzających, mielibyśmy do czynienia z anomią. Obserwujemy dziś fenomen rosnącej beczelności w życiu publicznym. Nikt nie przyznaje się do winy, każdy się w oczy wypiera. Łatwo powiedzieć, jak Adam Michnik, że musimy przebaczyć. Ale warunkiem przebaczenia jest stanięcie w prawdzie i przyznanie się do winy.

**WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI:** Powiem coś być może bardzo naiwnego, ale chciałbym, żeby ujawnienie archiwów SB opierało się na realizacji podstawowego i najważniejszego imperatywu prawdy. To znaczy: żeby dotyczyło wyłącznie osób, co do których wiadomo, że naprawdę – na pewno! – były współpracownikami reżimu. Nie może być tak jak w tej chwili: mamy listę nazwisk i nie wiadomo, kto jest kim. Trzeba zatem podjąć nieprawdopodobnie trudną pracę weryfikacyjną. Nie wiem, czy to jest wykonalne. Czy te setki tysięcy nazwisk można przebadać, tak by z pełną odpowiedzialnością powiedzieć: „To był agent”? Gdyby taka możliwość istniała, nie miałbym nic przeciwko temu, by te nazwiska ujawnić.

**JAROSŁAW GOWIN:** Oczywiście, zgadzam się, że lustracja powinna być przeprowadzona możliwie najostrożniej, ale – po pierwsze –





istnieją rzetelne metody historyczne pozwalające w większości przypadków orzec z całkowitą pewnością, czy ktoś był czy nie był współpracownikiem. Po drugie zaś, ujawnianie nazwisk byłych agentów komunistycznych jest kwestią polskiej racji stanu, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o ludzi czynnych zawodowo. Nie wierzę bowiem, by jakikolwiek obcy wywiad wypuścił takich ludzi z rąk – to byłby z jego strony skrajny brak profesjonalizmu. Lękam się o kraj, w którym ważne funkcje pełnią ludzie z przeszłością agenturalną. Afera Orłenu pokazała rzecz wstrząsającą: grupa osób związanych z byłymi służbami komunistycznymi o mały włos nie sprzedała naszej suwerenności Rosjanom. Mało brakowało, a pozwoliliby im przejąć kontrolę nad naszą gospodarką. Czy Polska może pozwolić tym ludziom normalnie funkcjonować w życiu publicznym i gospodarczym?!

*Z tym ostatnim argumentem – polską racją stanu – trudno się nie zgodzić. Pozostaje jednak pytanie, jak szeroka powinna być lustracja...*

JÓZEFA HENNELOWA: Lustracja ludzi zaufania publicznego – prezydenta, parlamentarzystów – jest oczywista i przecież realizowana od lat. Podajemy do wiadomości fakty i niech rozstrzyga głos wyborców. W stosunku do urzędników państwowych może to być zobowiązanie pracodawcy, by nie zatrudniał tajnych współpracowników. Ale co z sektorem prywatnym? W jaki sposób można zobowiązać prywatnych pracodawców, by wyrzucali z pracy lub nie przyjmowali kogoś, kto współpracował z reżimem? Mówimy z tęsknotą o oczyszczeniu życia publicznego, ale jak tego dokonać? Poprzez listy proskrypcyjne? Jak długo i w jaki sposób mamy demonstrować nasze potępienie?

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: Tu nie chodzi o potępienie, ale o uniemożliwienie złych działań.

KS. ADAM BONIECKI: A co zrobić z dziennikarzem, który kiedyś był donosicielem, a dzisiaj pracuje w prywatnej gazecie? Przecież nie można kazać go stamtąd wyrzucić.



JAROSŁAW GOWIN: Ale można jego nazwisko podać do publicznej wiadomości. Czytelnicy mają prawo wiedzieć, kto kształtuje ich poglądy. Jeśli prywatny wydawca chce zatrudnić byłego agenta – proszę bardzo, ale niech wiedzą o tym czytelnicy. Moim zdaniem, szybko okaże się, że media samorzutnie oczyszczą się z takich ludzi. Czy Państwo zwrócili uwagę na charakterystyczną różnicę pokoleniową wobec „sprawy Wildsteina”? Otóż zdecydowanymi zwolennikami lustracji okazuje się najmłodsze pokolenie dziennikarzy. Młodzi ludzie nie chcą żyć w atmosferze zakłamania i zamazywania norm moralnych. Osobna sprawa to media publiczne. Uważam, że ludzie z przeszłością agenturalną powinni mieć zakaz pracy w publicznych środkach komunikacji.

*Doszliśmy w ten sposób do lustracji dziennikarzy...*

JÓZEFA HENNELOWA: I bardzo dobrze, bo ja na przykład naprawdę nie czuję się kompetentna, żeby wypowiadać się na temat gospodarczej suwerenności naszego kraju. Jarosław Gowin zaczyna swój tekst od przywołania zarzutów kierowanych wobec środowiska „Tygodnika Powszechnego” i Znak. Środowisko to jest dziś gwałtownie atakowane – oskarża się je, że skoro boi się ujawnienia teczek, to widać ma ku temu osobiste powody. Pytam Panów: czy, w ramach tak tu nazwanego dążenia do prawdy, mielibyśmy teraz na gwałt zwracać się do IPN o świadectwo moralności? Wydawało mi się zawsze, że najlepszą weryfikacją są nasze czyny: to, co robiliśmy i co robimy.

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: Jeśli ktoś stawia naszemu środowisku jakieś zarzuty, powinien je uzasadnić, a nie domagać się, żebyśmy dowodzili, iż nie jesteśmy wielbłądami. „Tygodnik” i „Znak” oddziaływały na społeczeństwo jawnie poprzez publikowane na ich łamach artykuły. I jeśli ktoś ma do nas jakiegokolwiek pretensję, to mogą one dotyczyć wyłącznie tej sfery jawności – naszej linii programowej, po prostu.

JAROSŁAW GOWIN: Mają Państwo absolutną rację. To środowisko, a ściślej: jego starsza generacja, ma powody do dumy z racji



postawy, jaką zajmowało w czasach komunizmu. Nonsensem byłyby próby autolustracji. Od tego są historycy. Ubolewam natomiast, że często płyną z naszych szeregów opinie moralnie dezawuuujące postulat lustracji. To właśnie z tego powodu pojawiają się, wspomniane przez panią Hannelową, insynuacje.

KS. ADAM BONIECKI: Tu nie chodzi o udowadnianie tego, że się nie jest wielbłądem. Nam potrzebne jest rzetelne opracowanie, które można by zatytułować: „»Tygodnik« w oczach Służby Bezpieczeństwa”. I ono powinno jak najszybciej powstać, tak samo jak powstają prace poświęcone na przykład prezentowanej na naszych łamach problematyce niemieckiej czy żydowskiej. Podstawowe pytanie odnajduję w wypowiedzi Władysława Stróżewskiego: co z tego miało by wynikać? Przeanalizujmy to, oceńmy. Bo przecież owi hipotetyczni agenci w „Tygodniku” nie informowali o tajnych spiskach, bo takowych nie było. Ich działalność, jak sądzę, mogła co najwyżej zdążać do nadania „Tygodnikowi” określonego charakteru. Tak jak efektem działalności jakiegoś agenta ulokowanego w krakowskiej Kurii było przełamanie niechęci kurialistów i przyjęcie formularza sprawozdań majątkowych księży, który chciała mieć Służba Bezpieczeństwa. Jak wiadomo, Kościół z tego powodu nie runął ani nawet specjalnie nie zadrżał. To były, jak sądzę, raczej usiłowania bycia „agentem wpływu”.

Chciałbym powiedzieć jasno: oczekujemy, że IPN, posługując się, rzecz jasna, odpowiednim aparatem hermeneutycznym (dzięki któremu prawda zostanie oddzielona od fałszu, a tajny współpracownik od kandydata na TW itp.), opublikuje materiały związane z „Tygodnikiem”.

JÓZEFA HENNELOWA: Co do naszego dziennikarskiego podwórka, muszę się przyznać, że dwuznaczna jest dla mnie sytuacja, kiedy prym w żądaniu lustrowania Polaków wieździe pismo kierowane przez byłego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. A on sam chodzi w glorii sprawiedliwego. Czy tak ma wyglądać to „oczyszczenie”?



*„Ujawnienie działalności agentów postawi na nowo pytanie o odpowiedzialność ich mocodawców” – pisze Jarosław Gowin. Czy na pewno? A może raczej odciągnie naszą uwagę od rzeczywistych sprawców zła: od tych, którzy wydawali rozkazy, popełniali zbrodnie, łamali charaktery?*

STEFAN WILKANOWICZ: Mam pewne wyobrażenie lustracji – takiej, jaka jest teraz potrzebna, choć pewnie już niemożliwa. Po pierwsze: trzeba szybko sprawdzić, który z funkcjonariuszy i tajnych współpracowników SB może być nadal niebezpieczny. Trzęsę się ze strachu na myśl, że nie uda się odkryć osób, które stoją za aferami grożącymi utratą suwerenności gospodarczej...

JÓZEFA HENNELOWA: Kto ma sprawdzać, odkrywać?

STEFAN WILKANOWICZ: Oczywiście, Instytut Pamięci Narodowej. Powtarzam: nie mam wątpliwości, że trzeba się skupić na tych osobach, które mogą być dziś nadal groźne. Spotykam bowiem co jakiś czas niebezpieczne prowokacje – mają one zarówno zagraniczne, jak i krajowe źródła... Dopiero w drugiej kolejności należy zająć się ludźmi, którzy byli i są niewątpliwymi szujami, ale nie stanowią już bezpośredniego zagrożenia.

KAROL TARNOWSKI: Bardzo ważna jest dla mnie kwestia dekomunizacji. Nie doszło do niej ze względów (częściowo) politycznych, ale także z powodu niechlujstwa moralnego Polaków, z wrodzonej niechęci do szukania prawdy, bo nigdy nie wiadomo, czy ta prawda nie powali. (Notabene: Teresa Bogucka opublikowała w „Gazecie Wyborczej” świetny artykuł o tym, że całe społeczeństwo spycha w podświadomość swoje uwikłanie w system). Niemniej wciąż istnieje, moim zdaniem, potrzeba uporania się z totalizmem komunistycznym. Rzeczą zasadniczą zatem wydaje mi się to, co powiedział niedawno Krzysztof Kozłowski: szukamy tajnych współpracowników, ale co z jawnymi?! Co z ewidentnymi kolaborantami, takimi jak Ryszard Bender, którzy dziś zabierają głos jako osoby pokrzywdzone?



JAROSŁAW GOWIN: Unikałbym takich kwalifikacji, a w każdym razie nie stawiałbym ludzi w rodzaju Bendera czy części PAX-owców w jednym szeregu z donosicielami. Nie rozumiem zarzutów wobec IPN, że udostępnił teczkę Ryszardowi Benderowi: skoro jest prawomocnie przyjęta ustawa i w jej świetle ktoś musi być uznany za osobę pokrzywdzoną, to IPN ma obowiązek udostępnić mu jego teczkę, choćby postawa tej osoby skądinąd budziła moralne wątpliwości. Inna rzecz to pytanie, dlaczego potępiać na przykład Bendera, jeśli za człowieka honoru niektóre środowiska uznają generała Kiszczaka.

JÓZEFA HENNELOWA: Coraz częściej odzywają się głosy fachowców, którzy mówią: trzeba przyznać się do braków w ustawie o IPN. To zdumiewające, że – zgodnie z ustawą – kolaboracja z reżimem nie ma żadnego znaczenia, natomiast bardzo łatwo odmawia się ludziom statusu pokrzywdzonych, wydając w ten sposób na nich wyrok, i to ostateczny, nawet jeśli byli szykanowani, ale na przykład nie zachowała się ich dokumentacja.

JAROSŁAW GOWIN: O brakach w ustawie urzędnicy IPN alarmowali od dawna, ale przyznam, że nie słyszałem, by komukolwiek z prześladowanych odmówiono statusu pokrzywdzonych. Natomiast ustawę trzeba zmienić jak najszybciej. Jednym z ważnych elementów owej zmiany powinno być objęcie lustracją ludzi zrekrutowanych do tajnych służb po roku 1983 – to jest grupa najgroźniejsza, oni są dzisiaj czynni zawodowo, są na szczytach swoich karier.

*Pełna zgoda, ale są jeszcze tzw. szarzy ludzie – kiedyś szantażowani, straszeni, podejmujący grę z bezpieczeństwem itp. Oni są dziś zupełnie nieszkodliwi. I bardzo się boją. Niektórzy swoją późniejszą postawą już dawno odkupili tamten nieszczęsny podpis. Jakie my mamy prawo, żeby ich osądzać na podstawie teczek?*

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: Godny zainteresowania jest pomysł abp. Życińskiego, żeby powołać instytucję, w której ludzie mogliby się uczciwie usprawiedliwić i oczyścić. Każdemu wolno zmienić swoje życie – cała pedagogika chrześcijańska, sakrament pokuty



itp. nie miałyby sensu, gdybyśmy nie wierzyli w możliwość nawrócenia.

JAROSŁAW GOWIN: Bronisław Wildstein, któremu się zarzuca, iż jest „barbarzyńskim” lustratorem, mówi, że na ludzi, którzy zmienili swoje życie, patrzy jak na bohaterów... A co do tych, którzy dali się uwikłać i żyją z głębokim cierpieniem w duszy, to rzeczywiście propozycja abp. Zycińskiego adresowana jest właśnie do nich. Zastrzegłbym jednak, że póki nie wyznają swoich win (choćby w kręgu przyjaciół, tych, na których pisali donosy), nie mają moralnego prawa do pełnienia pewnych funkcji, do wykonywania niektórych zawodów.

*Na przykład jakich?*

JAROSŁAW GOWIN: Tak zwanych zawodów zaufania społecznego. Nie powinni być politykami, nauczycielami, dziennikarzami, adwokatami, sędziami...

JÓZEFA HENNELOWA: Może się okazać, że zaczniemy wkrótce być świadkami końca autorytetów...

JAROSŁAW GOWIN: Dlaczego? Zupełnie tego argumentu nie rozumiem. Jeśli ktoś donosił, jest fałszywym autorytetem i nie boleję nad tym, że tę pozycję utraci. Natomiast zdecydowana większość autorytetów – jestem o tym głęboko przekonany – wyjdzie z procesu ujawniania zawartości teczek wzmocniona. Jaki uszczerbek autorytetowi Jana Nowaka-Jeziorańskiego przyniosło to, że sam ujawnił treść swoich akt?

JÓZEFA HENNELOWA: Nie wiem, skąd Pan czerpie taką radosną nadzieję, że prawdziwe autorytety się ostoją. Już teraz jesteśmy świadkami fali pomówień. Czy trzeba przywoływać przykłady?

KS. ADAM BONIECKI: Prawda zawsze wyjdzie na jaw. Człowiek, o którego chodzi, mógł i nadal może wyznać swą winę, może wyjaśnić okoliczności swego zaangażowania, zaplątania i powody, dla



których – świadom, co robi, a może nawet nie zdając sobie z tego sprawy – podjął współpracę. Ale argument o ochronie autorytetów przez zatajanie mnie nie przekonuje. Cóż to byłby za autorytet, gdybyśmy przed opinią publiczną musieli ukrywać jego tajemne sprawy?

*Przeciwnicy lustracji mówią, że w Polsce ogarniętej gorączką lustracyjną najmniejszych szans na to, żeby zostać trzynastym apostołem, nie miałby święty Paweł...*

JAROSŁAW GOWIN: Pytanie, czy ten polski Szaweł rzeczywiście zamienił się w Pawła... W pojedynczych przypadkach z pewnością tak, ale działalność obozu postkomunistycznego w ostatnich szesnastu latach pokazuje, że tu nie ma żadnej zmiany. Cynizm, powszechnie demonstrowany dziś w życiu publicznym, to – w ogromnej mierze – skutek lekcji hipokryzji, jaką społeczeństwo odebrało po roku 1989, kiedy ci, którzy łamali ludzi i budowali system komunistyczny, przeszli suchą nogą na drugi brzeg.

JÓZEFA HENNELOWA: Środowiska „solidarnościowe” powinny przeprowadzić wielki rachunek sumienia za te kolejne zmarnowane okazje, kiedy można było przemyśleć i przeprowadzić w Sejmie odpowiednie regulacje prawne dotyczące lustracji i odpowiedzialności za zło komunizmu. Smutno wspomnieć, jak niepoważną awanturą była pierwsza uchwała w sprawie lustracji. Dlaczego kolejne rządy solidarnościowe nie wyciągnęły wniosków z raportu komisji Rokity powołanej (w pierwszych miesiącach sejmu kontraktowego!) do zbadania wszystkich przypadków śmierci w stanie wojennym. Sam autor raportu też był przecież sporo czasu u władzy. Kto pamięta, że rząd Hanny Suchockiej przygotowywał projekt ustawy lustracyjnej? Ale ten gabinet, odwołany przez klub solidarnościowy, zastąpiony został rządami lewicy...

*Zrozumienie i wyciągnięcie wniosków z tego, czego uczy nas historia – w tym wypadku historia PRL – to kolejny ważny argument pojawiający się w sporach wokół lustracji... Chodziłoby zatem o prawdę na temat przeszłości, a nie o jej zamazywanie.*



KAROL TARNOWSKI: Ocena Polski Ludowej jest rzeczą niezwykle trudną. Pojawia się pytanie, czy w PRL istniało jakieś *quasi*-normalne polskie życie, czy też był to wyłącznie rządzony z zewnątrz totalizm. Dostrzegam tu potrzebę ogromnej pracy intelektualnej służącej odbudowaniu kryteriów moralnych – podstaw odróżniania tego, co białe, od tego, co czarne. Pracy tej wciąż nie wykonano, co z jednej strony jest skutkiem niechęci wypływającej z tego, o czym pisała Bogucka, z drugiej – jak sądzę – z niedoceniaenia proteuszowej strategii wymyślonej przez Stalina, który zwodził społeczeństwo chwilowymi liberalizacjami, po to żeby potem tym silniej chwycić je w swoje kleszcze. Było to obliczone na zmęczenie tegoż społeczeństwa – ono myślało już, że system się rozluźnia, a potem zaraz zostawało przywołane do porządku. Przykładem może być stan wojenny...

Wyzwalanie się od tego systemu nie jest żadną zasługą władzy, a wyłącznie obywatelskiego nieposłuszeństwa. Tym bardziej godne ubolewania jest bezrefleksyjne „przebaczenie” takim ludziom jak Kiszczak. Z całą pewnością kluczowe byłoby zatem dokonanie jasnej oceny rozkazodawców i płatnych świadomych „etatowców” w służbie zniewalania społeczeństwa. Wtedy też moglibyśmy jednoznacznie ocenić tajną kolaborację, o której tu głównie mówimy.

KS. ADAM BONIECKI: Trzeba rozumieć czasy, o których rozmawiamy. Żyjąc w PRL, należało wypracować jakiś *modus vivendi*; konieczne były kompromisy i pozostawał zawsze problem ich granicy. Tolerowanie „Tygodnika” było okupione zgodą na spotkania z pracownikami Urzędu ds. Wyznań, a nawet z funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa. Czy to była kolaboracja, jeśli człowiek, który był do tego oddelegowany, zdawał ze wszystkiego sprawę Turowiczowi? Ktoś może powiedzieć, że była, bo „Tygodnik” nie podkładał bomb pod budynek partii, tylko szukał kompromisu. Ale to byłoby myślenie naiwne i ahistoryczne.

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: PRL nie był monolitem. On się zmieniał. I nieco inaczej należy oceniać coś, co działo się na przykład w latach 50., a inaczej – już po wprowadzeniu stanu wojennego.





*Odmowa udziału w wyborach w latach 50. była heroizmem, a w latach 80. dla wielu ludzi zwykłą przyzwoitością. To tylko jeden z przykładów.*

KAROL TARNOWSKI: Jeśli na przykład ktoś był w partii z pobudek, że tak powiem, czystych – próbował ratować swoją placówkę, rodzinę, a potem jak tylko mógł, wymanipulował się z tego uwikłania – to trzeba podkreślić, że poszedł w dobrą stronę, trzeba go odzielić od skończonych łotrów. To dla mnie oczywiste.

JAROSŁAW GOWIN: No tak, ale czy tę skomplikowaną prawdę o PRL można odsłonić bez lustracji? Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę Państwa na to, że lustracja służy nie tylko ujawnianiu ciemnych stron ludzkich biografii. Czasem jest wręcz odwrotnie. Media coraz częściej opisują ostatnio przypadki działaczy podziemia solidarnościowego, niesłusznie oskarżanych przez swoich kolegów o to, że byli agentami. Co więcej: autorami tych oskarżeń byli prawdziwi tajni współpracownicy. Dopiero dzięki akcji lustracyjnej można oczyścić tych ludzi z niesprawiedliwych zarzutów.

STEFAN WILKANOWICZ: Muszę Państwu coś jeszcze opowiedzieć. Blisko pięćdziesiąt lat temu pewien mój bliski znajomy podlegał silnym naciskom funkcjonariusza SB, który usiłował go zwerbować jako tajnego współpracownika. Mój znajomy bronił się, ale naciski i groźby były silne. Opowiedział o tym kilku osobom, między innymi mnie – radził się nas, co ma robić. Doszliśmy wówczas wspólnie do przekonania, że SB uwzięła się na niego i że powinien w związku z tym zmienić miejsce (to znaczy: miasto) zamieszkania. Może wtedy dadzą mu spokój. Ten znajomy posłuchał nas: wyjechał – i na tym sprawa się zakończyła.

Przed dwoma laty ów człowiek został uznany za kłamcę lustracyjnego. Odwołał się – i powołał mnie na świadka. Sąd Apelacyjny przesłuchał mnie dosyć pobieżnie, zlekceważył moje świadectwo i... podtrzymał wyrok. Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który – surowo krytykując Sąd Apelacyjny – odesłał ją do ponownego rozpatrzenia. Tym razem sąd – w innym składzie – wnikliwie przepro-



wadził przesłuchanie (pokazywano mi na przykład fragmenty raportów owego funkcjonariusza – robiły wrażenie kompilacji informacji i plotek pochodzących z różnych źródeł). Na następnej rozprawie ma zeznawać inny nasz kolega, również pamiętający tamtą sprawę. Mam nadzieję, że tym razem rzecz zakończy się dla oskarżonego dobrze – ale kiedy to nastąpi?

Może by ktoś spróbował oszacować czas trwania lustracji, biorąc pod uwagę prawdopodobną liczbę spraw podobnych do tej?

**JÓZEFA HENNELOWA:** Ja chciałabym przypomnieć pewną historię, która mną kiedyś wstrząsnęła. Oto pewien zasłużony pisarz, autor świetnych książek, który przez długie lata był tajnym agentem SB. I oto pracownik IPN-u, który całą tę historię podał do wiadomości publicznej już po jego śmierci. I to jest syn owego pisarza. Otóż chcę powiedzieć wyraźnie, że obie rzeczy przerażają mnie w równej mierze: to, że ojciec podjął współpracę z SB, i to, że syn nie wybrał milczenia, lecz tak jakby splunął na grób...

*Artykuł Ryszarda Terleckiego, bo o nim była tu mowa, zupełnie inaczej odebrał na przykład prezes IPN prof. Leon Kieres. Dla niego to była spowiedź i oczyszczenie, dokonane przez syna w imieniu nieżyjącego ojca.*

**JAROSŁAW GOWIN:** Ja odebrałem ten tekst tak samo jak profesor Kieres...

**JÓZEFA HENNELOWA:** Pozostanę przy swoim zdaniu: to straszne. I czasem zastanawiam się, czy w tej wizji oczekiwania na wielkie oczyszczenie, które dokonać się ma przy pomocy ludzi czystych jak dźwięk skrzypiec (takich jak na przykład Bronisław Wildstein), społeczeństwo zgodzi się potem używać tych samych chodników, po których będą chodzili byli TW i suuje, i różni tacy zaplątani ludzie, i anioły. Anioły powinny mieć chyba śnieżnobiałe skrzydełka przyczepione do klap żakietów i marynarek, ale nie jestem pewna, czy to społeczeństwo moich marzeń. Może zresztą go nie dożyję...



JAROSŁAW GOWIN: Myślę, że nikt w Polsce nie ma nadziei na wielkie oczyszczenie moralne – i chyba nikt poważny nie stroi się w szaty anielskie. Chodzi jedynie o to, żeby ludzi, którzy czynili zło – i nadal są jakimś zagrożeniem dla Polski – pozbawić możliwości działania. To nie będzie żadne wielkie *katharsis*. Współczesne społeczeństwo niemieckie nie stało się społeczeństwem aniołów przez to, że przeprowadzono tam akcję lustracyjną. Natomiast nie widzę żadnych powodów, dla których mielibyśmy się bać tej części prawdy – choćby to była prawda bardzo przykra – o społeczeństwie, o ludzkiej naturze, a często o nas samych.

KAROL TARNOWSKI: Ja dostrzegam, niestety, próby strojenia się w anielskie pióra, podejmowane przez niektórych polityków. I to tych, których nie mogę nazwać niepoważnymi, także ze względu na funkcje, które najprawdopodobniej obejmą po najbliższych wyborach.

*Spróbujmy podsumować. Zgadząmy się co do konieczności przeprowadzenia lustracji, spieramy się zaś o jej zakres, sposób przeprowadzenia i cenę, jaką przyjdzie za nią zapłacić. Nie boimy się ujawnienia materiałów SB na temat naszego środowiska, uważamy jednak, że ta praca należy do historyków. I staramy się dostrzegać owe komplikacje, o których na początku tej rozmowy mówił red. Stefan Wilkanowicz.*

JÓZEFA HENNELOWA: Powinniśmy chyba jeszcze rozdzielić dwie rzeczy. Czym innym jest sprawa teczek, które społeczeństwo chce poznać – najlepiej w całości (takie przynajmniej słychać oczekiwania), czym innym poważne studia historyczne, a jeszcze czym innym ustawa lustracyjna, którą należałoby rozszerzyć. Zgoda co do konieczności poprawienia ustawy i poparcie dla pracy historyków nie oznacza zgody na powszechny dostęp do teczek (i wszelkich danych osobistych, które one kryją). Wydaje mi się, że ogółowi powszechna lustracja kojarzy się nie z prawną procedurą prowadzoną przez upoważnione instytucje, ale właśnie z powszechnym dostępem do archiwów. Pod takim żądaniem nie zamierzam się podpisywać.



JAROSŁAW GOWIN: Nikt takiego żądania na serio nie formuluje...

JÓZEFA HENNELOWA: Zapewniam Pana, że wielu ludzi w taki właśnie sposób odczyta Pański tekst.

*Czy Państwo zwrócą się do IPN o wgląd do swoich teczek?*

STEFAN WILKANOWICZ: Nie zamierzam starać się o wgląd do mojej teczki, bo szkoda mi na to czasu – mam go już niezbyt wiele, a nowe projekty rozmnażają się jak króliki.

KS. ADAM BONIECKI: Już dawno się o to zwróciłem. Dlaczego? Nie dlatego, żeby szczególnie mnie interesowało, czy ktoś na mnie donosił, a jeśli tak, to kto, ale interesuje mnie, jak w oczach ówczesnych władz i SB wyglądała moja praca w duszpasterstwie akademickim i nie tylko tam. Już wtedy mnie to intrygowało i po każdym przesłuchaniu starałem się to sobie odtworzyć. Samo pytanie, co oni wiedzą (wiedzieli) i co z tego rozumieją, intryguje. Miałem wrażenie, że ich wiedza jest dość fragmentaryczna i nie zawsze poprawna. No i okres pracy w Watykanie. Miałem, jak sądzę, podstawy, by sądzić, że jestem obserwowany, poddawany różnym działaniom. Teraz jestem ciekawy, co było dziełem mojej imaginacji, a co znajduje potwierdzenie w dokumentach. Kłopot w tym, że podobno tych dokumentów nie ma. Oficjalnej odpowiedzi nie dostałem, więc czekam. Kiedy je przeczytam, opowiem, jak było.

JÓZEFA HENNELOWA: Nie zamierzam oglądać mojej teczki (jeśli jest) – mnie to nie interesuje. Dodam przy tym, że najbardziej przerażają mnie ludzkie reakcje w rodzaju: „muszę wiedzieć, kto to był”. Bo to, że ktoś chce wiedzieć, co się z nim działo, czy był podsłuch w mieszkaniu, czy w pracy był ktoś, kto donosił – to jest zrozumiałe. Ale przeraża mnie ta ludzka potrzeba, żeby wiedzieć, „kto”: może brat, szwagier albo sąsiad? Zwolennicy lustracji lubią w tym kontekście cytować słowa Jezusa, zapisane przez św. Jana: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 32). A mnie się wtedy przypomina inny fragment Biblii i ktoś – bynajmniej nie Jezus – kto mówi do



pierwszego człowieka: „Będziecie jako bogowie znający dobro i zło” (Rdz 3, 5). Cóż na to poradzę, że teczki kojarzą mi się raczej z drzewem wiadomości dobrego i złego niż ze „źródłem prawdy”?!

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI: Nie mam ochoty szukać swojej teczki, która pewnie istnieje, bo przecież musiał pozostać jakiś ślad po tym, jak Służba Bezpieczeństwa wzywała mnie na rozmowę. To, co ich wówczas interesowało, to był „Znak”, a częściowo „Tygodnik”. Oni nalegali, żebym napisał coś na ten temat. Byle co: na przykład o atmosferze w pracy... Ale, Pan Bóg łaskaw, nigdy się na to nie zgodziłem. Czy się boję zawartości mojej teczki? Może trochę tego, co tam napisali, bo różne rzeczy mogli wymyślić, a ja nie miałem możliwości przeczytania tej ich notatki sporządzonej po naszym spotkaniu. A poza tym człowiek może niekiedy powiedzieć o jedno słowo za dużo. Boję się, że mogło paść takie słowo – ono na pewno nikomu nie zaszkodziło, ale dla całej sprawy mogło się okazać niefortunne. Nie interesuje mnie natomiast to, kto na mnie donosił.

KAROL TARNOWSKI: Ja nie zaglądnę do mojej teczki – szkoda mi na to czasu, wolę się zająć swoją pracą. Skądinąd wiem, że funkcjonują tam jako „agent Kurii”. Domyślam się także, kto na mnie donosił, ale cóż mi z ewentualnego upewnienia się co do tego?

JAROSŁAW GOWIN: Ja podobnie. Po pierwsze, nie wiem, czy w ogóle miałem swoją teczkę, bo w czasach PRL-u byłem młodym człowiekiem, jakimś zupełnie szeregowym działaczem podziemia. Po drugie, mam poczucie, że za dużo jeszcze przede mną pracy, żebym oglądał się wstecz. Jeśli natomiast ta teczka istnieje, to – skoro wypowiadam się publicznie, skoro pełnię funkcje wiążące się z zaufaniem publicznym – chciałbym, żeby historycy i dziennikarze mieli do niej dostęp. W imię jawności, bez której nie da się zbudować prawdziwej demokracji.

7 lutego 2005

*Rozmowę przeprowadzili Michał Bardel i Janusz Poniewierski*



## HENRYK WOŹNIAKOWSKI, Głos do dyskusji

Ponieważ nie mogłem uczestniczyć w dyskusji, korzystam z przywileju wypowiedzi pisemnej.

1. Cieszę się, że Jarosław Gowin zmienił swe stanowisko w sprawie o zasadniczym znaczeniu będącej głównym punktem naszej kontrowersji, twierdząc obecnie, że nikt na serio nie formułuje żądania powszechnego dostępu do ubeckich archiwów. Nie tylko bowiem Józefa Hennelowa, ja także sformułowania takie jak „zawartość archiwów tajnych służb powinna zostać ujawniona w imię prawdy i sprawiedliwości” (s. 16), „należy ujawnić zawartość teczek” (s. 19), „gdyby archiwa służb specjalnych otwarto piętnaście lat temu” (s. 16) itp. odczytałem jako wezwanie do powszechnego udostępnienia archiwów, a co za tym idzie – lustracji powszechnej, „ludowej”, ze wszystkimi jej konsekwencjami. Przypuszczam, że na tę zmianę stanowiska wpłynęła sprawa „listy Wildsteina” (zwracam uwagę, że nasze teksty zostały napisane przed jej wyniesieniem z IPN!), która dowodnie pokazuje, że ujawnianie nazwisk współpracowników komunistycznych służb winno być skutkiem szczegółowych i kompetentnych badań prowadzonych przez dobrze wykształcone i odpowiedzialne osoby w ramach instytucji działającej w oparciu o klarowny mandat ustawowy i posługującej się precyzyjnymi procedurami. Taką instytucją powinien być IPN i ma wszelkie szanse stać się nią po poprawieniu ustawy i praktyki działania, których niedostatki pokazało samo życie. IPN, który – choć formalnie rzecz biorąc, nie jest organem lustracyjnym, bowiem jest nim sąd lustracyjny oraz Rzecznik Interesu Publicznego – jako depozytariusz akt, ich dysponent i pierwszy interpretator ustalający, komu przysługuje status pokrzywdzonego, a komu nie, odgrywa w tym procesie zasadniczą rolę. Dlatego więc ja nie pytam, „kto ma prawo osądzać”, jak uważa Karol Tarnowski, tylko dopominam się o to, by zanim sami zabierzemy się do wyrokowania, pozwolic osobom oraz instytucjom dysponującym odpowiednimi po temu narzędziami i kompetencjami określić, kto był agentem, kto kandydatem, kto złamaną w chwili słabości ofiarą, kto przedmiotem ubeckiej manipulacji, kto zaś oparł się wszelkim zakusom.



2. Wyniesienie przez Wildsteina słynnej listy nie tylko stało się źródłem krzywdy wielu niewinnych osób, ale może również utrudnić i spowolnić proces lustracji tych, którzy mają jej być w pierwszym rzędzie poddani ze względu na zbliżające się wybory. Nie było żadnego „stanu wyższej konieczności” (czyli zagrożenia państwa), jak chcą pewni publicyści, który mógłby ten czyn usprawiedliwić, teraz jednak nie ma co biadać, tylko trzeba pytać: czy to zło, które się stało, może uaktywnić jakieś dobro? Z pewnością dobrem jest ogólnonarodowa debata o lustracji i jej formach, niezależnie od tego, że się w niej nie uzyska ogólnonarodowego konsensu. Obserwuję ją wyrywkowo, ale zdaje mi się, że odchodzi ona od emocjonalnych wykrzykników ku pokazywaniu tej kwestii w całej złożoności. Mam też nadzieję, że obroni się przed nachalną i grubo szytą instrumentalizacją, a nawet ideologizacją przez polityków z obu stron politycznego spektrum. Dobrem będzie – jeśli do tego dojdzie – przyspieszenie działań legislacyjnych wypełniających wiadome luki w ustawie o IPN i ustawie lustracyjnej (*nota bene* – aktów, mam wrażenie, nieznaną większości publicystów ostatnio głośniejszych w sprawie lustracji), które z jednej strony pozwolą poszerzyć listę publicznych stanowisk podlegających oświadczeniom lustracyjnym, z drugiej zaś ułatwią oczyszczenie się osobom niesłusznie zakwalifikowanym jako tajni współpracownicy.

3. Kluczowe pytanie, które przewija się przez całą narodową debatę i przez naszą dyskusję, pozostaje wciąż bez dobrej odpowiedzi. Zgadza się z Jarosławem Gowinem, że nie całe archiwum IPN powinno być publicznie dostępne. Ale czy wiemy, co może – czy co powinno – stać się publiczną własnością? Zapewne zgodzilibyśmy się na udostępnienie akt jednoznacznych, notorycznych donosicieli czy agentów komunistycznych służb, zwłaszcza takich, którzy ubiegają się o funkcję publiczną lub ją pełnią, nawet jeśli w oświadczeniu lustracyjnym przyznali się do współpracy. Zapewne zgodzimy się, że pokrzywdzeni powinni mieć prawo do decyzji w sprawie publicznego dostępu do swoich akt – nawet jeśli pełnią funkcję publiczną. Ale jak potraktować przykłady przywołane przez Stefana Wilkanowicza? Co zrobić z wybitnym publicystą, który schwytyany z antykomunistycznymi ulotkami w 1945 r. jako kilkunastoletni chłó-



pak i skatowany przez UB – podpisał zgodę na współpracę, z której nigdy się później nie wywiązał, lecz w świetle klasyfikacji dotyczących go dokumentów jest TW, a nie pokrzywdzonym? (Ten anonimowy, lecz rzeczywisty przykład pochodzi od prominentnego pracownika IPN). Co zrobić z osobami, które pod presją, z braku doświadczenia, niech będzie – z głupoty – podjęły przed dwudziestu albo trzydziestu laty jakąś grę z bezpieką (która – jak słusznie pisze Gowin – była nie do wygrania), ale którym udało się nikomu nie zaszkodzić. Czy osoby takie, jeśli dziś dysponują wysokimi kwalifikacjami i dały w późniejszym życiu świadectwo charakteru – mają być nie tylko skazane na ujawnienie ubeckich papierów, lecz również – tym razem w ramach projektów dekomunizacyjnych – odcięte od pełnienia funkcji publicznych? Te pytania – a można by je mnożyć – stawiam ze świadomością, że prawo nie jest zdolne do wnikań w nieskończone subtelnosci indywidualnych przypadków, a operuje skończoną liczbą kategorii. Zarazem – nie traktuję ich bynajmniej jako retoryczne; uważam je za takie, od których nie możemy uciec, których nie wolno nam zagłuszać ani moralistyczną retoryką, ani świstem miecza Temidy popędzanej do szybkich rozstrzygnięć. To konieczne, jeśli obecny etap debaty o lustracji ma nas przybliżyć do rozrachunku z widmem komunistycznej przeszłości, nie być źródłem krzywd i nie pogrążyć nas w moralnym chaosie.

KS. ADAM BONIECKI, publicysta, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”.

JÓZEFA HENNELOWA, publicystka, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”.

KAROL TARNOWSKI, filozof, prof. dr hab., członek redakcji „Znaku”.

WŁADYSŁAW STRÓŻEWSKI, filozof, prof. dr hab., członek zespołu redakcyjnego „Znaku”.

STEFAN WILKANOWICZ, publicysta i działacz katolicki, długoletni redaktor naczelny „Znaku”.





Ks. Tomasz Węclawski

## Spółeczność ludzi wolnych

Chodzi o takie wyrażenie gotowości wybaczenia, żeby ten, kto jej cynicznie nadużywa, wiedział, że ciężaru swojej niegodziwości nie pozbędzie się „aż do trzeciego i czwartego pokolenia”, co symbolicznie należy rozumieć: nigdy.

Zacznę od odniesienia, które w kontekście dyskusji o współczesnych polskich sprawach może się wydać zaskakujące. Przytoczę fragment tekstu, który można uznać za właściwą konstytucję Izraela, Ludu Boga, czyli zgromadzenia ludzi wolnych, którym wszyscy możemy być. W Sychem, kiedy spełnia się Boża obietnica i Izrael staje na danej mu przez Boga ziemi, Jozue mówi do niego:

„Bójcie się (...) Pana i służcie Mu w szczerości i prawdzie! Usuńcie bóstwa, którym służyli wasi przodkowie po drugiej stronie Rzeki i w Egipcie, a służcie Panu! Gdyby jednak wam się nie podobało służyć Panu, rozstrzygnijcie dziś, komu służyć chcecie, czy bóstwom, którym służyli wasi przodkowie po drugiej stronie Rzeki, czy też bóstwom Amorytów, w których kraju zamieszkaliście. Ja sam i mój dom służyć chcemy Panu”.

Naród wówczas odrzekł tymi słowami: „Dalekie jest to od nas, abyśmy mieli opuścić Pana, a służyć bóstwom obcym! (...) My (...) chcemy służyć Panu, bo On jest naszym Bogiem”.

I rzekł Jozue do ludu: „Wy nie możecie służyć Panu, bo jest On Bogiem świętym i jest Bogiem zazdrosnym, i nie przebaczy wam występków i grzechów. Jeśli opuścicie Pana, aby służyć bogom obcym, ześle na was znów nieszczęścia, a choć przedtem dobrze wam czynił, wtedy sprowadzi gładzę”.



Lecz lud odrzekł Jozemu: „Nie! My chcemy służyć Panu!”. Jozue odpowiedział ludowi: „Wy jesteście świadkami przeciw samym sobie, że wybraliście Pana, aby Mu służyć”. I odpowiedzieli: „Jesteśmy świadkami” (Joz 24, 14-16.18-22).

Ten tekst, jak każdy wielki symbol, ma sens uniwersalny – i dlatego daje się odnieść do spraw każdej innej społeczności, która znalazła się „po drugiej stronie Rzeki”, ale nosi w sobie złą pamięć niewoli (tak jak my) i zarazem wystawiona jest na pokusy i niebezpieczeństwa rosnące na nowo pozyskanej ziemi (tak jak my).

Przytaczam ten tekst w kontekście pytania o prawdę w naszej wspólnej przeszłości i w przyszłości z dwóch prostych względów: 1. to jest tekst, w którym nie ma naiwnych złudzeń co do stanu moralnego i społecznego ludzi, o których mowa; 2. to jest tekst, który zakłada ich wolność – także w tym sensie, że pokazuje, co jest jej fundamentem. Oczywiście, przyjdą nieszczęścia, wróci niewierność dokonanemu wyborowi i nadejdą związane z nią katastrofy. Jednakże w punkcie wyjścia powiedziana została prawda, dokonany został wybór i założony fundament wspólnoty opartej na czymś więcej niż tylko na układzie sił i interesów. Właśnie dlatego uważam przypomnienie tego wyboru – który przecież należy do historii naszego zbawienia – za serdecznie potrzebne wobec współczesnych polskich sporów i spraw.

Poruszę tu zwięźle jedynie dwie kwestie (i o obu będę mówił z perspektywy wiary i jej odniesienia do fundamentów chrześcijańskiego obrazu świata): 1. kwestię prawdy w życiu społecznym i związanego z nią fundamentu zaufania; 2. kwestię winy związanej z nadużyciem zaufania i możliwości wybaczenia.

O obu tych sprawach pisałem już w tekstach, które uważam za coś w rodzaju wyznania mojej „wiary społecznej” – *Siedem słów i Powiedzcie prawdę*<sup>1</sup>. Dlatego pozwalam sobie rzeczy tam powiedziane uczynić teraz punktem wyjścia – dopowiadając je i ukonkretniając w związku z sytuacją, w jakiej znaleźliśmy się dzisiaj.

<sup>1</sup> T. Węclawski, *Siedem słów*, „Tygodnik Powszechny” nr 50/1999; tenże, *Powiedzcie prawdę*, „Znak” nr 569 (10/2002); oba teksty zostały przedrukowane w zbiorze esejów: T. Węclawski, *Powiedzcie prawdę*, Kraków 2003, odpowiednio strony: 5-13 i 14-28.



Łatwo się przekonać, że obie sprawy są ze sobą istotnie powiązane, a ich zwornik stanowi kwestia „fundamentu zaufania” w życiu społecznym. Najbardziej nieszczęsną właściwością III Rzeczypospolitej jest gruntowne i pogłębiające się zaniedbanie tej sprawy. Dlatego powraca ona z coraz bardziej niszczącą siłą, nie tylko w postaci napięć wokół lustracji, ale także rosnącej bezradności większości obywateli wobec własnego państwa, o którym słyszą, że jest tym najlepszym, co można było osiągnąć, i wielkim sukcesem naszego pokolenia, zakłócanym jedynie przez nieodpowiedzialność „oszołomów” albo „populistów”, po czym prawie na każdym kroku zderzają się z fatalną nieefektywnością tegoż państwa, brakiem jasnych, czytelnie sformułowanych i rozsądnych standardów życia publicznego, obłudą i zakłamaniem.

Po piętnastu latach takiego stanu rzeczy nie można się już od niego uwolnić inaczej niż z pomocą radykalnej cezury, która równocześnie zbuduje trwały fundament nowej politycznej wspólnoty Polaków. Wszystkim, którzy taki sąd nazwą naiwnością albo, co gorsza, demagogią i powiedzą, że takiej fundamentalnej operacji w dzisiejszej Polsce skutecznie dokonać nie można, odpowiem: można, ponieważ ludziom można powiedzieć prawdę. Na tej właśnie możliwości buduje się demokratyczne społeczeństwa ludzi wolnych. Kto ją odrzuca – generalnie lub tylko „w naszych obecnych realiach” – tym samym odrzuca możliwość tego rodzaju porozumienia ze swoimi współobywatelami, bez którego wspólnota obywatelska ludzi wolnych nie może istnieć – i powinien umieć się do tego odrzucenia przyznać.

## **Możemy od siebie nawzajem wymagać prawdy**

Nawiązuję w ten sposób do słów, które towarzyszą mi, ilekroć myślę o polskim życiu społecznym po roku 1989. Niestety, towarzyszą mi one raczej jako sygnał z innego anizeli z naszego świata. Chodzi tu o przenikliwe słowa Carla Friedricha von Weizsäckera: „System demokratyczny opiera się na przekonaniu, że ludziom można powiedzieć prawdę”. Słowa te w sposób następujący skomentowałem we wspomnianym eseju *Powiedzcie prawdę*:



Prawdziwość tego zdania jest zarazem sądem nad tym, co dotąd osiągnęliśmy w Polsce. Nie ma systemu demokratycznego tam, gdzie nie ma dość odwagi, żeby mówić całą prawdę, albo gdzie się prawdę o rzeczach nas wszystkich dotyczących z jakichkolwiek względów pomija, przemilcza czy też socjotechnicznie dozuje.

Zasada ta dotyczy zarówno „prawdy publicznej” – to znaczy tego, co obywatele mają prawo i obowiązek wiedzieć o swoim państwie, rządzących nim zasadach, motywach decyzji politycznych, strukturze i działaniach jego instytucji i wymaganiach stawianych jego urzędnikom, jak też prawdy poszczególnych osób, które ponoszą jakąkolwiek publiczną odpowiedzialność (w obywatelskim społeczeństwie ludzi wolnych dotyczy to w istocie wszystkich, ponieważ każdy na swój sposób ponosi odpowiedzialność publiczną – z oczywistym różnicowaniem jej zakresu).

W kontekście nieszczęsnej sprawy lustracji – czy szerzej: rozliczenia się z ciemnymi kartami naszej przeszłości indywidualnej i wspólnej – trzeba powiedzieć rzecz, która powinna być oczywista i powszechnie przyjęta, a mówi się o niej dziwnie mało. Mamy za sobą wiele rzeczy złych, niegodziwości, nieuczciwości, kłamstwa i zdrady. Pierwszym źródłem prawdy o tych nieszczęściach nie są dokumenty i ślady instytucjonalne, teczki i badania historyczne czy też procesy sądowe. Pierwszymi, którzy wiedzą, jak było, są ci, którzy w różnego rodzaju niegodziwościach uczestniczyli – świadomie i dobrowolnie albo nie całkiem dobrowolnie czy nawet pod przymusem. Dlatego w sporze o prawdę w dzisiejszej Polsce nie chodzi o to, co jest w teczkach (których losy w ostatnich piętnastu latach komplikują niewątpliwie rekonstrukcję przeszłości wyłącznie na ich podstawie). W sporze tym chodzi o to, co jest w ludziach, którzy razem z nami uczestniczą w życiu publicznym, zwłaszcza w tych, którzy dla nas i razem z nami podejmują dotyczące nas wszystkich decyzje. To oni na pierwszym miejscu znają prawdę o tym, co było – także i zwłaszcza o nieszczęściach i niegodziwościach, w które byli uwikłani – i oni mogą powiedzieć, jak było. O tym nie wolno zapominać w najgorętszej nawet dyskusji o teczkach i procedurach upubliczniania ich zawartości.

**W sporze o prawdę w dzisiejszej Polsce nie chodzi o to, co jest w teczkach, chodzi o to, co jest w ludziach, którzy razem z nami uczestniczą w życiu publicznym.**



Jak wiadomo, minimalne wymaganie z tej dziedziny znalazło się w ustawie lustracyjnej: uczestnictwo w życiu publicznym na określonym ustawą poziomie wymaga deklaracji co do własnego ewentualnego zaangażowania we współpracę z tajnymi służbami systemu komunistycznego. Kłamstwo oznacza wieloletnią utratę prawa do objęcia stanowisk objętych tym zastrzeżeniem. Nie musimy się na tym miejscu zajmować praktyką wykonywania tego zobowiązania. Ważniejsze wydaje się to, co w takiej regulacji dochodzi do głosu. Mówiąc najprościej: oczywisty dla społeczeństw obywatelskich warunek, że ludzie, którzy działają publicznie, nie ukrywają, kim są. Trzeba mówić głośno i jasno, że to nie jest sprawa zbędna i warunek „luksusowy” – bo tzw. przyziemna rzeczywistość była, jest i będzie z zasady inna i tak już być musi. Jak długo milcząco zakładamy, że możliwość powiedzenia prawdy o własnej historii jest utopią, a odwoływanie się do niej naiwnością, i że do ujawnienia prawdy złej i przykrej może doprowadzić jedynie przymus prawny i wykonujące go instytucje, nie jesteśmy społeczeństwem ludzi wolnych – i nie zmienią tego mniej lub bardziej obłudne deklaracje, że chodzi o uniknięcie ludzkiej krzywdy albo że ci, którzy kiedyś popełnili niegodziwości, powinni mieć dzisiaj szansę pełnowartościowego udziału w życiu publicznym, że skoro nie da się powiedzieć i wyjaśnić wszystkiego, należy spuścić kurtynę na to, co było. Jeśli daleko nam do standardu społeczeństwa obywatelskiego, to tym bardziej trzeba wciąż na nowo jasno i głośno mówić, jaki jest ów standard, a nie niszczyć resztki fundamentu zaufania społecznego, powtarzając, że w tej sprawie nic nie da się zrobić uczciwie i do końca.

Nie jestem naiwnym idealistą. Jestem księdzem i także dlatego wiem dobrze, ile jest moralnego nieszczęścia (we mnie samym i w innych). Wiem, jak jest. Jednakże właśnie dlatego wiem też, że ucieczka przed tym, co się nagromadziło w nas samych i w ludziach wokół nas, prowadzi donikąd. Dlatego powtarzam te symboliczne słowa: „Rozstrzygnijcie dziś, komu służyć chcecie, czy bóstwom, którym służyli wasi przodkowie po drugiej stronie Rzeki, czy też bóstwom Amorytów, w których kraju zamieszkaliście. Ja sam i mój dom służyć chcemy Panu”.



## Wobec prawdy możemy znaleźć przebaczenie

To jednak, oczywiście, nie koniec. „Służyć Panu” to w przekładzie na język naszych społecznych realiów oznaczać musi także: nie zgodzić się z tym, co było dotąd, uwierzyć, że możemy inaczej, i wystawić się na prawdziwe ryzyko z wiarą tą związane – z nadzieją, że może w ten sposób zdołamy jednak uporać się z nieszczęściem, które przynieśliśmy z sobą „zza Rzeki”, a także z tym, którego sami sobie narobiliśmy, zajmując nową ziemię. To, oczywiście, może się nie udać. Ale nie uda się na pewno, jeśli poddamy się już w punkcie wyjścia. To może się też udać – jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że to nie my jesteśmy panami historii.

„Służyć Panu” oznacza mianowicie rzecz w całej tej sprawie najważniejszą i zarazem najtrudniejszą. O co w istocie chodzi, powiem, odwołując się do słów, którymi przedstawia się On sam:

JHWH, JHWH [BĘDZIE, BĘDZIE], Bóg, który otacza miłością i użala się nad biednym, długo się nie gniewa, ukocha bardzo i na zawsze, zachowa swą łaskę w tysięczne pokolenia, przebacza niegodziwość, niewierność, grzech, lecz nie pozostawia go bez ukarania, ale zsyła kary za niegodziwość ojców na synów i wnuków aż do trzeciego i czwartego pokolenia (Wj 34, 6-7 – w tłumaczeniu, które próbuje oddać bezpośrednio i siłą tekstu hebrajskiego).

Zwróćmy uwagę: imię Boga, które tu się objawia, całe jest przyszłością człowieka, ale jaka to jest przyszłość, zależy od tego, jak owo imię Boga, który „użala się nad biednym” i „przebacza niegodziwość”, zostaje przez nas przyjęte. Chodzi o zbawienną moc zawartego w tym Imieniu przebaczenia.

Znowu odwołam się do rzeczy już kiedyś przeze mnie powiedzianej i dopowiem, co wydaje mi się ważne w chwili, w której się teraz znaleźliśmy. Wśród „siedmiu słów” znalazło się również słowo „wybaczać” z następującym objaśnieniem:

„Jeśli nie wybaczycie ludziom, Ojciec wam nie wybaczy. Jak Pan wybaczył wam, tak i wy” (por. Mt 6, 15 i Kol 3, 13). Dla każdego z nas wybaczenie jest rzeczą trudną. Wybaczenie jest tym trudniejsze, im silniejsze jest w kimś poczucie zagrożenia, braku należnego uznania, niedocenienia i krzywdy – kompensowane zazwyczaj nie do końca świadomą pogardą albo przynajmniej lekceważeniem okazywanym innym.



Musimy umieć sobie powiedzieć, że nasza wspólna historia osadziła w nas również takie właśnie uczucia wobec siebie samych i innych. Zapewne nie wszyscy Polacy są nimi obciążeni równie mocno. Są wśród nas ludzie naprawdę wolni. Jednakże przytłaczająca większość z nas nie cieszy się tym rodzajem wolności i wcale nie bardzo go pragnie. (...)

Owszem, łatwo nam, czasem nawet nazbyt łatwo, wybaczać zło, ale trudno wybaczyć konkretnemu człowiekowi. Dlatego też, kiedy tylko ktoś nam mówi o wybaczeniu i prośbie o wybaczenie, pojawia się warunek, żeby ci, którym mamy wybaczyć i z którymi mamy się pojednać, najpierw sami przyznali się wobec nas do winy.

Warunek ten wydaje się w pierwszej chwili zupełnie słuszny – przecież nie ma prawdziwego pojednania bez prawdy o tym, co się stało. Zwróćmy jednakże uwagę na to, że Bóg, który nam pierwszy wybaczył, oczekuje od nas prawdy – to znaczy uznania naszej winy, ponieważ nam wybaczył. Formuła sakramentalnego rozgrzeszenia wypowiedzana jest po naszym wyznaniu win, ale mówi o tym, co się stało, zanim jeszcze nasze winy zostały popełnione i dlatego, zanim się do nich przyznaliśmy: „Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła”.

Gotowość do wybaczenia, które dla naszych winowajców ma być znakiem i wezwaniem do nawrócenia, jest miarą dojrzałej wiary i prawdziwego poczucia własnej godności.

Gotowość ta jest więc znakiem, że mamy do czynienia z kimś wolnym, kto swoją wolnością umożliwia wolność innych.

Chodzi – podkreślmy – o g o t o w o ś ć wybaczenia, która przemawia, zanim winowajca się przyzna, a nie o bezwarunkowe wybaczenie, które z góry zwalniałoby winowajcę ze wszystkiego, a w szczególności z obowiązku przyznania się do winy i powiedzenia prawdy. Równocześnie to właśnie taka gotowość wybaczenia stwarza sytuację, w której nieprzyznawanie się do winy staje się jeszcze gorszą niegodziwością niż ta, do której ktoś się nie przyznaje.

To, co wyżej powiedziałem o gruntownie zaniedbanym fundamencie zaufania, wiąże się z tą sprawą bardzo ściśle – i raz jeszcze nie chodzi tu bynajmniej o naiwność, która z góry usprawiedliwia i rozgrzesza (która dlatego też łatwo mogłaby być i zapewne została by zaraz cynicznie nadużyta). Chodzi o coś wręcz przeciwnego. O takie wyrażenie gotowości wybaczenia, żeby ten, kto jej cynicznie nadużywa, wiedział tym samym, że ciężaru swojej niegodziwości nie pozbędzie się „aż do trzeciego i czwartego pokolenia” (czego nie należy rozumieć dosłownie, przenosząc czyjaś winę na dzieci i wnuki, ale jako symbolicznie i dosadnie powiedziane: n i g d y).



Wzwanie do takiej jasności w sprawie wybaczenia i pojednania może wydać się utopią. Może też ktoś mi łatwo wykazać, że nie ma w Polsce autorytetu, który mógłby coś takiego powiedzieć w imieniu nas wszystkich – i to tak, żeby sprawić zarazem, iż kto tak wyrażoną gotowość wybaczenia odrzuci, sam postawi się poza naszą wspólnotą.

Odpowiem: taki autorytet jest. Jest, ponieważ jesteśmy nie tylko społeczeństwem „po przejściach”, niepewnym swoich podstaw, neurotycznym i podzielonym, ale także jesteśmy Kościołem. I zupełnie nie chodzi o „organizacyjną” siłę Kościoła w Polsce czy też o statystyczną lub religijno-kulturową doń przynależność. Chodzi mi o tę szczęśliwą okoliczność, że bardzo wielu ludzi w Polsce – i to także takich, którym zdarzyły się wielkie niegodziwości – rozumie i słucha, kiedy mówi się do nich poważnie o tym, co z nami jest, i kiedy traktuje się ich poważnie jako ludzi wolnych i odpowiedzialnych. Dlatego ośmielam się powiedzieć o nas wszystkich: jesteśmy i możemy być Kościołem. (Gdyby kogoś to słowo zbyt drażniło, niech zamiast niego mówi: „społeczność ludzi wolnych”). Dlatego też, na koniec tej refleksji, ośmielam się zacytować coś, co kiedyś powiedziałem o „Kościele nade mną”, i traktuję te słowa jako istotne dopowiedzenie mojego „wyznania wiary społecznej”:

**Jesteśmy i możemy być Kościołem. Gdyby kogoś to słowo zbyt drażniło, niech zamiast niego mówi: „społeczność ludzi wolnych”.**

Kościół bardzo łatwo staje się w naszych oczach i uszach, w naszych ustach i dłoniach tym właśnie, czym my sami go czynimy. Wprawdzie nie jest dla nas nigdy tylko tym, czym my jesteśmy dla niego, ale zawsze jest także tym: dlatego właśnie jest wymaganiem dla wymagających, miłosierdziem dla miłosiernych, ciężarem dla tych, którzy swoje ciężary przerzucają na innych, i przebaczeniem dla tych, którzy umieją przebaczać. Kościół Jezusa Chrystusa nie jest jednak nigdy tylko tym. Jest więc także możliwością przebaczenia dla tych, którzy nie zgodzili się nosić cudzych ciężarów, i miłosierdziem dla tych, którzy umieli tylko wymagać, podobnie jak jest wciąż nowym wymaganiem miłosierdzia dla miłosiernych i śmiertelnym ciężarem przebaczenia dla przebaczących. Wszystko to stanowi ten sam, dzi-





siaj dla nas widzialny i dotykalny Kościół i sprawia, że taki Kościół nigdy nie mieści się w sobie, że zawsze przerasta sam siebie i każdego, kto go współtworzy, że jest Kościołem nie tylko we mnie i ze mną, ale także nade mną. Tylko dlatego i tylko tak może mnie naprawdę uwolnić ode mnie samego, jakim jestem dzisiaj, i poprowadzić ku mnie samemu, jakim jeszcze mogę być<sup>2</sup>.

KS. TOMASZ WĘCŁAWSKI, ur. 1952, prof. dr hab., teolog. Członek zespołu miesięcznika „Znak”. Wydał m.in.: *Powiedzcie prawdę* (2003).

---

<sup>2</sup> Tenże, *Gdzie jest Bóg? Małe wprowadzenie do teologii dla tych, którzy nie boją się myśleć*, Poznań 2002, s. 163.



inspiracje

Czytelnikom nieusatsfakcjonowanym poziomem debat lustracyjnych prowadzonych w mediach polecamy sięgnięcie do zeszlorocznego numeru „**Teologii Politycznej**” (jesień 2003-lato 2004), niemal w całości poświęconego telogiczno-filozoficznym aspektom tego problemu. Z pewnością warto też polecieć głośną i kontrowersyjną książkę **Bronisława Wildsteina** *Dekomunizacja, której nie było* (Kraków 2000).

Namysł nad problemem lustracji wymaga znajomości rozwiązań przyjętych przez państwa, w których ta kwestia pojawiła się już wcześniej. Odsyłamy zatem do prac: **Norberta Freia** *Polityka wobec przeszłości. Początki Republiki Federalnej Niemiec i przeszłość nazistowska* (Warszawa 1999), **Joachima Trenknera** *Naród z przeszłością. Eseje o Niemczech* (Poznań 2004), **Wojciecha Pięciaka** *Niemiecka pamięć* (Kraków 2002), **Henry’ego Rousso** *Le syndrome de Vichy, de 1944 à nos jours* (Paris 1990), **Muriel Blaive** *Einige Etappen der Bewältigung der kommunistischen Vergangenheit seit 1989 in der Republik Tschechien* [w: **A. Bensussan, D. Dakowska, N. Beaupré** (red.), *Die Überlieferung der Diktaturen. Beiträge zum Umgang mit Archiven der Geheimpolizei in Polen und Deutschland nach 1989* (Essen 2004)] oraz **Agnès Bensussan, Doroty Dakowskiej, Nicolasa Beaupré** *Les enjeux des archives des polices politiques communistes en Allemagne et en Pologne: essai de comparaison* („Genèses” nr 52/2003, s. 4-32). Warto przeczytać również pasjonującą książkę **Timothy Gartona Asha** *Teczka. Historia osobista* (Kraków 1997).

Na koniec proponujemy refleksję filozoficzną i moralną: lekturę *Problemu winy* **Karla Jaspersa** (Warszawa 1982) oraz książki **ks. Tomasza Węclawskiego** *Powiedzcie prawdę* (Kraków 2003).



Marek Lasota

## Lato 1979

### Jan Paweł II w Krakowie

Papież przyjechał z głoszoną przez Kościół od dwóch tysięcy lat Dobrą Nowiną, do której odczytania i zrozumienia nie trzeba było angażować kilkuset agentów, ponad tysiąca funkcjonariuszy SB i kilkudziesięciu tysięcy funkcjonariuszy MO.

Ta wizyta już w chwili rozpoczęcia miała swoją historię. Historię sięgającą obchodów Milenium Chrztu Polski w połowie lat sześćdziesiątych, gdy – wbrew oczekiwaniu narodu – komunistyczny reżim nie dopuścił do przyjazdu Ojca Świętego na Jasną Górę. Bezprecedensowa w dziejach Polaków pielgrzymka Papieża byłaby wówczas uwięzieniem i podkreśleniem roli europejskiego narodu, nieodmiennie – mimo dramatycznych losów – wiernego Kościołowi zachodniemu. Ale byłaby także wielkim darem nadziei dla społeczeństwa pogrążonego w stalinowskiej i gomułkowskiej rzeczywistości sowieckiego zniewolenia. Wybuchowi tej właśnie – rozbudzonej przez Wielką Nowennę – nadziei chcieli zapobiec Gomułka, Cyrankiewicz, Kliszko, Spychalski i ich towarzysze. Dwanaście lat później, 16 października 1978 roku, Polacy otrzymali od Opatrzności rekompensatę całkowicie niewspółmierną do zawiedzionych oczekiwań. Ów dar okazał się także wielkim wyzwaniem i ogromną dziejową próbą...



W ten niezwykle październikowy wieczór – gdy z loggi Bazyliki św. Piotra w Rzymie rozbrzmiały słowa: *Habemus papam...* – do świadomości wielu zaczęło docierać przeświadczenie, że tym razem papieska pielgrzymka jest nieuchronna. Przyjęte w latach siedemdziesiątych pozornie pozytywne stanowisko peerełowskiego reżimu wobec *ost-politik* Pawła VI nie pozwalało Gierkowi na reakcję inną niż udawane zadowolenie i satysfakcja. Fakt ustanowienia polskiego kardynała głową światowego katolicyzmu zasadniczo ograniczał możliwości torpedowania lub opóźniania wizyty Papieża w Polsce. Pozostawało więc jedynie robienie dobrej miny do złej gry i... czekanie na cud. Dla katolików w Polsce cud się już wydarzył, a jego nieodległe przecież – w historycznej skali – skutki były niewyobrażalne nawet dla najbardziej niepoprawnych fantastów. Dla komunistów w Polsce cud szybkiego zakończenia tego dopiero co rozpoczętego pontyfikatu był marzeniem najgorętszym i najmniej realnym.

Gdy minęło niedowierzanie i euforia pierwszych godzin po nadejściu wiadomości z Watykanu, gdy obeschły łzy wzruszenia po pierwszej w historii Polski telewizyjnej transmisji Mszy świętej – tej niezwyklej Mszy odprawianej na watykańskim placu zamkniętym kolumnadą Berniniego, gdy na zawsze pozostał w oczach Polaków widok purpuratów z całego świata oddających cześć niedawnemu krakowskiemu kardynałowi, a teraz papieżowi Janowi Pawłowi II, powracać zaczęła natrętnie siermiężna polska rzeczywistość z nachalną propagandą sukcesu na zewnątrz i ze złowrogimi knowaniami partyjno-państwowego kierownictwa i jego aparatu. Z tą rzeczywistością zmierzyć się musieli teraz polscy biskupi i całe duchowieństwo, ba, cały polski Kościół, który w przeddzień konklawe wydawał się godzić z nieuchronną koniecznością kohabitacji i wynikających z niej kompromisów.

## Przygotowania

Kościelni hierarchowie stanęli przed zadaniem doprowadzenia do jak najszybszej pielgrzymki Papieża-Polaka do Ojczyzny. Wymagało ono nie tylko stanowczości i dyplomacji, ale i wielkich umie-



jętności organizacyjnych. Wymagało także powściągliwości i samodyscypliny wobec nieodpartej chęci goszczenia Jana Pawła II w każdej polskiej diecezji. Konieczności kompromisu i rezygnacji z własnych planów towarzyszy zwykle niebezpieczeństwo konfliktów. A na nie czekali ci, dla których polski Kościół był ostatnią i najtrudniejszą do pokonania przeszkodą w zawładnięciu całym polskim organizmem narodowym.

Nie mniej istotne było wskazanie ważnej okoliczności godnej obecności Ojca Świętego i umożliwiającej jej szybkie urzeczywistnienie. I taka okazja stała się oczywista. Dziewięćsetna rocznica męczeńskiej śmierci patrona Polski świętego Stanisława była okolicznością wystarczająco uzasadniającą papieskie pielgrzymowanie do jego grobu. A to, że ten grób znajdował się w katedrze archidiecezji, której metropolitą był kilka tygodni wcześniej obecny papież, stanowiło kolejne niepojęte zrządzenie Opatrzności. Tak samo jak to, że męczeńska śmierć była tragicznym finałem konfliktu władzy świeckiej i duchowej – paralela między tamtymi średniowiecznymi wypadkami a powojenną polską rzeczywistością nasuwała się sama...

6 listopada 1978 roku kard. Stefan Wyszyński w przemówieniu wygłoszonym w katedrze warszawskiej bez ogródek stwierdził, że przyjazd Papieża winien łączyć się z uroczystością ku czci świętego Stanisława – czyli że spodziewać się go trzeba w maju nadchodzącego roku – a poza oczywistymi wizytami w Krakowie i w Częstochowie Ojciec Święty oczekiwany jest także w innych miastach Polski<sup>1</sup>. Takie stanowisko wywołało widoczną irytację władz – irytację potęgowaną koniecznością udzielania wyjaśnień sowieckim mocodawcom i wymyślenia interpretacji tej sytuacji dla towarzyszy w krajowych strukturach partyjnych. Szczególnie gorzką do przełknięcia pigułką był przymus uroczystego (z honorami należnymi głowie państwa watykańskiego) witania w kraju jego obywatela, do tego księdza katolickiego, dotychczasowego metropolity krakowskiego, Karola Wojtyły.

Nie to jednak było najtrudniejszą próbą, przed jaką stanął reżim. Najgorsze było poczucie braku możliwości, by wpłynąć na treści publicznych wypowiedzi Papieża kierowanych do – nie miano co do

<sup>1</sup> Por. Jan Żaryn, *Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce (1944-1989)*, Warszawa 2003, s. 405.



tego większych złudzeń – spodziewanych dużych tłumów wiernych. Najważniejszym zadaniem stało się uczynienie wszystkiego, co możliwe, by maksymalnie ograniczyć liczbę potencjalnych odbiorców papieskiego przesłania. Taktyka przyjęta przez ekipę Gierka polegać więc miała na mnożeniu trudności mających zmiękczyć kościelnych negocjatorów i skłonić ich do daleko idących ustępstw w kwestii terminu, czasu i miejsc papieskiej wizyty.

Tymczasem hierarchia kościelna prezentowała tu dość nieugięte stanowisko. 24 stycznia 1979 roku prymas Wyszyński spotkał się z Edwardem Gierkiem. Niewątpliwym sukcesem kardynała było powołanie państwowo-kościelnej komisji ds. wizyty papieskiej, w której ze strony władz uczestniczyli: sekretarze KC PZPR Stanisław Kania i Józef Czyrek, wspomagani przez Kazimierza Kąkola i Aleksandra Merkera – szefów Urzędu ds. Wyznań, hierarchię kościelną zaś reprezentowali: abp Franciszek Macharski, bp Bronisław Dąbrowski i ks. Alojzy Orszulik.

Jak się należało spodziewać, najpoważniejszym punktem spornym stał się termin przyjazdu Papieża. Reżim czynił bowiem wszystko, by nie dopuścić, z przytoczonych wcześniej powodów, do wkomponowania wizyty w kontekst obchodów 900. rocznicy śmierci biskupa Stanisława ze Szczepanowa.

Drugim wątkiem konfliktu była trasa papieskiej pielgrzymki. Gierek kategorycznie odmawiał zgody na wizytę Jana Pawła II w Piekarach Śląskich oraz związane z tym spotkanie z górnikami i hutnikami Śląska i Zagłębia. Nie zgodzono się także na papieską pielgrzymkę do archidiecezji wrocławskiej. Ożywione spory budził również sposób poruszania się Ojca Świętego i towarzyszącej mu świty po Polsce oraz miejsca i zakres spotkań z młodzieżą.

Ostatecznie kompromisowo ustalono termin wizyty na dni – od 2 do 10 czerwca 1979 roku, uzgodniono trasę pielgrzymki obejmującą Warszawę, Gniezno, Częstochowę i Kraków wraz z odwiedzinami Oświęcimia, Wadowic, Kalwarii i Nowego Targu. Orszak papieski miał poruszać się po kraju helikopterami (co w zamyśle władz powinno zapobiec zbyt bliskiemu kontaktowi Jana Pawła II z rodakami), a spotkania z młodzieżą miały zostać zorganizowane na niewielkiej przestrzeni znacząco ograniczającej liczbę uczestników.



W czasie, gdy komisja złożona z przedstawicieli Kościoła i władz PRL spędzała burzliwe nieraz godziny na żmudnym dopracowywaniu szczegółów wydarzenia tak niezwykłego w dziejach komunistycznego państwa, na Kremlu narastał niepokój i irytacja. Jeszcze na kilkanaście dni przed przyjazdem Jana Pawła II Breżniew miał przekonywać Gierka słowami: „Powiedźcie papieżowi, on mądry człowiek, żeby oświadczył publicznie, że nie może przyjechać, bo zachorował”<sup>2</sup>. Ale zatrzymanie maszyny organizacyjnej było już niemożliwe, pozostały więc intensywne działania aparatu bezpieczeństwa w PRL mające w możliwie znaczącym stopniu ograniczyć szkodliwe dla Polski Ludowej skutki papieskiej wizyty.

Niezależnie od prac komisji organizacyjnej, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przystąpiono do realizacji gigantycznej operacji pod kryptonimem „Lato – 79”<sup>3</sup>. Na polecenie najwyższych władz partyjno-państwowych kierował nią wiceminister gen. Bogusław Stachura, dowodzący działaniami operacyjnymi Służby Bezpieczeństwa i innych pionów i jednostek podległych MSW. Szczegółowe analizy<sup>4</sup> papieskiej wizyty w Polsce przeprowadzono podczas dwudniowej specjalnej odprawy krajowej SB, które odbywała się w dniach 11-12 maja pod kierownictwem sekretarza KC Kani, odpowiedzialnego za pion bezpieczeństwa, i ministra Kowalczyka<sup>5</sup>.

Z zachowanych stenogramów wystąpień poszczególnych uczestników odprawy, zwłaszcza Kani, wyraźnie wynika ogromne znaczenie nadawane przez reżim wizycie papieskiej, która – według oczekiwań władz – powinna odpowiedzieć na wiele wątpliwości dotyczących przyszłości stosunków Kościoła z państwem komunistycznym, a także wyjaśnić zamiary nowego papieża w zakresie polityki globalnej, szczególnie zaś jego polityki wobec obozu sowieckiego. Te roz-

<sup>2</sup> Tamże, s. 406.

<sup>3</sup> Informacje rozszerzające na temat tej akcji można znaleźć m.in. w: G. Majchrzak, *Lato – 79*, Biuletyn IPN, nr 7/2002, s. 52.

<sup>4</sup> Opracowano m.in. Wytyczne dyrektora Departamentu IV MSW dla wydziałów IV KW MO w związku z wizytą papieża Jana Pawła II w Polsce, zawierające prognozy działań Kościoła oraz zasadnicze kierunki pracy operacyjnej SB. OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, k. 38-47.

<sup>5</sup> Por. Henryk Dominiczak, *Organa bezpieczeństwa PRL w walce z Kościołem katolickim 1944-1990*, Warszawa 2000, s. 429.



poznawcze cele wydawały się wysuwać na plan pierwszy w działaniach operacyjnych SB podczas papieskiej pielgrzymki.

Krakowski plan działań operacyjnych SB<sup>6</sup>, nadzorowany i zatwierdzany bezpośrednio przez ówczesnego zastępcę komendanta wojewódzkiego MO ds. Służby Bezpieczeństwa płk. Stefana Gołębiowskiego, jasno precyzował zadania podległego mu aparatu. Wizyta w archidiecezji krakowskiej w dniach 6-10 czerwca postrzegana była jako kumulacja zagrożeń ze strony „zachodnich ośrodków dywersyjnych oraz grup antysocjalistycznych w kraju”<sup>7</sup>.

Przede wszystkim jednak dostrzegano groźbę nasilenia działalności duszpasterskiej, mającej być w istocie manifestacją siły Kościoła i jego identyfikacji z narodem. Dostrzegano również (w odróżnieniu od pobytu Papieża w innych polskich miastach) szczególne niebezpieczeństwa wynikające z osobistego związku Jana Pawła II z krakowskim biskupstwem oraz możliwość uczynienia z Krakowa swoistego wzorca dla innych diecezji (a nawet państw obozu sowieckiego), ukazującego, do jakiej potęgi może dojść Kościół kierowany przez nowego papieża.

W tej sytuacji przed wszystkimi funkcjonariuszami MO i SB garnizonu krakowskiego stałe, jako pierwszoplanowe, zadanie zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego w czasie wizyty papieża w naszym mieście. Zadania te będą realizowane poprzez:

1. Rozwijanie działań operacyjno-rozpoznawczych i profilaktyczno-neutralizujących wobec grup i środowisk kontrolowanych przez MO i SB.

2. Zapewnienie bezpieczeństwa osobistego papieża i bezpieczeństwa osób mu towarzyszących.

3. Podejmowanie wielokierunkowych działań porządkowych w okresie poprzedzającym przyjazd papieża, objęcie służbą prewencyjną miejsc pobytu papieża i wprowadzenie systemu służby porządkowej i ruchu drogowego MO<sup>8</sup>.

---

<sup>6</sup> 24 III 1979 r. Zarządzeniem nr 010/79 komendanta wojewódzkiego MO w Krakowie powołany został sztab do kierowania operacją „Lato – 79” w składzie: ppłk Stefan Kurczak – kierownik sztabu, wraz z zastępcami: płk. Jerzym Jaroszewskim, ppłk. Wiesławem Działowskim (SB), ppłk. Marianem Furgalą, ppłk. Bronisławem Michaliszynem. W skład sztabu wchodził naczelnicy wszystkich wydziałów i służb KW MO. Źródło: OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, k. 32-35.

<sup>7</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan przedsięwzięć operacyjnych i organizacyjno-wykonawczych MO i SB Garnizonu krakowskiego związanych z realizacją operacji „Lato – 79”, k. 3 i n.

<sup>8</sup> Tamże, k. 6.





Zwraca tu uwagę umieszczenie zadania ochrony osobistej Papieża i towarzyszących mu osób na drugim miejscu w hierarchii ważności podejmowanych przedsięwzięć.

W okresie poprzedzającym wizytę Jana Pawła II w Krakowie sztab zakładał określone szczegółowe cele operacyjne. Próżno jednak w nich szukać planów zapewnienia bezpieczeństwa Papieża czy działań mających na celu sprawniejszy przebieg pielgrzymki. Dominują działania rozpoznawcze i prewencyjne wobec środowisk opozycyjnych. Wśród stawianych zadań znalazło się na przykład:

opracowanie planu działań operacyjnych dotyczącego zabezpieczenia operacji „Lato – 79”, uwzględniającego w szczególności:

– organizację rozpoznania:

– zamierzeń i inicjatyw hierarchii, kleru i aktywu kościelnego oraz zachowania grup antysocjalistycznych mających związek z wizytą papieża,

– nastrojów w ważniejszych środowiskach społecznych (duże zakłady pracy, uczelnie i szkoły średnie, środowiska naukowe i artystyczne),

– zainteresowań przedstawicieli placówek dyplomatycznych krajów kapitalistycznych oraz dziennikarzy zachodnich i prób docierania do określonych środowisk, w szczególności do przedstawicieli grup antysocjalistycznych. (...) <sup>9</sup>.

Szczegółowe zadania przewidziane dla wszystkich pionów i biur wojewódzkiego szczebla SB w Krakowie zawarte zostały w obszernym dokumencie noszącym nazwę: „Plan przedsięwzięć operacyjnych i organizacyjno-wykonawczych MO i SB Garnizonu krakowskiego związanych z realizacją operacji »Lato – 79«”. Oprócz ogólnych założeń i celów wypracowanych podczas wspomnianych wcześniej krajowych odpraw SB zawierał on precyzyjnie zaplanowane przedsięwzięcia wszystkich wydziałów KW MO oraz wspomagających je biur.

Zajmujący się działalnością kontrwywiadowczą Wydział II skupiać się miał przede wszystkim na rozpoznaniu i zabezpieczeniu środowiska dziennikarskiego, jako szczególnie wartościowego w pracy kontrwywiadowczej. Duże znaczenie nadawano inwigilacji konsulatów amerykańskiego i francuskiego – głównie poprzez tajnych współpracowników ulokowanych w tych placówkach. Zalecono inwigilację innych dyplomatów, przebywających w tym czasie w Krakowie,

---

<sup>9</sup> Tamże, k. 9.



oraz osób kontaktujących się z nimi. Szczególną kontrolą, także z uwagi na bezpieczeństwo gościa i jego asysty oraz innych ważnych osobistości, objęto lotnisko w Balicach<sup>10</sup>.

Zaskakująco obszerny był plan zadań operacyjnych dla Wydziału III, rozpracowującego ruchy dysydenckie w środowiskach twórczych, naukowych, studenckich i dziennikarskich, oraz dla Wydziału III A, inwigilującego pod tym samym kątem zakłady pracy i środowiska robotnicze.

Uaktywnienie pracy operacyjnej ze wszystkimi posiadanymi źródłami informacji wywodzącymi się ze środowisk kontrolowanych przez Wydział III, celem zapewnienia wyprzedzającej informacji o:

- komentarzach i nastrojach w ochranianych obiektach i środowiskach, które wiążą się z pobytem papieża, (...)

- zamierzeniach osób i grup antysocjalistycznych wykorzystania wizyty do wywołania zakłóceń porządku lub nadania jej wrogiego politycznie charakteru,

- bieżącym zachowaniu naszych figurantów<sup>11</sup> i osób znanych z antysocjalistycznej postawy, skłonnych podjąć wrogą, względnie wicherzycielską działalność w okresie pobytu papieża,

- zamiarach uzyskania ze strony elementów wrogich audyencji u papieża (...)<sup>12</sup>

**Realizację zamierzeń miało umożliwić funkcjonariuszom 148 tajnych współpracowników, dwa samochody osobowe i trzy radiostacje.**

To tylko kilka przykładów zjawisk przewidywanych i niepokojących, dla zapobieżenia którym zmobilizowano 52 pracowników operacyjnych Wydziału III KW MO w Krakowie, wspomaganych przez 20 funkcjonariuszy z innych województw. Realizację zamierzeń umożliwić im miało 148 tajnych współpracowników, dwa samochody osobowe i trzy radiostacje.

Szczególną uwagę poświęcano w planach operacyjnych jednej z krakowskich grup dysydenckich, wobec której za konieczne uznano

Prowadzenie wszechstronnej i aktywnej pracy rozpoznawczej w kręgu osób wchodzących w skład antysocjalistycznej grupy tzw. Studenckiego Komitetu

<sup>10</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział II.

<sup>11</sup> Figurant – w języku dokumentów operacyjnych SB oznaczał osobę rozpracowywaną, tj. inwigilowaną, w ramach danej sprawy operacyjnego rozpracowania (SOR).

<sup>12</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział III.



Solidarności i jego sympatyków, celem uzyskiwania wyprzedzających informacji o:

- planach, zamierzeniach i inicjatywach podejmowanych przez tę grupę w okresie wizyty papieża,
- przygotowywaniu materiałów propagandowych, hasel transparentów, itp. (...)

Do rozpoznania zamierzeń SKS-u zostaną wykorzystane następujące źródła: tw.tw. „Tomek”, „Alex”, „Senior”, „Michał”, „Leo”, „Belmondo”, „Kazik”, „Zen”, „Ania”, „Stary” (...) <sup>13</sup>.

SKS – jako przedmiot zainteresowania poprzedzającego papieską wizytę – nie był jednak osamotniony. „Podobnie (...) aktywnemu rozpoznaniu zostanie poddana grupa osób skupiona wokół tzw. Punktu konsultacyjnego ROPCiO poprzez tw.tw.: »Rawicz«, »Dunin«, »Winiarski«, »Marcin«” <sup>14</sup>.

Za konieczne uznano także, by „poprzez tw. ps. »Leon« i »Bruzda« rozpoznawać zamierzenia i inicjatywy środowisk prołondyńskich i byłych ludowców, zwłaszcza w zakresie włączania się tych środowisk w organizację wizyty i czynionych w tym zakresie przygotowań” <sup>15</sup>.

Znacznie więcej miejsca poświęcono zaleceniom, by

w ośrodkach duszpasterstwa akademickiego poprzez tw.tw. „Jacek”, „Filip”, „Lesław”, „Stefan”, „Jasiu”, „Anka” prowadzić aktywne rozpoznanie celem uzyskiwania informacji o:

- zaleceniach kleru w zakresie uczestnictwa i czynnego udziału młodzieży akademickiej w uroczystościach związanych z wizytą papieża, (...)
- osobach uczestniczących w przygotowaniach organizacyjnych, służbach porządkowych itp. <sup>16</sup>

Przygotowane plany operacyjne Wydziału III nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do działań przewidzianych na wypadek stwierdzenia zbyt dużej aktywności środowisk opozycyjnych podczas papieskiej wizyty. Czytając te dokumenty, ma się wrażenie, że działania profilaktyczne zapobiegające wolnościowym demonstracjom niezależnych środowisk były najistotniejszym zadaniem SB

---

<sup>13</sup> Tamże.

<sup>14</sup> Tamże.

<sup>15</sup> Tamże.

<sup>16</sup> Tamże.



w związku z pielgrzymką Ojca Świętego. A zapobieganie okazywaniu – zwłaszcza wobec przybyszów z wolnego świata – niezadowolenia z życia w państwie realnego socjalizmu, stanowiło zadanie wcale niełatwe. Wspomnianym wcześniej ponad 70 funkcjonariuszom i ich niemal 150 tajnym współpracownikom polecono, aby:

- nie dopuszczać do druku i kolportażu materiałów bezdebitowych, ulotek, transparentów i hasel, przeprowadzając przeszukania w miejscu ich przygotowywania i przechowywania, dokonując zatrzymań osób sporządzających i kolportujących, (...)
- w stosunku do wytypowanych osób, mogących i planujących czynnie zakłócić przebieg wizyty, zastosować zależnie od potrzeb zatrzymania, (...)
- przekazywać na bieżąco instancjom partyjnym i władzom uczelni informacje o sytuacji w ochranianych środowiskach i obiektach, próbach przerwania zajęć, wykorzystywaniu obiektów uczelnianych do produkcji i eksponowania wrogich ulotek, plakatów, hasel itp.

Nie sposób nie wspomnieć, że na czas pobytu Ojca Świętego w Krakowie pełnej mobilizacji poddano także Wydział Śledczy. W związku z ewentualnymi zatrzymaniami, o których mowa w przytoczonym dokumencie, w krakowskich aresztach przygotowano 360 miejsc<sup>17</sup>.

Wydział III A miał za zadanie penetrować krakowskie zakłady pracy, zwłaszcza Nową Hutę, co kojarzyć należy z planowanymi uroczystościami w opactwie mogiłskim i koniecznością zapobieżenia ewentualnym przejawom niezadowolenia z powodu uniemożliwienia Ojcu Świętemu spotkania z mieszkańcami Nowej Huty, zwłaszcza w konsekrowanej dwa lata wcześniej Arce Pana. Głównym zadaniem było rozpoznawanie nastrojów oraz zbieranie informacji o podejmowanych próbach kontaktu przedstawicieli środowisk robotniczych z Papieżem. Szczególnej obserwacji poddano figuranta sprawy operacyjnej o kryptonimie „Naprawiacz” (był nim znany działacz opozycyjny, inżynier Jan Grabczyk, wyrzucony z pracy w hucie im Lenina)<sup>18</sup>.

<sup>17</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział Śledczy.

<sup>18</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział III A.



Mobilizacja sił i środków objęła wyspecjalizowane agendy SB. Największą odpowiedzialność nałożono na funkcjonariuszy Wydziału B, prowadzących działania obserwacyjne. Miały one na celu przede wszystkim:

1. Uzyskiwanie informacji wyprzedzających w okresie przygotowawczym oraz informacji o zachowaniu, zainteresowaniach, kontaktach w czasie trwania akcji w odniesieniu do dziennikarzy, dyplomatów bądź innych cudzoziemców z K[rajów] K[apitalistycznych] zamieszkałych na terenie hoteli orbisowskich,
2. Zabezpieczenie dopływu informacji ze zorganizowanych ZPO [zakrytych punktów obserwacyjnych – przyp. ML] o zachowaniu tłumu, ewentualnie próbach inspiracji wrogich bądź chuligańskich wystąpień, demonstrowania niezadowolenia, nastrojów antysocjalistycznych, transparentów, napisów lub tp. I dokumentowanie tych faktów przy pomocy filmu, operacji operacyjnej, zapisu magnetofonowego lub zapisu graficznego,
3. Prowadzenie obserwacji tajnej towarzyszącej za figurantami wydziałów wiodących, wskazanych w czasie poprzedzającym lub w czasie trwania operacji „Lato – 79”<sup>19</sup>.

Warto zwrócić uwagę, że w przydzielonych zadaniach – jak i we wcześniej przytaczanych dokumentach – nie ma ani słowa o obserwacji zapewniającej bezpieczeństwo Jana Pawła II i towarzyszących mu osób.

W Krakowie na czas pobytu Papieża SB zorganizowała trzydzieści ZPO. Sześć z nich zlokalizowanych było w pobliżu Kurii przy ul. Franciszkańskiej 3, której nadano kryptonim „Rezydencja”<sup>20</sup>. Te punkty obserwacyjne rozmieszczone były następująco: ZPO nr 1 – Filharmonia Krakowska; ZPO nr 2 – mieszkanie prywatne przy ul. Franciszkańskiej; ZPO nr 3 – Biblioteka Miejska; ZPO nr 4 – Urząd Stanu Cywilnego przy ul. Franciszkańskiej; ZPO nr 5 – Wojewódzka Lekarska Przychodnia Przemysłowa przy ul. Grodzkiej 26; ZPO nr 6 – DH „Jubilat”. Ogółem zaangażowano w nich 28 wywiadowców Wydziału B. Wokół krakowskiej rezydencji papieskiej rozlokowano także 120 pracowników operacyjnych SB, 82 funkcyjna-

<sup>19</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział B.

<sup>20</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5. Plan fizycznego zabezpieczenia operacji krypt. „Rezydencja” w dniach 6-10 VI 1979 r., k. 3-9.



riuszy mundurowych i dwie kamery telewizyjne na budynkach filharmonii i Muzeum Historycznego<sup>21</sup>.

Dla potrzeb KW MO i, jak się należy domyślać, odpowiednich władz i instancji PZPR prowadzono również, w specjalnie do tego celu zarezerwowanym paśmie, transmisję telewizyjną z dwóch wozów transmisyjnych (wyposażonych w trzy kamery każdy), filmujących trasę z Kurii na Błonia oraz teren za ołtarzem papieskim. Dodatkowo przez cały czas pobytu Jana Pawła II przekazywano transmisję ze śmigłowca<sup>22</sup>.

Podstawowymi zadaniami wywiadowców było:

1. (...) eliminowanie – poprzez kościelną służbę porządkową – wszelkich prób zakłócenia porządku i bezpieczeństwa podejmowanych ze strony osób związanych z ugrupowaniami dysydenckimi, marginesu społecznego, sfanatyzowanych wiernych, chorych psychicznie, wizjonerów i in.
2. szczegółowe rozpoznawanie nastrojów wiernych gromadzących się przed rezydencją (...)
3. wzmocnienie ochrony osobistej papieża (...)
4. pełne dokumentowanie istotnych z punktu widzenia operacyjnego i dowodowego zdarzeń mających miejsce przed rezydencją. Między innymi:
  - utrwalanie ewentualnych przemówień papieża wygłaszanych z okien rezydencji do wiernych (...)
  - fotografowanie zachowania zgromadzonych ludzi (...) osób wchodzących i wychodzących z rezydencji, samochodów wyjeżdżających itp. (...) <sup>23</sup>.

Warto zastanowić się znów nad nieprzypadkową kolejnością – a więc także rangą – poszczególnych zadań operacyjnych. Bezspornie dowodzi ona, że dla aparatu bezpieczeństwa wtórne znaczenie miało zarówno zapewnienie bezpieczeństwa Jana Pawła II, jak i troska o godne i spokojne przeżycie spotkania z papieżem przez tysiące uczestniczących w nim ludzi.

Ważne zadania przewidziano także dla zajmującego się kontrolą korespondencji Wydziału W: „Wydział W w swej działalności w ramach »Lata – 79« skoncentruje się na zapewnieniu dopływu informacji w zakresie występujących w dokumentach danych wyprzedza-

<sup>21</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział B.

<sup>22</sup> Tamże.

<sup>23</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5. Plan fizycznego zabezpieczenia operacji krypt. „Rezydencja” w dniach 6-10 VI 1979 r., k. 4.



jących o zamierzeniach kleru i środowiska klerykalnego oraz innych grup społecznych dotyczących pobytu papieża w Polsce (...)”. Informacja wyprzedzająca o treści urzędowych dokumentów kościelnych służyć miała, jak się należy domyślać, przede wszystkim partyjnym strategom, usiłującym zdyskontować papieską wizytę dla swoich, głównie propagandowych, celów. Miała ona służyć także uzyskaniu informacji użytecznych w ewentualnych negocjacjach ze stroną kościelną<sup>24</sup>.

Podobnemu celowi podporządkowane były zadania Wydziału T „obsługującego” papieską wizytę od strony technicznej, czyli poprzez

podśluch telefoniczny i bezpośredni pomieszczeń, w których mógł przebywać Jan Paweł II. Odpowiedni fragment planu operacyjnego dla tego wydziału nie pozostawia żadnych wątpliwości. Prowadzono: „1. Całodobową kontrolę do 80 linii telefonicznych i teleksowych. 2. Całodobową kontrolę wszystkich obiektów

**Największe ciężary pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny, a zwłaszcza do Krakowa ponosili funkcjonariusze krakowskiego Wydziału IV KW MO.**

PP stałych i doraźnych. (...) 5. W wypadkach, kiedy to będzie niezbędne – zakładanie doraźnej instalacji PP (...)”<sup>25</sup>. (Skróty PT i PP oznaczają odpowiednio: podśluch telefoniczny i podśluch pomieszczeń).

Jest oczywiste, że największe ciężary pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II do Ojczyzny, a zwłaszcza do Krakowa – jego Krakowa – ponosili funkcjonariusze tutejszego Wydziału IV KW MO. Ci sami, którzy – niespełna rok wcześniej – z wielkim mozołem rozpracowywali metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. I trafnie nieraz interpretowali rozmaite fakty wskazujące na niepośledni format kardynała, któremu wróżono karierę wykraczającą poza krakowskie arcybiskupstwo. Teraz mieli jednak do czynienia nie z ordynariuszem jednej z najważniejszych i najtrudniejszych dla władz PRL diecezji Kościoła rzymskokatolickiego, ale z głową tego Kościoła, duchowym przywódcą miliarda ludzi na całym świecie. Co więcej, stanęli naprzeciw człowiekowi doskonale zdającego sobie sprawę

<sup>24</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział W.

<sup>25</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan działań w ramach operacji „Lato – 79”, SB KW MO w Krakowie, Wydział T.



z niuansów życia w kraju opanowanym przez komunistyczny reżim, niuansów, wśród których była wymierzona w Kościół działalność czwartego pionu aparatu represji.

## Służba Bezpieczeństwa i... Zielone Świątki

Wraz z październikowym konklawe runęły plany skonfliktowania Wojtyły ze starzejącym się Wyszyńskim (choć w zadaniach dla agencji znalazło się polecenie rozpracowania faktycznych stosunków między Papieżem a Prymasem) i postępującej za tym skutecznej dezintegracji polskiego duchowieństwa i jego hierarchii. Nadzieje komunistycznej oligarchii wiązane ze zbliżającym się zmierzchem epoki kardynała Wyszyńskiego przysły jak bańka mydlana wieczorem 16 października 1978 roku. W czerwcu 1979 roku pozostały jedynie desperackie próby zapobieżenia dalszym nieszczęściom i zrobienia wszystkiego, co możliwe, dla zminimalizowania skutków spotkania papieża Jana Pawła II – polskiego papieża, słowiańskiego papieża – z nie mniej, ale jakże odmiennie poruszonym narodem.

Władcy PRL nie mogli przewidzieć, że – z powodu odmowy papieżowi Wojtyle udziału w dorocznych krakowskich uroczystościach ku czci św. Stanisława (z obawy przed nasuwającymi się analogiami do sytuacji współczesnej Polski) i zgody na przesunięcie wizyty na czas, w którym przypada uroczystość Zesłania Ducha Świętego – cały świat usłyszy wezwanie, które każdy Polak powinien pamiętać do końca swego życia: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”<sup>26</sup>. Warto podkreślić, że w żadnym dokumencie, analizującym i prognozującym papieską wizytę w Polsce i obsesyjnie podkreślającym niebezpieczeństwo paraleli między pielgrzymką a rocznicą męczeńskiej śmierci św. Stanisława, nie skojarzono i nie doceniono duchowego znaczenia Zielonych Świąt. I ani komunistyczni notable, ani rozentuzjasmowany naród nie przypuszczali wtedy, że ten papież będzie pogromcą komunistycznego imperium sowieckiego – „imperium zła”. Nie przypusz-

<sup>26</sup> George Weigel, *Świadek nadziei*, Kraków 2000, s. 375.





czali, że to wszystko nastąpi niemal dokładnie w dziesięć lat po wypowiedzeniu tych słów.

Ale kiedy 14 kwietnia 1979 roku w krakowskim Wydziale IV SB inaugurowano „sprawę obiektową o kryptonimie »Lato – 79« na zabezpieczenie wizyty papieża Jana Pawła II w Krakowie”, prowadzący ją funkcjonariusze, tj. por. Andrzej Szwaja, por. Janusz Dziedzic, kpt. Tadeusz Cholewa, kpt. Bogdan Podolski, kpt. Jerzy Porębski, ppor. Tadeusz Czerwiński, por. Marek Połubiński, por. Bronisław Fąfara, działający pod bezpośrednim nadzorem naczelnika wydziału ppłk. Józefa Biela<sup>27</sup>, także nie mogli przewidzieć nieodległej przecież przyszłości, będącej w pewnym sensie rezultatem ich pracy.

W przyjętym planie operacyjnym tego wydziału na wstępie analizowano cele, jakie krakowskie duchowieństwo zamierza osiągnąć w wyniku papieskiej wizyty. W ocenie SB miała to być praca duszpasterska wzmacniająca identyfikację narodu z nauką Kościoła oraz manifestacja siły Kościoła krakowskiego i Kościoła w Polsce, skierowana zwłaszcza do światowej opinii publicznej, w tym także do katolickich społeczeństw innych państw obozu sowieckiego. Uważano, iż „przyjazd Jana Pawła II zaktywizuje elementy antysocjalistyczne do podejmowania działań wymierzonych przeciwko polityce Partii i Rządu”<sup>28</sup>.

Wobec tak poważnych zagrożeń uznano za konieczne:

1. Ukierunkowanie całego potencjału operacyjnego Wydziału IV, w tym również źródeł technicznych na pełne i bieżące rozpoznawanie koncepcji politycznych, organizacyjnych Kościoła krakowskiego związanych z wizytą. 2. Rozpoznawanie wszelkich planów, zamierzeń, zaleceń i instrukcji wydawanych przez ośrodki dyspozycyjne Kościoła w zakresie przygotowań do wizyty, składów zespołów powoływanych do organizacji imprez kościelnych, zakresu i kierunków propagandy kościelnej wokół wizyty. Kształtowanie pożądanych dla nas sytuacji i atmosfery oraz inspirowanie do podejmowania korzystnych politycznie i operacyjnie decyzji<sup>29</sup>.

Ostatnie zdanie tego tekstu skłania do bardzo wnikliwej i odpowiedzialnej analizy zgromadzonych dokumentów. Wynika z niego

<sup>27</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 1, Sprawa obiektowa o kryptonimie „Lato – 79” na zabezpieczenie wizyty papieża Jana Pawła II w Krakowie.

<sup>28</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t.1, Plan operacyjnych działań do sprawy obiektowej o kryptonimie „Lato – 79” nr rej. 21742, k. 37.

<sup>29</sup> Tamże, k. 37-38.



bowiem, że na przebieg papieskiej wizyty w Krakowie Służba Bezpieczeństwa usiłowała uzyskać niebagatelny wpływ. Czy spełniły się te zamiary? W jakim stopniu komunistyczny aparat bezpieczeństwa zdołał kreować niektóre epizody papieskiej pielgrzymki?

W pracy służb bezpieczeństwa totalitarnego państwa zwalczających Kościół priorytet stanowiły dwa kierunki działania. Pierwszy to zdobywanie informacji – jak ją nazywano – wyprzedzającej, którą przekazywano właściwym ogniom kierownictwa partyjnego. Informację tę wykorzystywano do poznania i zapobieżenia akcjom podejmowanym przez duchowieństwo i hierarchię kościelną. (Przez akcje należy naturalnie rozumieć działalność *stricte* religijną i duszpasterską oraz podporządkowane im poczynania organizacyjne, takie jak starania o budowę nowych świątyń, organizacja katechezy, planowanie przebiegu uroczystości religijnych itp.). Informacje zdobywano poprzez mniej lub bardziej świadomych swojej roli informatorów, ale przede wszystkim poprzez zastosowanie środków technicznych: podsłuchu, obserwacji, kontroli korespondencji. Lapidarnie rzecz ujmując, szło o odtworzenie i opisanie rzeczywistości.

Drugim kierunkiem – jak się zdaje znacznie ważniejszym i bardziej dla Kościoła niebezpiecznym – było kreowanie rzeczywistości i generowanie faktów. Odbywać się to mogło poprzez manipulację i wpływanie na decyzje podejmowane przez „kierownicze czynniki kościelne”, tak by przystawały do polityki realizowanej przez komunistyczne państwo – i to nie tylko tak zwanej polityki wyznaniowej. Skuteczne kształtowanie sytuacji wewnątrz Kościoła mogło być realizowane niemal wyłącznie przez odpowiednio do tego przygotowaną i precyzyjnie ulokowaną agenturę, czyli tajnych współpracowników. O ile informatorzy mogli nie być w pełni świadomi roli i celów, do których byli wykorzystywani, o tyle agent realizował swą misję świadomie i mniej lub bardziej dobrowolnie. Nieodzowne jest w tym miejscu przypomnienie, że najważniejszym elementem pracy operacyjnej SB wobec Kościoła była dezintegracja, która od połowy lat siedemdziesiątych przyjęła formę zinstytucjonalizowaną pod postacią osławionej grupy „D”<sup>30</sup>.

<sup>30</sup> Szerzej na temat grupy „D” zob. Biuletyn IPN, nr 1/2003.



W operacji „Lato – 79” obydwie te kierunki były konsekwentnie i z pełnym rozmachem realizowane przez Wydział IV krakowskiej SB.

Jednak próby wpływania na przebieg papieskiej pielgrzymki nie polegały tylko na wykorzystywaniu tak zwanych środków operacyjnych i pozostającej w dyspozycji SB sieci agenturalnej. Krakowski Wydział IV sporządził listę księży i świeckich zaangażowanych w życie Kościoła, z którymi prowadzono, jak to określano, dialog polityczno-operacyjny. Już sama nazwa tego przedsięwzięcia odkrywa intencje aparatu bezpieczeństwa PRL. Dialog polityczny, a więc pozornie mający na celu wypracowanie jakiegoś porozumienia, był zapewne w istocie instrumentem sondowania, zmiękczenia i manipulowania drugą – kościelną – stroną. Dialog operacyjny, bo mógł przynieść wiedzę o tłach, kontekstach i niuansach diskutowanych problemów, wiedzę pozwalającą na rozwinięcie inwigilacji i wykorzystanie jej w działaniach mogących zapewnić wpływ na podejmowane decyzje. Trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu uczestnicy tego dialogu byli świadomi prowadzonej gry. Nie sposób też nie zakładać, że sondowanie i zdobywanie wiedzy było obustronne. Niemniej wydaje się, że ten typ kontaktu z bezpieką przynosił wymierne rezultaty raczej funkcjonariuszom SB, choćby tylko z tego powodu, że posiadali oni odpowiednie środki i możliwości pozwalające wykorzystać te rozmowy dla własnych operacyjnych celów. Dziś, po dwudziestu pięciu latach, można też wysuwać hipotezy o swego rodzaju poligonie doświadczalnym, wykorzystanym w dziesięć lat później, podczas konstruowania „okrągłego stołu”. Poligonie, na którym ćwiczyły obie strony. „Wykaz księży i osób katolickiego aktywu, z którymi w b. roku są prowadzone i będą podjęte dialogi polityczno-operacyjne”<sup>31</sup>, obejmuje siedemdziesiąt pięć nazwisk duchownych diecezjalnych i zakonnych oraz osób świeckich. Do rozmów z nimi wyznaczeni zostali funkcjonariusze Sekcji II Wydziału IV KW MO w Krakowie: ppor. M. Bednarski, ppor. M. Połubiński, kpr. T. Misiewicz, ppor. B. Bober.

Jednakże rozmowy polityczno-operacyjne stanowiły niewielkie ogniwo przyjętego planu operacyjnego krakowskiego Wydziału IV.

<sup>31</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Załącznik do planu operacyjnego zabezpieczenia krypt. „Lato – 79”, k. 6-11.



Zasadniczą rolę przydzielono istniejącej i rozwijającej się sieci agencuralnej. W przypadku zadań kształtujących przebieg papieskiej wizyty zadecydowano, że:

podjęte zostaną działania zmierzające do pogłębienia możliwości operacyjnej agentury pozostającej w dyspozycji Wydziału IV poprzez zgłaszanie akcesu do zespołów przygotowujących organizacyjnie wizytę Papieża, wykazywanie inicjatyw mogących zyskać aprobatę i uznanie kurii krakowskiej. Szczególne zadania w tym zakresie zostaną postawione agenturze zabezpieczającej działalność duszpasterstw akademickich<sup>32</sup>.

Zamieszczony w dokumentacji przebiegu operacji „Lato – 79” wykaz<sup>33</sup> agentury aktywnej w działaniach operacyjnych Wydziału IV KWMO w Krakowie obejmuje kilkanaście stron maszynopisu. Oprócz tajnych współpracowników spośród krakowskich duchownych oraz z kręgów katolików świeckich zawiera on 136 pseudonimów agentów duchownych z innych województw<sup>34</sup>, których krakowski Wydział IV przejął do „wykorzystania” w operacji „Lato – 79”. Krakowska część tego wykazu podzielona jest na osiem kategorii precyzujących sposób wykorzystania danej grupy agentów.

I. Agentura dyspozycyjna mająca dotarcie do Jana Pawła II bądź członków towarzyszącej mu delegacji watykańskiej:

- tw. ps. „Delta” – na kontakcie kpt. B. Podolskiego
- tw. ps. „Karol” – — // — ppłk. J. Biela
- tw. ps. „Marek” – — // — ppłk. J. Biela
- tw. ps. „Leszek” – — // — mjr. H. Kudły
- tw. ps. „Tukan” – — // — mjr. H. Kudły
- tw. ps „Jurek” – — // — mjr. W. Chmurzyńskiego
- tw. ps „Trybun” – — // — mjr. W. Chmurzyńskiego (...)<sup>35</sup>

– tak prezentowała się lista pierwszej kategorii: najważniejszych tajnych współpracowników SB uaktywnionych w pracy operacyjnej podczas papieskiej wizyty w Krakowie. Tej – nazwijmy to – elitarnej

<sup>32</sup> Tamże, k. 38-39.

<sup>33</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Załącznik nr 2 do planu operacyjnego zabezpieczenia krypt. „Lato – 79”, k. 12-17.

<sup>34</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Załącznik nr 3 do planu operacyjnego zabezpieczenia krypt. „Lato – 79”, k. 18-22.

<sup>35</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Załącznik nr 2 do planu operacyjnego zabezpieczenia krypt. „Lato – 79”, k. 12.



sieci agenturalnej postawiono niebagatelne zadania, w niektórych przypadkach zdecydowanie wykraczające poza obszar standardowych zainteresowań pionu czwartego na szczeblu województwa. Wśród tych zadań warto wymienić następujące:

- rozeznanie głównych kierunków i koncepcji polityki wschodniej Watykanu w stosunku do PRL (ze szczególnym uwzględnieniem zmian, jakie wprowadza nowy papież w związku ze znajomością realiów);
- rozeznanie rzeczywistych stosunków Jana Pawła II i S. Wyszyńskiego, niezależnie od publicznych gestów; (...)
- ustalać zamierzenia personalne na kierowniczych stanowiskach w głównych ogniwach dyspozycyjnych Watykanu;
- czy zamierza się wprowadzać na te stanowiska osoby polskiego pochodzenia<sup>36</sup>.

Formułujący zadania ppłk Józef Biel oczekiwał także działań kształtujących opinię Papieża bądź wpływających na jego ewentualne decyzje:

- poruszać kwestię następstwa po kard. S. Wyszyńskim i sondować opinie co do ewentualnych kandydatów na to stanowisko;
- sugerować rozważenie przez Watykan kwestii kanonicznego uznania ATK;
- przekazywać opinie nt. możliwości rozszerzenia udziału duchowieństwa polskiego w zarządzaniu Kościołem na szczeblu kurii rzymskiej i deprecjonowaniu roli duchowieństwa RFN i Włoch<sup>37</sup>.

Kolejne punkty planu operacyjnego precyzują dalsze zadania stawiane przed siecią agenturalną, której wykorzystanie planowano podczas każdego etapu papieskiej pielgrzymki. Niektóre pseudonimy powtarzają się, świadcząc w ten sposób o szczególnych predyspozycjach i możliwościach kryjących się pod nimi osób. W punkcie trzecim przytoczonego wcześniej dokumentu wymienieni są członkowie komitetu kościelnego przygotowującego pobyt Jana Pawła II w Krakowie, będący tajnymi współpracownikami SB: „Jurek”, „Ares”, „Architekt”, „Halny”, „Delta”, „Przybysz”.

„Aresowi”, pracownikowi „Tygodnika Powszechnego” i kurii metropolitalnej, prowadzący go mjr Waldemar Chmurzyński postawił m.in. następujące zadania:

<sup>36</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Zadania dla sieci tw. posiadającej bezpośrednie dotarcie do papieża, k. 79.

<sup>37</sup> Tamże, k. 79-80.



1. Strona finansowa wizyty papieża w Krakowie:
  - wysokość kosztów ponoszonych przez Kościół,
  - źródła, z których pokrywane są (będą) wydatki na organizację uroczystości czerwcowych,
  - spodziewane formy odzyskiwania wyłożonych środków (zbiórki pieniędzy, opłaty za pamiątki, karty wstępu czy też rozbicie wydatków na parafie),
  - w jakim stopniu kuria korzystać będzie z obcych dotacji, wysokość,
  - udział papieża w kosztach wizyty<sup>38</sup>.

Punkt czwarty, określający usytuowanie i skład agentury podczas poszczególnych uroczystości z udziałem Ojca Świętego (takich jak powitanie Papieża na Błoniach, synod archidiecezjalny na Wawelu, modły przy grobie rodziców itp.), w podpunkcie „j” („Uroczyste nabożeństwo na Błoniach”) nie wymienia listy agentów, zastępując ją adnotacją o treści: „większość agentury Wydziału IV”.

W części szóstej sprecyzowane są zadania dla sieci agenturalnej działającej w środowiskach świeckich. „Kontrolować operacyjnie działalność świeckich stowarzyszeń katolickich, zapewnić dopływ wyprzedzających informacji o planowanych przez te środowiska imprezach i innych działaniach związanych z wizytą papieża” – te ogólnikowo sformułowane założenia znalazły rozwinięcie w kolejnych, dotyczących poszczególnych środowisk podpunktach:

W odniesieniu do środowiska „TP”, Znak, KIK ujawniać i kontrolować operacyjnie kontakty z dziennikarzami agencji zachodnich przybyłymi w związku z wizytą papieża, rozeznawać zakres współdziałania z Kościołem w kwestii organizacji i obsługi biura prasowego, jakie ma być powołane przez kurię. Zadania powyższe realizować poprzez: – dialog z ks. A. Bardeckim prowadzony przez ppłk. J. Biela, – tw. ps. „Trybun” (...<sup>39</sup>), „Seneka” (...), „Ała” (...), „Dunin” (...), „Olaf” (...), „Jesion” (...), – ko.<sup>40</sup> „Nil” (...)<sup>41</sup>.

Kolejną listę stanowią „tajni współpracownicy zabezpieczający przygotowania do wizyty w ośrodkach duszpasterstwa akademickiego

---

<sup>38</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Zadania dla tw. ps. „Ares” w związku z wizytą papieża w Polsce, k. 62.

<sup>39</sup> Pominięto wylizanie funkcjonariuszy SB prowadzących poszczególnych, wymienionych tajnych współpracowników. Ich nazwiska powtarzają się, np.: J. Biel, W. Chmuryński itd.

<sup>40</sup> Ko. – kontakt obywatelski – niższa niż tajny współpracownik kategoria agentury; często stanowili ją członkowie PZPR, objęci zakazem werbowania.

<sup>41</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 1, Plan operacyjnych działań do sprawy obiektowej o kryptonimie „Lato – 79” nr rej. 21742, k. 40.



i ruchu oazowym” – było ich piętnastu. Niektóre z tych pseudonimów to: „Franek”, „Witold”, „Janusz”, „Ewa”, „Adam”, „Mak”.

Jak wynika z przytoczonych przykładów, przed agenturą „czwórki” postawiono cały wachlarz zadań: od zbierania i przekazywania oficerom kontaktowym bieżących informacji, po próby wpływania na komitet organizacyjny pielgrzymki, a także na samego Jana Pawła II poprzez mających do niego dostęp tajnych współpracowników. Im zresztą postawiono zadania wykraczające poza obszar typowych zainteresowań bezpieki na szczeblu wojewódzkim<sup>42</sup>.

Za bardzo ważne obowiązki sieci agenturalnej uznano włączenie się do komitetów i zespołów powoływanych dla przygotowania i przeprowadzenia wizyty Jana Pawła II.

**Nie rezygnowano z działań mających na celu zdeprecjonowanie Kościoła krakowskiego w oczach jego niedawnego pasterza oraz z prób skonfliktowania go z najbliższymi współpracownikami.**

Nie chodziło bynajmniej o dostarczanie informacji o tych przygotowaniach, ale o doprowadzanie do przyjmowania takich rozwiązań, które były dla reżimu najkorzystniejsze. Równie ważnym zadaniem stawianym agenturze było wyciszenie propagandy wokół pielgrzymki, wpływanie na ograniczanie liczby osób zamierzających uczestniczyć w uroczystościach z udziałem Ojca Świętego – takie działania podjęto m.in. wobec uroczystości synodalnych na Wawelu, usiłowano także ograniczyć liczbę drukowanych kart wstępu na Mszę świętą na krakowskich Błoniach.

Bardzo poważnie potraktowana została kościelna służba porządkowa. W zadaniach dla tajnych współpracowników mających takie możliwości zleca się wchodzenie w skład kierowniczych struktur tej służby.

Nie rezygnowano jednak z działań mających na celu zdeprecjonowanie Kościoła krakowskiego w oczach jego niedawnego pasterza oraz z prób skonfliktowania go ze swoimi najbliższymi współpracownikami.

W związku z przyjazdem do Polski papieża Jana Pawła II planuje się zrealizować następujące działania specjalne, których celem byłoby:

<sup>42</sup> Zob. wyżej – przypis nr 36 i 37.



– ukazanie Janowi Pawłowi II różnych konfliktów i kontrowersji oraz niedowładu kierowniczych ogniw kościelnych w diecezji krakowskiej,  
– absorbowanie papieża Jana Pawła II sprawami diecezji krakowskiej na tle stawianego mu przez dostojników watykańskich zarzutu zbytniego angażowania się w sprawy kościoła polskiego<sup>43</sup>

– pisał ppłk Józef Biel w planie działań dezintegracyjnych przyjętym 20 IV 1979 roku.

Wśród planowanych posunięć znajdują się rozmaite listy kierowane do Papieża, mające kształtować jego wizerunek archidiecezji krakowskiej. Dla przykładu przytoczyć należy kilka takich przedsięwzięć:

3. Tw. ps. „Kazimierz” napisze list, w którym przedstawi negatywne zjawiska w Kościele krakowskim po wyjeździe kard. Wojtyły do Rzymu. Wykona: sekcja I a.

4. Tw. ps. „Olaf” (hrabia rzymski – tytuł nadany przez Piusa XI) zwróci uwagę – we własnoręcznie napisanym liście – na spadek religijności wśród członków krakowskiego KIK-u. Wykona: sekcja II. (...)

20. W związku z dużym zainteresowaniem dziennikarzy zachodnich kościołem polskim, stanem religijności społeczeństwa itp. wytypowano dwie parafie, których proboszczowie przekażą obraz religijności według uzgodnionych tez. Ewentualnie może być do nich skierowany dziennikarz szwedzki Benykt Goransson (parafia Krzywaczka, św. Katarzyny). Wykona: sekcja I a, gr. „D”<sup>44</sup>.

Spółród dwudziestu zaplanowanych gier i kombinacji operacyjnych kilka mniej lub bardziej bezpośrednio dotyczyło środowiska „Tygodnika Powszechnego”:

15. Tw. ps. „Waldemar” oraz konsultant ps. „Jastrząb” opracują (odrębnie) dokument, w którym krytycznie ustosunkują się do recenzji ks. Bardeckiego dot. encykliki Jan Pawła II zamieszczonej w „Tygodniku Powszechnym” z dn. 1 IV 1979. Dokument autoryzuje tw. ps. „Rysiek” i przesłany zostanie do redakcji „TP” oraz do bp. Dąbrowskiego. Wykona: grupa „D”. (...)

17. Do redakcji „Tygodnika Powszechnego” przesłany zostanie list, w którym poddana zostanie krytyce rubryka pt. „Ze Stolicy Apostolskiej” za jej niski poziom oraz niewielkie wymiary. Wykona: grupa „D”.

18. Na adres redakcji „Le Monde” przesłany zostanie list, w którym wykorzystana się tezy zawarte w opracowaniu tw. ps. „Waldemar” oraz „Jastrząb” w na-

<sup>43</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Plan działań dezintegracyjnych – załącznik do planu operacyjnego zabezpieczenia krypt. „Lato – 79”, k. 53-56.

<sup>44</sup> Tamże.





wiązaniu do artykułu, jaki ukazał się w tym czasopiśmie, krytykujący główne założenia encykliki Jana Pawła II. Powoła się także na artykuł „Tygodnika Powszechnego” (ks. Bardecki), gdzie także krytycznie ją oceniono. Wykona: sekcja II i grupa „D”.

19. W biuletynie „Fides et Vita” ukaże się tekst krytykujący artykuł ks. Bardeckiego, broniący tez encykliki. Wykona: grupa „D”<sup>45</sup>.

Ważnym elementem gier prowadzonych przez funkcjonariuszy Wydziału IV były sprawy zakonne. Warto w tym miejscu przypomnieć, że w 1964 roku, gdy Wydział Administracyjny KC PZPR negatywnie opiniował kandydaturę Karola Wojtyły na stanowisko metropolity krakowskiego, jako jednego z argumentów użyto opinii o wzorcowym ułożeniu przez biskupa Wojtyłę stosunków z zakonami w archidiecezji krakowskiej. Janowi Pawłowi II postanowiono więc unaocznić, że po jego wyjeździe do Rzymu sprawy w tej materii mają się znacznie gorzej.

12. Na adres pobytu papieża przesłany zostanie kolejny numer „Rozmyślań” podpisanych przez „księży zakonnych”. Wykona: grupa „D”.

13. Opracowany zostanie dokument z postulatami OO. Augustianów w sprawie reaktywowania ich zakonu. Wykona: grupa „D”<sup>46</sup>

– planowali stratedzy krakowskiego Wydziału IV.

Niebagatelną wreszcie sferę planów dezintegracyjnych bezpieczeństwa stanowiła działalność duszpasterstw akademickich i ruchów charyzmatycznych. Zakładano więc, że:

7. Tw. ps. „Paweł”, „Foton”, „Krzysztof” – zainspirują środowisko duszpasterstwa akademickiego do napisania listu, w którym przedstawią trudności, jakie mają tzw. charyzmatycy w działalności w ośrodku w kościele OO. Franciszkanów. Wykona: sekcja V. (...)

9. Ko. „Irka” autoryzuje list, w którym powróci do spraw związanych z działalnością ośrodka duszpasterstwa akademickiego „Beczka” – OO. Dominikanów. Wykona: grupa „D”<sup>47</sup>.

Śledząc zwłaszcza te fragmenty, poświęcone duszpasterstwom akademickim, nie sposób uniknąć pytania o rolę i wpływ sieci agentural-

---

<sup>45</sup> Tamże.

<sup>46</sup> Tamże.

<sup>47</sup> Tamże.



nej i jej mocodawców na przebieg spotkania Ojca Świętego z młodzieżą akademicką Krakowa 8 czerwca na Skałce. Pamiętna i nieoczekiwana zmiana przyjętego planu spotkania, wygłoszenie przez Jana Pawła II innego – niż wcześniej przygotowane – przemówienia, będącego odpowiedzią na treści zawarte w wystąpieniach witających go przedstawicieli środowisk młodzieży akademickiej, skłaniają do poszukiwania innych przyczyn tej sytuacji aniżeli oficjalnie prezentowane.

Przyjęty 8 maja i podpisany przez ppor. T. Czerwińskiego, inspektora w sekcji V Wydziału IV, plan działań w środowisku oazowym i duszpasterstw akademickich<sup>48</sup> zakładał maksymalne wykorzystanie sieci osobowych źródeł informacji poprzez „realizowanie kombinacji operacyjnych rozszerzających możliwości operacyjne tw. poprzez umiejscowienie ich w kręgach osób wymagających szczególnej kontroli operacyjnej lub wśród organizatorów imprez związanych z przyjazdem papieża”<sup>49</sup>.

Wśród zamierzonych przedsięwzięć operacyjnych na plan pierwszy wysuwało możliwie pełne i wszechstronne inwigilowanie czołowego – w ocenie autorów planu – ośrodka duszpasterstwa akademickiego w Krakowie, czyli dominikańskiej „Beczki”, a zwłaszcza jego głównych animatorów: o. Tomasza Pawłowskiego, o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego oraz o. Joachima Badeniego. Zadanie to powierzono agentom o kryptonimach: „Janusz”, „Adam”, „Witold”, „Malwa” i „Mak”. W omawianym dokumencie w odniesieniu do wspomnianego zadania poczyniono zastrzeżenie: „Zadania powyższe przekazane zostaną w sposób zróżnicowany wykluczający możliwość dekonspiracji”<sup>50</sup>.

Wymienieni tajni współpracownicy otrzymali także zadania:

- rozpoznawanie przygotowań tego ośrodka [„Beczka” – przyp. ML] do powitania w Krakowie papieża,
- tonowanie inicjatyw, których realizacja mogłaby przynieść szkody polityczno-operacyjne,

<sup>48</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Plan przedsięwzięć operacyjnych w zakresie zabezpieczenia środowiska duszpasterstwa akademickiego i „Oaz” w dniach pobytu Jana Pawła II w Krakowie, k. 70-72.

<sup>49</sup> Tamże, k. 70.

<sup>50</sup> Tamże, k. 72.



– oferowanie pomocy w przygotowaniu spotkania młodzieży akademickiej z papieżem lub w innych imprezach<sup>51</sup>.

Kluczową postacią wśród tajnych współpracowników, lokowanych w środowiskach akademickiego ruchu oazowego, wydaje się agent o kryptonimie „Janusz”, pojawiający się wśród rozmaitych grupek agentów otrzymujących ważne misje związane z wizytą papieską. Jemu także polecono zgłoszenie się do komitetu organizacyjnego w kurii krakowskiej z ofertą uczestnictwa w jego pracach oraz z sugestiami dotyczącymi kształtu uroczystości na Skalce.

Pytanie o wpływ agentury na treści przemówień powitalnych wygłaszanych przez przedstawicieli różnych środowisk akademickich i młodzieżowych jest ciągle pytaniem otwartym, gdyż w zbadanych dokumentach archiwalnych brak materiału jednoznacznie potwierdzającego przeprowadzenie przez Wydział IV kombinacji operacyjnej, w efekcie której skłoniono by Ojca Świętego do zmiany przygotowanego wystąpienia. Z drugiej zaś strony trudno wyobrazić sobie, że kierownictwo KW MO w Krakowie nie nadałoby takiemu sukcesowi operacyjnemu odpowiednio triumfalnego tonu w podsumowaniach swoich działań. Nie ulega natomiast wątpliwości, że

Wszystkie osobowe źródła informacji uczestniczące w masowych imprezach w dniach pobytu papieża w Krakowie otrzymają zadania, aby w tych imprezach brać udział łącznie z kontrolowanymi grupami i osobami oraz czynnie przeciwdziałać wszelkim szkodliwym inicjatywom z nich wypływającym, mogącym przynieść szkody polityczno-operacyjne<sup>52</sup>.

W bezpośrednim otoczeniu Jana Pawła II znajdowało się dwóch pracowników Służby Bezpieczeństwa – naturalnie, oprócz ochrony osobistej – których drogą kombinacji operacyjnej wprowadzono do grupy dziennikarzy stale towarzyszących Papieżowi<sup>53</sup>. Wyposażeni w karty akredytacyjne i dokumenty legalizacyjne stwierdzające, że

<sup>51</sup> Tamże, k. 71.

<sup>52</sup> Tamże, k. 72.

<sup>53</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 5, Notatka służbowa dot. realizacji kombinacji operacyjnej umożliwiającej udział pracowników SB w bezpośrednim otoczeniu Jana Pawła II w czasie jego pobytu w Krakowie, k. 186. Sporządzo-



są dziennikarzami Polskiej Agencji Interpress w Warszawie, dysponowali oni najnowocześniejszym sprzętem umożliwiającym nagrywanie i fotografowanie Jana Pawła II i jego świty, także w sytuacjach nieoficjalnych.

## Owoce akcji „Lato – 79”

W podsumowaniach i ocenach, formułowanych przez analityków Wydziału IV tuż po zakończeniu wizyty, brak pogłębionych analiz wypowiedzi Jana Pawła II, a tym bardziej analiz ich odbioru. Dominują natomiast zestawienia statystyczne podsumowujące zaangażowanie sił w operacyjne zabezpieczenie wizyty papieskiej. Z tych zestawień wynika, iż ośmiu tajnych współpracowników realizowało zadania odnoszące się bezpośrednio do Papieża lub jego najbliższego otoczenia, pięciu uczestniczyło w pracach diecezjalnego komitetu organizującego pielgrzymkę, siedemnastu rozpracowywało w tym czasie kurię krakowską i innych członków komitetu organizacyjnego, czternastu wykonywało zlecenia operacyjne w środowisku „Tygodnika Powszechnego” i Znak. Dwudziestu dwóch agentów inwigilowało ośrodki duszpasterstwa akademickiego, dziesięciu rozpracowywało tzw. grupy antysocjalistyczne, tj. SKS i ROPCiO, a piętnastu realizowało doraźne zdania o charakterze specjalnym.

**W sumie w realizacji operacji „Lato – 79” w Krakowie uczestniczyło 480 tajnych współpracowników.**

W sumie w realizacji operacji „Lato – 79” w Krakowie uczestniczyło 480 tajnych współpracowników. Za sukcesy ich działań uznano m.in.:

---

na 1 VI 1979 notatka precyzyjnie ukazuje cel i zamierzone działania dwóch funkcjonariuszy SB zakonspirowanych jako dziennikarze PAI. Najogólniej rzecz ujmując, ich celem było nagrywanie i fotograficzne dokumentowanie wszystkich wypowiedzi i wywiadów prasowych w najbliższym otoczeniu Papieża. Dla potrzeb konspiracji esbeków wyposażono w profesjonalny sprzęt reporterski, wyposażono ich w pełną akredytację prasową, oddano do ich dyspozycji pokój hotelowy służący za skrynkę kontaktową z kierownictwem akcji oraz z pionem technicznym, któremu przekazywane miały być nagrania i klisze fotograficzne. Notatkę sporządzili: ppor Marek Połubiński i st. kpr. Eugeniusz Kocielniak.



- wywołanie rozdzźwięków pomiędzy kard. Macharskim a redakcją „Tygodnika Powszechnego”,
- operacyjne opanowanie punktu informacyjnego „pod Beczką”,
- wyeliminowanie z działalności diecezjalnego komitetu organizacyjnego osób powiązanych z grupami antysocjalistycznymi,
- przenoszenie krytycznych ocen i opinii na temat wystąpień i zachowania się papieża (...) <sup>54</sup>.

Dokonano także wstępnej oceny postaw duchowieństwa i hierarchii Kościoła krakowskiego. Generalnie oceniono ją pozytywnie, z wyjątkiem wymienionych z nazwiska duszpasterzy akademickich i proboszcza parafii w Bieńczycach.

Złe oceny Służby Bezpieczeństwa uzyskali także redaktorzy „Tygodnika Powszechnego”:

Dziennikarze zagraniczni wykazywali duże zainteresowanie środowiskami związanymi z Kościołem i usiłowali docierać do osób znanych z antysocjalistycznych postaw, przede wszystkim do redaktorów „Tygodnika Powszechnego”, gdzie oczekiwania ich na tendencyjne informacje były zaspokajane przez Krzysztofa Kozłowskiego, Władysława Bartoszewskiego, Andrzeja Micewskiego i Mieczysława Pszona <sup>55</sup>.

Ta irytacja i rozczarowanie SB wyzierające z przytoczonego fragmentu jest tym większa, iż w zawiązujących akcję „Lato – 79” planach operacyjnych zakładano zdecydowane eliminowanie prób przejmowania kontaktów z dziennikarzami zachodnimi przez środowiska niechętne władzy ludowej. Wśród nich naturalnie poczesne miejsce zajmowali ludzie Znak i „Tygodnika Powszechnego”.

Sieć tajnych współpracowników Wydziałów: II, III, III A oraz IV, wytypowana do zabezpieczenia pobytu w Krakowie dziennikarzy zachodnich, otrzymała zadania, aby w trakcie konferencji prasowych, wywiadów i rozmów z cudzoziemcami prezentowała korzystne oceny o sytuacji wewnętrznej w kraju, a szczególnie na odcinku polityki wyznaniowej. Z uwagi na szczególną rolę, jaką w takich kontaktach spełniać może redakcja „TP” i „Znak” oraz środowisko KIK-owskie,

<sup>54</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 6, Wstępna ocena działań polityczno-operacyjnych i organizacyjnych Wydziału IV w Krakowie, w ramach sprawy krypt. „Lato – 79”, k. 7-8.

<sup>55</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 6, Sprawozdanie z działań polityczno-operacyjnych i organizacyjnych Wydziału IV w Krakowie, w ramach sprawy krypt. „Lato – 79”, k. 42.



tajni współpracownicy: ps. „Trybun” (...<sup>56</sup>), „Seneka” (...), „Nil” (...), „Olaf” (...), „Ares” (...), otrzymają zadania bądź to neutralizowania wypowiedzi członków środowiska znanych z negatywnych postaw politycznych oraz prezentowania pozytywnych ocen sytuacji w kraju i polityki wyznaniowej Państwa<sup>57</sup>.

Za najpoważniejszy incydent, któremu nie zapobiegły służby kościelne ani duszpasterze, uznano manifestacyjne przeniesienie poświęconego na Skałce krzyża i umieszczenie go na tzw. miasteczku studenckim. Warto tu zacytować fragment ukazujący, że i to wydarzenie rozgrywało się pod kontrolą SB:

Wypełniając zadania podczas spotkania papieża ze studentami na Skałce, tw. ps. „Witold” m.in. włączył się do grupy studentów przenoszącej krzyż na „Miasteczko studenckie”, informując systematycznie – drogą telefoniczną – tut. Wydział o zamiarach poruszającej się grupy. Po dotarciu na „Miasteczko” tw. w walny sposób przyczynił się do przeniesienia krzyża z „Miasteczka” na Błonia, krytykując i ośmieszając osoby podżegające do wkopania krzyża na „Miasteczku”. Jego postawa podzieliła kilkusetosobowy tłum na dwa obozy będące za i przeciw wkopaniu krzyża, w rezultacie czego krzyż został przeniesiony na Błonia i tam wkopany<sup>58</sup>.

Z dalszych zawartych w dokumencie treści dotyczących tej sprawy wynika, że ważną rolę odegrał wspomniany wcześniej agent o kryptonimie „Janusz”, który fotografował spotkanie na Skałce i przemarsz z krzyżem na „miasteczko studenckie”, a także „dostarczył zdjęcia do identyfikacji osób zaangażowanych we wspomnianym incydencie”<sup>59</sup>.

Do zabezpieczenia operacji „Lato – 79” Wydział IV KW MO w Krakowie użył 1037 funkcjonariuszy wyposażonych w dwie kamery, 21 aparatów fotograficznych i 37 magnetofonów. W bezpośrednim otoczeniu Ojca Świętego przebywało czterech funkcjonariuszy Wydziału IV – poza wspomnianymi wcześniej dwoma dziennikarzami Interpressu, dwóch posługujących się znaczkami i dokumentami

<sup>56</sup> Pominięto wliczanie funkcjonariuszy SB (zob. przypis 39).

<sup>57</sup> IPN OBUiAD w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 1, Plan operacyjnych działań do sprawy obiektowej o kryptonimie „Lato – 79” nr rej. 21742, k. 46-47.

<sup>58</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 6, Informacja dot. realizacji zadań na odcinku duszpasterstwa akademickiego związanych z pobytom papieża w Krakowie, k. 28.

<sup>59</sup> Tamże.



legalizacyjnymi funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. Podczas pierwszej wizyty Jana Pawła II zaangażowanych było 67391 funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, w tym 675 funkcjonariuszy pododdziałów specjalnych. Umundurowanych było 49353. Dysponowano 5769 pojazdami wyposażonymi w radiostacje. Używano 5286 radiostacji, tak zwanych nasobnych. Ponadto uaktywniono 4499 członków ORMÓ. Do trzymania w ryzach poruszonego społeczeństwa przeznaczono więc niemałą i dobrze wyposażoną armię<sup>60</sup>.

Tej armii wydano także instrukcję dotyczącą zachowania się godnego i zgodnego ze świeckim charakterem ludowego państwa. W punkcie mówiącym o zachowaniu się w określonych sytuacjach można przeczytać, że:

w rejonach uroczystości z udziałem papieża obowiązują następujące zasady:

– w czasie grania hymnu narodowego oraz na trasach przejazdu i w miejscach pobytu Przewodniczącego Rady Państwa PRL i Prezesa Rady Ministrów funkcjonariusze oddają honory – jeśli na to zezwalają warunki służbowe – przez przyjęcie postawy zasadniczej, z tym że:

- w kordonach salutują tylko oficerowie,
- na posterunkach i w patrolach funkcjonariusze frontują i wszyscy salutują,
- w pozostałych sytuacjach w miejscach pobytu i przejazdu papieża funkcjonariusze przyjmują postawę zasadniczą bez salutowania<sup>61</sup>.

To wystrzeżenie się i zabranianie jakichkolwiek spontanicznych gestów radości ze spotkania z polskim papieżem przybrało formę nawsuwającą ironiczną, ale i gorzką zarazem refleksję. W notatce służbowej, sporządzonej dwa tygodnie po zakończeniu pielgrzymki Jana Pawła II dla tow. Starewicza, st. sierż. K. Aleksanderek wyjaśniał okoliczności domniemanej niesubordynacji jednego z funkcjonariuszy:

W dniu 10 VI 1979 r. podczas odlotu papieża Jana Pawła II do Rzymu wspólnie z pracownikami BOR przebywałem na płycie lotniska. Wśród nas przebywali również dwaj księża ubrani „na krótko”. Kiedy papież podszedł do na-

<sup>60</sup> Szczegółowe zestawienie użytych sił i środków MO i SB znajduje się w: OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Operacja „Lato – 79”, Sprawozdanie z realizacji zadań przez KW MO Kraków w operacji „Lato – 79”.

<sup>61</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 060/79, Plan przedsięwzięć operacyjnych i organizacyjno-wykonawczych MO i SB Garnizonu krakowskiego związanych z realizacją operacji „Lato – 79”.



szej grupy, by się pożegnać, wymienieni księża uklękli i całowali go po rękach. Osobiście nie widziałem, by ktokolwiek z pracowników MSW klękał i całował papieża po rękach. Nie zauważyłem również, by czynili to umundurowani pracownicy obsługi lotnictwa<sup>62</sup>.

Samozadowolenie kierownictwa krakowskiej Służby Bezpieczeństwa, podkreślającej w dokumentach „właściwe wykorzystanie sieci” i brak jakichkolwiek sytuacji, które byłyby dla sztabu i kierownictwa partyjnego zaskakujące, świadczy o braku właściwego rozumienia celu i oczekiwanych przez Kościół rezultatów pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny. Upatrywanie w niej jedynie zagrożeń wynikających z aktywności „elementów antysocjalistycznych” było przecież grubym uproszczeniem. Zakładanie zaś, że Papież w swoich wypowiedziach będzie odnosił się bezpośrednio do sytuacji politycznej Polski lub też będzie demonstrował jakiegokolwiek sympatie polityczne, a tym bardziej „organizacyjne”, budzi dziś zdumienie z powodu swojej płytkizny i nielogiczności.

Nie należy także przeceniać sukcesów sieci agenturalnej. Z istniejącej dokumentacji wynika, że nie odkryła ona niczego, co – w zamyśle oficerów prowadzących – Kościół chciałby ukryć. Z bardzo prostego powodu: ani Jan Paweł II, ani Kościół w Polsce nie miał żadnych tajnych misji do zrealizowania w tłamszonym przez komunistyczny reżim narodzie.

W opracowanych „Uwagach do publicznych wystąpień papieża w czasie wizyty w Polsce w dn. 2-10.06. br.” zwrócono między innymi uwagę na takie oto wydarzenia:

I. Wystąpienie papieża na pl. Zwycięstwa w dniu 2.06 br. o godz. 16.00, mimo że wygłoszone na uroczystości religijnej, zawierało elementy wiecowania i podteksty natury politycznej. (...)

4. Ton wielu fragmentów wystąpienia papieża, wartościujących historię i dobroć narodu polskiego jedynie według kryteriów religijnych, stanowi zaprzeczenie też i sformułowań zawartych w jego deklaracji złożonej w Belwederze. Przekreśla bowiem wszystko to w historii i współczesności Polski, co nie jest oparte na motywacji religijnej. (...)

---

<sup>62</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. 28, Notatka służbowa z dnia 25 VI 1979 r. sporządzona przez K. Aleksanderka, k. 4.





6. W czasie kazania głoszonego przez papieża na pl. Zwycięstwa celowo zainspirowano uczestników uroczystości do odśpiewania pieśni, nie ujętych w uzgodnionym scenariuszu, m.in. pieśni *My chcemy Boga*. (...)

III. 1. Papież, prezentując myśli zawarte w encyklice *Redemptor hominis*, nawoływał młodzież do opowiedzenia się za systemem wartości etyczno-moralnych, stworzonych przez chrześcijaństwo. Zrozumiane to zostało przez uczestników jako dezawuowanie etyki laickiej i negowanie treści humanistycznych w wychowaniu socjalistycznym<sup>63</sup>.

Jan Paweł II przyjechał z głoszoną przez Kościół od dwóch tysięcy lat Dobrą Nowiną, do której odczytania i zrozumienia nie trzeba było angażować kilkuset agentów, ponad tysiąca funkcjonariuszy SB i kilkudziesięciu tysięcy funkcjonariuszy MO. Ale dla komunistycznego reżimu w Polsce – mającego przed sobą jeszcze tylko dziesięć lat istnienia – zrozumienie tej prostej konstatacji było zadaniem przekraczającym jego możliwości.

MAREK LASOTA, ur. 1960, pracownik IPN w Krakowie. Autor publikacji prasowych i naukowych poświęconych działaniom aparatu represji przeciwko Karolowi Wojtyła i Kościołowi w Polsce. Współautor książki *Kościół zraniony. Proces ks. Lelity i sprawa kurii krakowskiej*.

---

<sup>63</sup> OBUiAD IPN w Krakowie, Akta operacyjne, IPN Kr 08/262, t. XVI, Oceny, informacje, meldunki po wizycie papieża, k. 33-37.



Paul Ricoeur

## Między pamięcią a historią

Zawsze pozostanie coś nieprzejednanego w naszych sporach, coś nierozplątywalnego w naszych zawłościanach, coś niepowetowanego w naszych ruinach. Właśnie istnienie czegoś niepowetowanego sprawia, że istnieje historia.

Moja wypowiedź dotyczy – oprócz wielu innych spraw – prawdy w historii. Trzeba być może położyć nacisk na ów niebezpieczny wymiar epoki, w której zbyt pochopnie porusza się zagadnienia obowiązku pamięci. Do nich właśnie przejdę na zakończenie, ale nie od nich rozpocznę. Moje podejście jest z kolei tylko jednym z tych, które wyznaczyły epistemologię historycznego poznania po upadku heglizmu. Simmel i neokantyści odróżniają fakt historyczny od faktu socjologicznego z uwagi na niepowtarzalną wyjątkowość zdarzenia; Dilthey, długo naśladowany we Francji przez Arona i Marrou, podkreśla uwikłanie komentatora w budowę obiektywizmu; anglosascy narratywiści, tacy jak Louis O. Mink oraz Francuz Paul Veyne, dostrzegają bliskość historycznego dyskursu i sprawozdania; ja sam idę tą drogą w *Temps et Récit*; inni, postępując jak Vico, porównują historię z retoryką, aby jak Hayden White przeciwstawić ją podejrzanemu o scjentyzm pozytywizmowi. Wybrałem inny kąt natarcia: stosunek historii do pamięci w kontekście przedstawiania przeszłości.



Jaki mianowicie istnieje związek między pragnieniem wiernej pamięci a wymaganiami historycznej prawdziwości? Jeżeli więc biorę pod uwagę zjawiska pamięci, to nie dlatego, że aktualna rzeczywistość wysunęła je na pierwszy plan wraz z kłopotami, o których przed chwilą wspomniałem, lecz wprost przeciwnie – dlatego że kwestia przedstawiania jest jedną z najdawniejszych, jakie filozofowie podjęli pod naciskiem sofistów i sceptyków. Taka sytuacja wyjaśnia to, że moja książka ukazuje starą grecką aporię obecności nieobecności w ikonie (*eikon*), obrazie nieobecnych rzeczy. Czytelnik może się przerazić! Otóż właśnie przedstawianie tego, co nie jest już obecne, wyostreza najbardziej kwestię prawdy w historii.

Mój sposób postępowania będzie zatem następujący: zacznę od pamięci jako matrycy historii i od dziedzictwa problemów, które historia zawdzięcza pamięci. Następnie przejdę szlakiem od uniezależnienia się historii od pamięci aż do momentu, w którym zamierzam potraktować dokonania pamięci jako przedmioty uprzywilejowane, a jednak włączone do nowych przedmiotów historii, która siebie samą nazywa nową.

Zakończę na przemodelowaniu pamięci przez historię. To pamięć, która na wskroś przeniknęła historię, która zdołała zostać przez nią wychowana, przeobraziwszy się pod wpływem tego doświadczenia, stawia sobie pytanie o pracę i obowiązek pamięci, czym zajmujemy się później.

## I. Pamięć – matryca historii

Jeżeli historia ma jako wiedza wyraźny początek, który wyznaczają słynne nazwiska Herodota, Tukidydesa, a nawet dawniejsze źródła, to jej największe problemy i – powiedzmy sobie od razu – jej trudności i kłopoty sięgają dalej niż ona, bo wywodzą się właśnie z pamięci. Dostrzegam potrójną spuściznę: 1) sformułowanie zagadki, która dotyczy samej idei przedstawiania, i to przedstawiania przeszłości; 2) pierwszy model rozwiązania; 3) przypisanie dyskursu pamięci wyrazicielowi lub wyrazicielom, a więc wielu podmiotom pamięci, o których mówimy, że sobie przypominają.



1. Oto zagadka: wspomnienie przychodzi do duszy jako obraz występujący samorzutnie, jako znak, obecny nie sam z siebie, lecz dzięki innej nieobecnej rzeczy, którą w wypadku wspomnieniowego obrazu określa się jako istniejącą przedtem. Dlatego różnym bytom są przypisywane trzy cechy: obecność, nieobecność i uprzedniość. Obecność jest cechą samego obrazu, ale obrazu, który występuje jako ślad, odcisk, znak nieobecnej rzeczy. Mówiąc w przybliżeniu, olbrzymia problematyka odsłania się, gdy dla jej zilustrowania użyjemy metafory odcisku pozostawionego przez pieczęć w wosku: jeżeli odcisk jest obecny, to przybijania pieczęci już nie ma. Stąd prowadzi droga do drugiej sprawy – do nieobecności. Może to być nieobecność fikcji, fantazji, halucynacji lub rzeczywistego zdarzenia. Tutaj od razu narzuca nam się groźny problem granicy między pamięcią a wyobraźnią, wspomnieniem a fikcją, o czym retoryka będzie miała coś do powiedzenia na innym poziomie. Wcześniej jednak trzeba omówić trzecią i decydującą cechę zagadki przedstawiania przeszłości: poczucie czasowego dystansu, oddalenia, wyrażane w naszym języku przez czasy gramatyczne – jeżeli mamy z tym do czynienia – albo przez takie przysłówki jak *p r z e d t e m*, *n a j p i e r w* – gdy o tym rozmawiamy lub opowiadamy. Oto największa zagadka: przeszłość jest obecna w obrazie jako znak nieobecnego, ale nieobecnego, które było, chociaż już go nie ma. Ku owemu minionemu byciu zmierza pamięć. Wracając chciałaby pozostać wierna.

2. Na tym polega zagadka. A oto pierwsze i tymczasowe rozwiązanie, które podsuwa pamięć. Za cenę większego lub mniejszego umysłowego wysiłku (który Grecy nazywają *anamnèsis* – anamnezą, przypomnieniem, skupieniem), a niekiedy bez związanego z szukaniem, tropieniem, napastliwym dociekaniem trudu dokonuje się powrót przeszłości, który nazywamy rozpoznawaniem. Zawdzięczamy Bergsonowi, że w *Materii i pamięci* nakreślił na nowo całą problematykę pamięci, posługując się dwoma wyrażeniami: rozpoznawaniem obrazów i przeżywaniem obrazów. Rozpoznawanie jest, jak lubię mówić, małym cudem. Tego szczęścia rozpoznawania historia zostanie pozbawiona i na jego szukanie jest być może skazana. Rozpoznawanie podlega porządkowi pewności. Można spierać się z nim, podejrzewać je, zaprzeczać mu za pomocą dokumentów o innym cha-



rakterze niż świadectwo, jak powiemy dalej, lecz nie ma żadnego innego niż rozpoznawanie podstawowego doświadczenia, które dawałoby nam rzeczywistą obecność nieobecności tego, co choć zniknęło, choć już nie istnieje, obwieszcza, że jest. Rozpoznawanie stanowi w istocie dopasowanie, zgodność, równoważność obecnego obrazu nieobecną rzeczą dawną, której ślad zachowała pamięć. W ten sposób z pewnością w przedstawianiu zdarzenia łączy się mimowolne, pewne tylko na podstawie domysłów, ale nieodparte założenie o przeżywaniu obrazów. Chodzi o przeżywanie, odżywianie, utrzymywanie się, stałość tego, co trwa w tym znaczeniu, w którym „trwać” to „pozostawać”, a nie tylko „płynąć”. Jak to się dzieje? Jaka jest tutaj rola mózgu? Nie wiemy tego prawie wcale. I nie jest dla nas ważne wyjaśnianie, czego najpierw doznajemy w zdumiewającym doświadczeniu identyfikacji, które każe nam wykrzykiwać w chwili wyznaczonego przecież spotkania: „To naprawdę ona! To naprawdę on!”. Pewność bywa tutaj nieodparta do tego stopnia, że jesteśmy zmuszeni przyznać: jakkolwiek wątpliwe byłoby wspomnienie w chwili rozpoznawania, nic lepiej nie każe nam doświadczać, wierzyć, mówić, opowiadać, że przedtem zdarzyło się coś takiego, co zachowujemy w pamięci. Takiego? Na tym polega cały problem, który w gorączkowej i niespokojnej atmosferze pamięć przekazuje historii. Oto po dziedzictwie samej zagadki – dziedzictwo jej rozwiązania.

3. Trzecie dziedzictwo: pamięć to nie tylko cel, ku któremu zmierzają minione wydarzenia przez pozostawiony w nas ślad, ani nie poszukiwanie, które niekiedy na szczęście zostaje wynagrodzone małym cudem rozpoznawania; jest ona również samookreśleniem własnego podmiotu (po francusku mówimy, że przypominamy sobie, *nous nous souvenons*). Z tej racji pamięć jest nasza, a w pierwszej kolejności moja. Moje wspomnienia należą do mnie. Ale przypisywanie komuś czynności wspomniania nie zamyka się na samookreśleniu posiadacza wspomnień w pierwszej osobie. Przez sympatię, przeniesienie w inną psychikę, zostajemy uprawnieni na podstawie wypowiedzi drugiego człowieka oraz innych niż słowne znaków do przyznawania pamięci innym od nas. To wielokrotne przyznawanie pozwala opowiadać o wspomnieniach innych, na przykład w powieści czy w teatrze. Stopniowo przypisujemy pamięć wszystkim grama-



tycznym podmiotom: ja, ty, on/ona, my itd., nie pomijając zaimków nieokreślonych i form bezosobowych. Właśnie na podstawie tego wielokrotnego przyznawania pamięci mamy prawo mówić o pamięci zbiorowej. Z tego względu Halbwachs miał prawo mówić o pamięci zbiorowej stanowiącej oprawę dla pamięci prywatnych. Nie opanował on jednak pojęcia wielokrotnego przyznawania, które uwalnia stronnictwa od polemizowania ze sobą. Nasze pamięci są uwikłane w siebie nawzajem tak jak nasze sprawozdania, które czynią z nas na przemian niepowtarzalnych protagonistów, odrębnych uczestników lub ludzi wmieszanych w tłum. „Uwikłana w historiach” – taki jest los pamięci. Na tym uwikłaniu historia buduje więź. Ale właśnie z tym uwikłaniem najpierw dokonuje rozłamu.

## II. Pamięć przedmiotem historii

Wzrost potęgi historii jako nauki humanistycznej powoduje istotnie odwrócenie ról. Decyzja o drobnym rozłamie zapada tak bardzo wcześnie, że jest on pod wieloma względami współczesny pamięci i jej sprawozdaniom. Zapoczątkowuje go pismo, zapis ludzkiego doświadczenia na różnym od ciała podłożu materialnym: na cegle, papirusie, pergaminie, papierze, twardym dysku, nie mówiąc o wszystkich zapisach, które nie są rejestracjami słowa, ustnej wypowiedzi: o maskach i tatużach, rysunkach, grze kolorów na ubraniu, ogrodach, stelach, pomnikach. Zapis w tym znaczeniu jest szerszy niż piśmiennictwo w znaczeniu literalnym i literackim. Tu zachodzi podejrzenie, że pismo jako takie może współzawodniczyć z pamięcią, a nawet odciążając ją, wręcz przyspieszając kosztem anamnezy, wyrządzać jej krzywdę. Tak podejrzewa Platon w słynnym micie o Fedrze, który pozwala zrozumieć, że osierocony przez rodzica i bezbronny tekst poddaje się ryzyku niepewnego obiegu. Czy *pharmakon* pisma to trucizna czy lekarstwo? Nie przestaliśmy poprzez mit zadawać sobie pytania, czy pisanie historii nie szkodzi w pewnej mierze anamnezie, owemu skupieniu, które z wysiłkiem wraca pod koniec naszych dociekań pod dwoistą postacią pracy i obowiązku pamięci.



Proponuję, abyśmy prześledzili wzrost pęknięcia w poszczególnych stadiach historycznego poznania, przyjmując przedstawiony przez Michela de Certeau podział na stadium dokumentalne, stadium wyjaśniania/rozumienia i stadium pisma literackiego. Oczywiście, stadia są wydzielone za względu na potrzeby analizy procesu, który na froncie wiedzy o przeszłości nieustannie posuwa się do przodu. Jeżeli chodzi o pismo w całej rozciągłości, to wymaga go samo wyrażanie historiografii. Nie interesuje mnie tutaj technika działań, które wszystkie razem składają się na działalność historiograficzną. Jedynie los pamięci będzie dla mnie ważny, ponieważ ten kąt natarcia postanowiłem uprzywilejować.

1. Rozłam w stadium dokumentalnym nie powstaje nagle. Pokonuje on raczej kolejne progi w imię większego działania, które – jeżeli można tak powiedzieć – tkwi jedną nogą z każdej strony niewidzialnej bariery. Świadcstwo zaczyna się w istocie wraz z uchwycceniem na poziomie deklaratywnym pamięci, która do siebie mówi i o sobie opowiada. W fazie publicznej przeskakuje ona do innego porządku. Świadek świadczy przecież wobec kogoś innego, przystaje na proste stwierdzenie faktycznej rzeczywistości, określając go jako wiarygodny autorytet, na którego zdaniu („Byłem przy tym, wierzcie mi!”) można polegać. Coś z pewności rozpoznawania wspomnienia przechodzi do świadcstwa, ale z zaufaniem wobec samego siebie łączy się ponadto akceptacja podejrzenia kogoś innego, jego nieufności. Świadcstwo przenosi się zatem na obszar powierniczy. Zapisane i potwierdzone podpisem zeznanie może być wzmocnione przysięgą, że powiedziano prawdę, oraz na wszelki wypadek obietnicą świadczenia znowu, jeżeli uprawniona władza o to poprosi. Ale wraz z powiernictwem następuje wejście w niebezpieczny krąg porównywania i oceny świadcstwa. Lorenzo Valla w *Darze Konstantyna* pozostaje koniecznym dla zdobywania niebezpiecznego wymiaru świadcstwa drogowskazem. Marc Bloch pozostaje w naszych czasach niedościgłym teoretykiem tego zagadnienia. Ale gdy umieszcza on świadcstwo na honorowym miejscu, wyznacza równocześnie jego granicę, która będzie zarazem granicą wkładu pamięci w problematykę, skoro wszelkie świadcstwa nie są zamierzonymi świadcstwami i istnieją świadkowie wbrew sobie, stający się nimi tylko dla wypytu-



jących historyków. Nie ma bowiem bezspornego nawet dla krytyki faktu, którego stwierdzenie nie stanowiłoby odpowiedzi na pytanie sformułowane w ramach własnej dyscypliny i wyuczonych zasad.

Krok po kroku wynegocjowane, wydarte, wyłudzone świadectwa przybierają postać naszych archiwów z dowodami winy, nie będącymi niekiedy już wcale świadectwami. Tak dochodzimy do scalającej kategorii dokumentu, która bardzo wykracza poza kategorię pamięciowego śladu, kryjąc w sobie wszelkiego rodzaju materialne, łatwo ulegające zatarciu, a więc zdane na naszą opiekę i troskę ślady ludzkiej działalności. Tym właśnie zapełniają się nasze archiwa – prawdziwe instytucje, które nie mają odpowiednika ze strony pamięci.

Wraz z dokumentalnym śladem i archiwum zdobywa sobie pozycję epistemologiczny paradygmat, który zapewnia historii samodzielność o innym obliczu, taką mianowicie, jaką mają nauki przyrodnicze. Paradygmatowi Galileusza, definiowanemu przez związek między przeprowadzaniem doświadczeń, tworzeniem modeli i sprawdzaniem, przeciwstawia się to, co Carlo Ginzburg nazywa paradygmatem zindeksowanym semiotycznie, w którym archiwalny dokument jest przeglądany, interpretowany, poddawany osądowi rzeczoznawców, a zatem sąsiaduje z medycznym objawem oraz innymi nośnikami pośredniego, opartego na domysłach, przypuszczalnego poznania. Ten zindeksowany charakter pośrednictwa historyków nie jest znakiem braku obiektywności, lecz właściwą dla historycznego poznania jej odmianą, a dokumentalna prawda zgodnie ze swoimi probabilistycznymi właściwościami dopuszcza – zależnie od gęstości indeksowych wskaźników – pewne stopnie ich powiązania, obszaru zasięgu, potwierdzenia przez porównanie i dyskusję. W ten sposób prawda w historii oddaliła się dzięki dokumentowi i archiwum od cechującego pamięć stopnia wierności.

2. Nowy krok został postawiony na drodze uniezależnienia się historii od pamięci, gdy zastosowano wyjaśniające oraz interpretacyjne procedury, które przekraczają możliwości osądu i rozumowania wykorzystywanego przez pamięć na poziomie prostej relacji. Podać parę przykładów tego odcięcia się historiografii.

Spójrzcie najpierw na liczne i rozmaite zastosowania korektora „dlatego że” w odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. W tym wypad-





ku historia korzysta obficie z odnoszących się do przyczynowości kategorii, ukazując je w całej rozciągłości – od zastosowania bliskiego naukom przyrodniczym, które zrównują przyczynę i prawo, aż po zastosowanie związane z mówiącą o racjach działania argumentacją. Do tak różnorodnych zastosowań przyczynowości dołącza się zastosowanie jednakowo stopniowalne co do liczb i co do seryjnych, powtarzalnych albo cyklicznych układów. Sama historia powinna w metodycznym myśleniu potwierdzić wartość tych sposobów wyjaśniania i rozumienia.

Inny przywilej historii: do niej należy rozmieszczanie na różnych poziomach zjawisk gospodarczych, społecznych, politycznych, kulturalnych, kosztem przekształcania więzi, w które splata się codzienne doświadczenie. Jeszcze bardziej widowiskowe jest metodyczne odwoływanie się do rozważań o skali, których pamięć nie prowadzi. Pojęcie skali jest zapożyczony z kartografii i dobrze znane planistom, urbanistom oraz architektom. Wynika z niego, że w różnych skalach nie widzimy takich samych rzeczy. W swojej najprostszej postaci skala trwać nie jest pozbawiona podstawy w pamięci, gdyż potrafimy odpowiednio dopasowywać posiadane przez nas pojęcie długich i krótkich trwał. Historia posługuje się nim jednak systematycznie, przypisując różne kryteria i prawidłowości oddzielanym w ten sposób trwaniom. Ale przede wszystkim – idąc za czasopismem „Annales” i za Braudemem, uprzywilejowującymi długie trwania, które poddawały się analizie strukturalnej, i odnoszącymi krótkie trwania do przelotnych zdarzeń – włoscy badacze mikrohistorii zastosowali w praktyce to, co Jacques Revel nazywa „grami skal” poprzez zmianę poziomów lektury. I tak włoski młynarz z XVI wieku (Carlo Ginzburg, *Ser i robaki*) albo nękanie odgórnymi naciskami wieśniak (Giovanni Levi, *Władza na wsi*) uczą się orientować w niepewnych sytuacjach, które nie odpowiadają strukturze ustanowionych w wielkiej skali systemów. Ponadto gry skal są stosowne nie tylko dla trwał, lecz także dla norm, stopni skuteczności i przymusu. Historia przynosi tutaj rozróżnienia i wyszczególnienia, które są dla niej właściwe.

3. Na tym tle mogło zostać zaproponowane odwrócenie ról, podczas którego pamięć z matrycy historii staje się takiej samej rangi



przedmiotem historii jak inne „nowe przedmioty” w obrębie historii, która siebie samą nazywa „nową”. Odwrócenie zostało umożliwione dzięki rozwojowi odrębnej dziedziny historycznej tematyki, to znaczy historii mentalności, przechrzczonej na historię przedstawień z powodu dwuznacznego terminu „mentalność”, który po Levy-Brühlu ciągle przywodzi na myśl domniemych „ludzi pierwotnych”, a więc zapóźnienia, przesady oraz inne irracjonalności. Ciekawa niejasność towarzyszy zarazem terminowi „przedstawianie” w dyskursie historycznym. Przedstawianie oznacza tu na przemian przedstawiający przeszłość wspomnieniowy obraz, postrzeganie świata przez aktorów toczącej się historii, literacki zabieg, którym kończy się droga historyka, proponującego swoje przedstawianie przeszłości w napisanym dziele. Takie bogactwo terminu „przedstawianie” wpływa na jego wagę. Jest to naprawdę podstawowe słowo całej problematyki. Jeżeli chodzi o historię pamięci, stanowi ona niezaprzeczalne pole badania, szczególnie na poziomie pamięci zbiorowej. Wybiórczy charakter pamięci, który potęguje się w opowiadaniu, nie uprzywilejowuje tych samych zdarzeń nawet w bliskich sobie epokach. Toteż Francuzi po 1945 roku długo zauważali tylko fakty kolaboracji i oporu, a fakty dotyczące wywózki i zagłady Żydów dostrzegali wyłącznie przy okazji procesu Barbie’ego oraz po zagrażającej istnieniu Izraela wojnie sześciodniowej. Sprawozdania na temat opinii o wydarzeniach związanych z wojną w Algierii odnotowują podobne zaćmienia i nagłe przebłyski. Ale zmiany na poziomie pamięciowych relacji to jeszcze drobnostka w porównaniu ze skrzywieniami pamięci w obszarze świadectwa. Pamięć ma wynikające z minionych cierpień lub win trudności, wypiera i stawia opór, zaprzecza i popada w obsesje, co psychoanaliza i psychologia społeczna wykrywają w małych jednostkowych skalach, a historia przedstawień łączy w większych skalach, w których władza jest wchodzącą w grę stawką. Historia pamięci staje się więc krytykiem pamięci w połączeniu z socjologią ideologii i utopii. Stąd owa historia i owa krytyka właśnie w obrębie historii najnowszego okresu narażają się na największe niebezpieczeństwo skażenia przez historyków, będąc ich echem, nie-

**Pamięć ma wynikające z minionych cierpień lub win trudności, wypiera i stawia opór, zaprzecza i popada w obsesje.**



ostrożnym rozjemcą i sędzią. Nie należy zatem tracić z oczu tego, że historyczny osąd wpisuje się z kolei nagle w zbiorową pamięć współczesnych, ona zaś z matrycy historii zmienia się w przedmiot historii tylko po to, żeby powrócić jako zlewisko i nośnik historii.

### III. Pamięć pouczana przez historię

Nasz trzeci temat, ponowne przyjęcie historii przez pamięć i do pamięci, zrozumiemy tylko pod warunkiem, że do historiograficznej działalności dorzucimy nowy wymiar, to znaczy jej czysto pisemną fazę, która nadaje terminowi „historiografia” jego mocne znaczenie. Historia jest oczywiście pismem w całej swojej rozciągłości, rodzi się nawet wraz z pismem i z pisma, ale wytwarza nowe pisma: wydawane teksty, artykuły, książki z dołączonymi niekiedy mapami, ilustracjami, fotografiami i innymi zapisami. Właśnie w tej fazie, wchodząc w zależność między pismem a lekturą, historia powraca do pamięci. Pisarz pracuje nad historią. Czytelnik wypracowuje historię i wypracowując historię, przekształca pracę historyka w pracę obywatelską.

Zatem piszący historyk odczuwa inny przymus niż dokumentalna ścisłość archiwów albo inny niż wyjaśnianie/rozumienie, szczegółowo ukazujące przyczynowość i motywację, łączące w całość gospodarczy, społeczny, polityczny i kulturalny poziom czy też przebiegające przez lekturowe skale struktur, okoliczności, zdarzeń. Ów zaakceptowany, a niekiedy działający bez wiedzy pisarza przymus dotyczy kilku literackich pięt.

Przede wszystkim są to, oczywiście, narracyjne środki przymusu, dobrze poznane i być może zbyt wysoko cenione przez szkołę narratywistów. Interesują nas one, o ile dwuznacznie wpływają na wolę prawdy w przedstawianiu przeszłości. Gdy mianowicie prowadzą możliwie najbliżej zdarzenia, nadając mu czytelność i widoczność, równocześnie zmierzają do wytworzenia filtru między celem, którym jest rzeczywistość, a jej przedstawieniem w narracyjnej postaci, przy czym te intryganckie gry przeciwstawiają swoją mętność wyraźnej przejrzystości dobrze poprowadzonej, rzeczowej, przekonywającej i przyjemnej opowieści.



Do typowo narracyjnych środków przymusu przyłączają się często bardziej ukryte więzy retoryki wraz z jej wyrażeniami i tropami. Właśnie te więzy i te czary stawiają na świeczniku obrońców retorycznego podejścia do historycznego poznania w rodzaju Haydena White'a, znakomitego badacza historycznej wyobraźni wielkich dziewiętnastowiecznych autorów. Jego atak jest skierowany przeciwko zafascynowanemu sukcesami nauk przyrodniczych wczesnemu pozytywizmowi. Obraca się jednak przeciwko idei historycznej obiektywności, interpretowanej nawet, jak to zastosowałem powyżej, na podstawie zindeksowanego paradygmatu oraz środkami wyczulonej na stopnie prawdopodobieństwa probabilistycznej logiki. Ale w dyskusji skupionej na metodach i osiągnięciach retoryki stracono z oczu zwłaszcza to, że losy prawdy w historii nie rozgrywają się tylko na końcowym poziomie pisma w znaczeniu piśmiennictwa i literatury, lecz wzdłuż epistemologicznego łańcucha: od świadectwa do archiwów, od wyjaśnienia przyczynowego do zrozumienia racji i od wyszczególniania poziomów analizy do przebiegania po stopniach skali. Cała historiograficzna działalność powinna zostać oceniona ze względu na prawdę w przedstawianiu przeszłości.

Tutaj przypominam porównanie między pragnieniem wiernej pamięci i zamysłem prawdziwej historii. Ów zamysł nie zostaje wynagrodzony małym szczęściem rozpoznawania i na tym polega jego niedomaganie, niebędące jednak nieszczęściem. Można, co prawda, zaledwie liczyć na to, że jego konstrukcje są bardziej lub mniej zbliżonymi rekonstrukcjami. To jednak nie byle co. Wymogi przybliżania narzucają całemu przedsięwzięciu na wpół ufność, na wpół nieufną tonację wojowniczości, co sprawia, że wolę termin „przedstawieniowość” (*représentance*) od terminu „przedstawianie” (*représentation*). Czujność i ufność przedstawieniowości. „Niepokojąca dziwność” historii nie zostaje usunięta, lecz nie daje żadnej szansy sceptycyzmowi, do którego szkoła retoryczna zachęca.

Wyposażony w ten cały krytyczny aparat, przystępuję do zagadnienia obowiązku pamięci, który wywołuje znane zarzuty, niepokoje i podejrzenia. Kłopot ma tutaj charakter moralny, prawny i polityczny, i odnosi się bezpośrednio do zbiorowej oraz osobistej pamięci współczesnych. Podniesiona do tego poziomu obawa jest zupełnie



uzasadniona. Uznałem ją jedynie za przedwczesną w jej pospolitym sformułowaniu z punktu widzenia opinii publicznej. Ocenilem, że jestem w stanie wziąć na siebie ciężar zadania, odkładając jego wykonanie do chwili przeprowadzenia rozważań poświęconych prawdzie w historii. Jakże bowiem moglibyśmy mieć obowiązki dotyczące zdarzeń, których autentyczności w sensie bezspornego faktu nie ustaliliśmy i nie potwierdziliśmy? Kładę nacisk na „bezsportny”, „uwagany za prawdziwy” u kresu krytycznego badania w całym epistemologicznym łańcuchu.

Przedsięwzięwszy i przypomniawszy te środki ostrożności, dochodzimy do kwestii obowiązku pamięci.

Moim zdaniem problem istnieje tylko dla pamięci, która została poddana historycznej próbie. Niektórzy wobec tego sądzą, że bieg historii ignoruje, a nawet znieważa pochodzącą przede wszystkim od ofiar największych zbrodni prośbę o rozpoznanie. Istotnie, wraz z historią strefa wspomnień poszerzyła się niezmiernie przez stosowanie porównań, stała się bardziej złożona przez pomnożenie kątów natarcia, a także bardziej odległa z powodu wielorakiego pośrednictwa. Zresztą może się wydawać, że troska o zrozumienie przeskadza trosce o sąd i skazujący wyrok. Historyk, w odróżnieniu od sędziego i chętnie wymierzającego sprawiedliwość obywatela, nie musi wyciągać wniosków. Zakres jego działania obejmuje rozumienie, dyskusję i polemikę, a nie potępienie. W takiej właśnie krytycznej perspektywie umieszczam dyskusję na temat obowiązku pamięci, od którego historyk nie może się z kolei uchylić, o ile jego pisma okrężną drogą lektury wchodzi w pewien układ z innymi pismami, tworam wyobraźni, teatrem, szkicami, pamfletami oraz niepismami: zdjęciami, obrazami, filmami itd. Ponadto jego retrospektywny dyskurs współzawodniczy i wchodzi w układ z prospektywnymi dyskursami, z projektami reform, z utopiami – jednym słowem, z dyskursami skierowanymi ku przyszłości, ku konstrukcji i rekonstrukcjom, wymagającymi, aby retrospektywny dyskurs przekształcił się wobec nich w narzędzie przepowiadania i przedawiania – i z nimi współzawodniczy. Krótko mówiąc, historyk ma udzielać wyjaśnień jako tworzący historię obywatel. Z tego tytułu nie odrzuci idei obowiązku pamięci, którego ostatecznym uzasad-



nieniem jest oddanie sprawiedliwości ofiarom, sprawiedliwości, o której historia zwycięzców odważa się zapominać. Czyniąc to, uznaje on również słuszność sporu podsycanego przez różnicę dążeń pamięci i historii. Dążenia pamięci są mianowicie bardziej ograniczone, bliższe faktycznie zadaniom przez historię ranom, bardziej wybiórcze w tej właśnie mierze, mniej chętnie uwzględniające inne historyczne nieszczęścia, mniej gotowe do rozpraszenia swojego współczucia. Jeżeli istnieje coś wyjątkowego dla pamięci cierpienia, coś wyjątkowego dla moralnego sprzeciwu, to narzędziem pracy historyka pozostaje porównywanie. Nieporównywalne stanowi zatem wynik ważenia, w którym różnice górują nad podobieństwami. Lecz taki jest owoc porównywania.

Stawszy się świadkiem tych nieuniknionych napięć, filozof może jedynie ofiarować ostrożny głos mądrości. Toteż odwoła się do nauk psychoanalizy na temat pracy pamięci, kierującej się przeciwko oporom, które Freud przypisuje skłonności do powtarzania. Taka informacja o pracy pamięci nabiera w pełni wagi na scenie publicznej, gdy oglądamy obsesje z przeszłości, które rzeczywiście przeciwstawiają powtarzanie przypomnieniu. Filozof zaczerpnie również z psychoanalizy inną naukę, mianowicie na temat nieuchronnego ograniczenia naszej zdolności identyfikacji, którego obraz daje psychoanalityczna praktyka przeniesienia i kontrprzeniesienia. Ani pamięć, ani nawet historia nie unikają tego uczuciowego i emocjonalnego ograniczenia, które na równi dotyka zakresu podejścia historyka oraz tajników współczucia w pamięci.

To nie wszystko. Obowiązku pamięci i pracy pamięci nie przywołujemy w tych samych kontekstach. Mówimy na temat obowiązku pamięci, sprzeciwiając się pewnym przebiegłym zastosowaniom strategii zapominania, w imię których dokłada się starań, aby nie widzieć, aby nie chcieć wiedzieć, aby uchylić się od powołania czynnego lub zwłaszcza biernego obywatela. W tym sensie wobec praktyki zapominania obowiązek pamięci oznacza obowiązek niezapominania. Nie polega on jednak na przypominaniu sobie bez przerwy ran, cierpień, upokorzeń, krzywd, lecz na braniu ich zawsze pod uwagę we wszystkich politycznych sporach i we wszystkich ocenach sytuacji. Biorąc pod uwagę, nie niszczyć. I tutaj właśnie praca pa-



mięci przychodzi z pomocą obowiązкови pamięci, walcząc przeciwko oporom, które sprzyjają powtarzaniu. Ze współdziałania pracy i obowiązku pamięci może powstać aktywne wspomnienie, dające się jednocześnie zrozumieć i wytrzymać.

Nie należy wobec tego oddzielać pracy wspomnieniowej od pracy żałobnej, która polega na odsuwaniu się stopniowo od przedmiotów miłości i nienawiści oraz na uwewnętrznianiu ich obrazu. Żałoba jest pod tym względem przeciwieństwem melancholii jako znajdowanego w smutku upodobania, pogrążania się we łzach aż do utraty szacunku dla samego siebie. Kończąc, chciałbym powiedzieć, co najtrudniej pożegnać, aby uczynić pamięć pracą lub obowiązkiem. W żałobie żegnamy się, jak to zostało powiedziane, z przedmiotami miłości i nienawiści, ale także z tego rodzaju powtarzaniem, które stanowiłoby powrót do wcześniejszych sytuacji. Zawsze pozostanie coś nieprzejednanego w naszych sporach, coś nierozplątywalnego w naszych zawilościach, coś niepowetowanego w naszych ruinach. Właśnie istnienie czegoś niepowetowanego sprawia, że istnieje historia.

*Tłum. Małgorzata Frankiewicz*

© Paul Ricoeur i Instytut Nauk o Człowieku

PAUL RICOEUR, ur. 1913, jeden z najwybitniejszych filozofów francuskich, przedstawiciel hermeneutyki. W Polsce ukazały się m.in.: *Symbolika zła* (1986), *Język, tekst, interpretacja* (1989), *Drogi rozpoznania* (2004).



Janusz Poniewierski

## Pamięć i tożsamość

*Pamięć i tożsamość* jest książką bardzo polską, mocno osadzoną w kulturze, w której wzrastał jej Autor. Mnóstwo tu odniesień do historii... Tak jakby Papież raz jeszcze usiłował pokazać, kim jest. I dlaczego ma taką, a nie inną wizję rzeczywistości.

Wywiady z papieżem zdarzały się już w przeszłości, przed rokiem 1978, zawsze jednak były ogromną rzadkością. Z tego punktu widzenia rok 1993 powinien przejść do historii papiestwa jako szczególnie. Wtedy bowiem Jan Paweł II aż trzykrotnie dał się namówić na takie zwierzenia...

Rozmowę pierwszą (w kolejności publikacji) przeprowadził włoski dziennikarz i polityk Jaś Gawroński. Ukazała się ona 2 listopada tego roku w dzienniku „La Stampa” (*W czym oddaliliśmy się od Ewangelii? Koniec drugiego tysiąclecia wymaga rachunku sumienia*), a nazajutrz przedrukowały ją gazety na całym świecie.

Rozmowa druga miała się odbyć we włoskiej telewizji RAI z okazji 15-lecia pontyfikatu. Do jej przeprowadzenia wyznaczono dziennikarza Vittorio Messoriego, który przygotował pytania dla Ojca Świętego. Niestety – wspominał potem Messori – „w ostatniej chwili nawal zajęć uniemożliwił Papieżowi realizację tego przedsięwzię-





cia”. Przynajmniej w takiej formie, w jakiej zaplanowała je telewizja RAI. Jednak Janowi Pawłowi II spodobały się pytania i – kilka miesięcy później – odpowiedział na nie... pisemnie. Tak powstała książka *Przekroczyć próg nadziei*.

Do rozmowy trzeciej doszło latem 1993 roku w Castel Gandolfo. Dwaj polscy filozofowie – ks. Józef Tischner i Krzysztof Michalski – zaproponowali Ojcu Świętemu „przeprowadzenie krytycznej analizy historycznej i filozoficznej dwóch dyktatur, które naznaczyły piętnem dwudzieste stulecie: nazizmu i komunizmu” (cytat z podpisanego przez Redakcję wstępu do książki *Pamięć i tożsamość*). Papież się na to zgodził – rozmowy (bo było ich kilka i trwały prawie tydzień) nagrano, spisano i... sprawę ich ewentualnej publikacji odłożono na bliżej nieokreśloną przyszłość. Kiedy po latach powrócono do tego pomysłu, zmienił się kontekst – i rzecz całą należało zaktualizować, zmienić<sup>1</sup>. Przygotowując książkę do druku, zachowano jednak „literacką formę konwersacji, aby czytelnik miał świadomość, że nie jest to wykład akademicki” – mówią jej watykańscy redaktorzy. Oni też są autorami pytań w ich obecnej formie.

Tak wygląda geneza najnowszej książki Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość*<sup>2</sup>.

## Miara wyznaczona zła

Ta książka nie ma charakteru autobiograficznego, jak choćby *Dar i Tajemnica czy Wstąńcie, chodźmy!*. Stanowi raczej próbę pokazania świata, tak jak postrzega go Autor. A jest to spojrzenie „głębiny”, zakorzenione w historii zbawienia. Teologia dziejów, po prostu.

Papież patrzy na historię w perspektywie ewangelicznej – na przykład przez pryzmat przypowieści o pszenicy i kąkolu (por. Mt 13,

<sup>1</sup> Jak mówi prof. Krzysztof Michalski („Newsweek” nr 6/2005), tematem rozmów w Castel Gandolfo było „życie Papieża i idee, które to życie ukształtowały”. I dalej: „Nasze rozmowy i ta książka to dwie różne rzeczy. Od czasu naszego spotkania minęło prawie dwanaście lat, dużo się od tamtej pory wydarzyło. Papież – jak informuje wstęp – zmienił tekst, dostosował go do nowych warunków. Książka nie jest więc bezpośrednim odbiciem rozmów...”.

<sup>2</sup> Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przełomie tysiącleci*, red.: zespół pod kier. ks. P. Ptasznika i abp. P. Sardi, Kraków 2005, oprac. graficzne O. Chmielewski.



24-30). I tak również należy czytać jego książkę. Nie wybiórczo – podkreślając przede wszystkim te fragmenty, w których dominuje, być może, pesymistyczna ocena współczesności (na przykład filozofii pokartezjańskiej i jej wpływu na historię człowieka<sup>3</sup>) – ale ze świadomością, że „dzieje ludzkości są widownią koegzystencji dobra i zła”, a nade wszystko, że prawdziwym Panem historii jest Chrystus. „Zwycięzca śmierci, piekła i szatana” – także w wymiarze dziejowym. Oto prawdziwy optymizm przezierający z kart tej książki. Zgoda, wiek XX był czasem straszliwego „wybuchu” zła – powiada Jan Paweł II. – Istnieje jednak „boska miara wyznaczona złu”: Odkupienie. I tajemnica Miłosierdzia. Jak w pismach Julianny z Norwich („Wszystko będzie dobrze”). Bóg działa także poprzez ludzkie „błędy, z których jest w stanie wydobyć większe dobro. Całe dwudzieste stulecie było naznaczone jakimś szczególnym działaniem Boga. (...) Bóg zawsze potrafi wyprowadzić dobro ze zła. [On] chce, ażeby wszyscy byli zbawieni (...). Zło nie odnosi ostatecznego zwycięstwa!”.

*Pamięć i tożsamość*, a zwłaszcza pierwsza część książki: *Miara wyznaczona złu*, to swoiste postscriptum dopisane do Jubileuszu Roku 2000, który od początku był pomyślany jako „pamiętka” Chrystusowego odkupienia. I ciąg dalszy rozważań na temat Bożego Miłosierdzia, snuty przez Ojca Świętego podczas ostatniej (2002) wizyty w Polsce.

Jest to zatem, bez wątpienia, lektura teologiczna, choć – dodajmy od razu – owa teologia nie ma charakteru teoretycznego, „książkowego”, ale egzystencjalny: jest „wniknięciem w całą głębię tajemnicy Boga...”.

## Wolność i odpowiedzialność

W młodości Karol Wojtyła napisał dwa ważne dzieła z dziedziny antropologii filozoficznej: *Miłość i odpowiedzialność* oraz *Osobę i czyn*. Książka *Pamięć i tożsamość* – a przynajmniej niektóre jej fragmenty – to wyraźna kontynuacja pracy filozofa rozmyślającego nad kondycją człowieka.

<sup>3</sup> Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że – obok wątków jednoznacznie krytycznych – pojawiają się tu także fragmenty, w których Papież z aprobatą wypowiada się o filozofii współczesnej.



Znajdziemy tu krótki „traktat” o wolności i jej używaniu. Papież – nie po raz pierwszy – ukazuje związek wolności z prawdą oraz perspektywę etyczną, w jakiej powinna być ona postrzegana (wymiar dobra i zła, odpowiedzialność za wybór).

Kiedy czytałem te rozważania, przypominały mi się wypowiedziane kiedy indziej słowa Jana Pawła II, że sama „wolność potrzebuje wyzwolenia”. Wyzwolenia od czego? A może raczej: k u c z e m u? Najnowsza książka Papieża przynosi zwięzłą odpowiedź: „Wolność jest dla miłości”.

Karol Wojtyła – Jan Paweł II to znakomity popularyzator; wiemy o tym co najmniej od czasów *Elementarza etycznego*, książeczki przystępnie prezentującej skomplikowaną problematykę moralną. Tu jest podobnie: Papież zwięźle omawia podstawy etyki Arystotelesa, tłumaczy różnicę pomiędzy dobrem godziwym, użytecznym i przyjemnym, wyjaśnia, co to imperatyw kategoryczny Kanta itp. Zajmuje się także w p r o w a d z e n i e m czytelnika w życie duchowe. Powiem tak: jeszcze nigdy nie czytałem równie jasnej, krótkiej i przekonującej analizy „trzech dróg” prowadzących do świętości (droga oczyszczenia, oświecenia i zjednoczenia).

## Myśląc Ojczyzna...

*Pamięć i tożsamość* jest książką bardzo polską, mocno osadzoną w kulturze, w której wzrastał jej Autor. Pełno tu odwołań do poezji Kochanowskiego i romantyków, do muzyki Chopina, do malarstwa Matejki czy Wyspiańskiego... Mnóstwo odniesień do historii... Tak jakby Papież raz jeszcze usiłował pokazać, kim jest. I dlaczego ma taką, a nie inną wizję rzeczywistości. A jest on – trzeba to wyraźnie powiedzieć – szczególnie ukształtowany przez tradycję Polski jagiellońskiej: „Polskość to wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie. Wydaje się jednak, że ten »jagielloński« wymiar polskości (...) przestał być, niestety, w naszych czasach czymś oczywistym”.

Fundamentem całego tego kursu historii Polski i jej kultury jest – znów! – Ewangelia. Rozważania na temat Ojczyzny (że jest podstawowym dobrem człowieka, ale i jego obowiązkiem) łączą się tu z re-



fleksją o Bogu-Ojcu i „dziedzictwie” – „ojcowiznie” – Jezusa Chrystusa. Warto pamiętać, że Autor *Pamięci i tożsamości* czuje się synem dwóch „ojczyzn”: tej ziemskiej i „ojczyzny niebieskiej”. Nie ma w tym żadnej sprzeczności – jest natomiast uniwersalne przesłanie: jak być patriotą, a jednocześnie obywatelem Europy i świata. Oraz Kościoła.

Papież ogromną wagę przywiązuje do pojęcia narodu. Jest ważnym czytelnikiem Biblii: wierzy w wybraństwo narodu żydowskiego i w jego szczególne posłannictwo. I wierzy w Kościół powszechny: „każdy naród ma takie samo prawo do obecności w nim”. A „historia wszystkich narodów niesie w sobie wezwanie, by przejść w historię zbawienia”. To rodzi pytania: o sens dziejów narodu (każdego! – nie tylko „narodu wybranego”), o jego misję i o eschatologię. O narodowy mesjanizm...

Z tematami tymi Karol Wojtyła zmagą się od dawna. Już w latach 40., w Rzymie, jego flamandzki przyjaciel powiedział mu coś, co do dziś nie daje mu spokoju: „Pan Bóg dopuścił, że doświadczenie tego zła, jakim jest komunizm, spadło na was... Nam na Zachodzie zostało to oszczędzone, być może dlatego, że my byśmy nie wytrzymali podobnej próby, a wy wytrzymacie”. W połowie lat 70. arcybiskup Krakowa napisał poemat *Mysłąc Ojczyzna...* (cytowany zresztą w omawianej książce). Czytamy tam między innymi:

Słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją klęską, gdy zapomina, że został posłany, by czuć, aż przyjdzie jego godzina. Godziny wciąż powracają na wielkiej tarczy historii.

Oto liturgia dziejów. (...) Godziny przechodzą w psalm nieustających nawróceń: Idziemy uczestniczyć w Eucharystii światów.

Piękne są papieskie rozważania na temat kultury – źródła tożsamości człowieka i narodu<sup>4</sup>. On sam mówi zresztą i o pięknie, a to, co mówi, brzmi jak echo *Tryptyku rzymskiego*: „Piękno wszechświata jest jak gdyby odbite w oczach Boga”.

<sup>4</sup> Jan Paweł II nie wyklucza, że został papieżem właśnie po to, by – jako „syn narodu, który przetrwał najstraszliwsze doświadczenia dziejów (...) i pozostał przy życiu, i pozostał sobą” właśnie dzięki kulturze – złożyć świadectwo wobec tych młodych narodów (przede wszystkim afrykańskich), które kształtują dopiero swoją tożsamość.



## Myśląc Europą...

W trakcie lektury tej książki wydawało mi się nieraz, że czytam skróconą – i wyłożoną w bardzo prosty sposób – duchową historię cywilizacji europejskiej. Zaczyna się ona od słów: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” (por. Rdz 1, 28), a niezwykle ważną rolę w jej kształtowaniu odgrywa ewangelizacja. W tym kontekście warto odnotować wspaniałe określenie Ewangelii: „Jest to prorocstwo o człowieku. Poza Ewangelią człowiek pozostaje dramatycznym pytaniem bez odpowiedzi”.

„Europejska” część *Pamięci i tożsamości* to ważny głos w dyskusji na temat kulturowych źródeł Starego Kontynentu. To świadectwo złożone prawdzie dla Jana Pawła II oczywistej... A także polemika z dziedzictwem oświecenia (nie jest to jednak krytyka, która by nie doceniała „doniosłości oświeceniowych postaw w zakresie humanizmu...”<sup>5</sup>), opisywanego tu w kategoriach „kulturowego dramatu”. Polega on na przeciwstawieniu pewnych istotnych dla człowieka wartości (np. wolności, równości i braterstwa) – chrześcijaństwu.

Papież nie jest krzyżowcem, uczestnikiem anty-oświeceniowej krucjaty – piętnuje błąd, ale nie odrzuca człowieka, ludzkości, świata... Jego książka jest apelem do chrześcijan, aby

pochylali się, jak miłosierny Samarytanin, nad człowiekiem zranionym, usiłując leczyć jego rany na początku XXI stulecia. Zachęta do niesienia pomocy człowiekowi jest nieporównanie ważniejsza od polemik i oskarżeń dotyczących na przykład oświeceniowego podłoża wielkich katastrof dziejowych XX wieku. Bowiem duch Ewangelii wyraża się przede wszystkim w postawie gotowości do niesienia bliźniemu braterskiej pomocy.

Można dziś pytać o przyszłość chrześcijańskiej Europy. Czyni to również Papież – i nie rozdziera przy tym szat. Owszem, widzi ogrom pracy („Europę na przełomie tysiącleci można by określić jako kontynent spustoszeń”) i zobowiązanie wszystkich chrześcijan do ewangelizacji. Wcale przy tym nie wyklucza, że

---

<sup>5</sup> Papież zauważa też oświeceniową inspirację wielu procesów, które „prowadziły do głębszego odkrycia [również przez Kościół] prawd zawartych w Ewangelii” (idea praw człowieka, praw narodu, sprawiedliwości społecznej itp.).



być może w jakiejś przyszłości, bliższej lub dalszej, Kościół w krajach europejskich będzie potrzebował pomocy Kościołów z innych kontynentów. Jeśli do tego dojdzie, nową sytuację będzie można uznać za pewne wyrównanie „długów”, jakie inne kontynenty zaciągnęły wobec Europy w procesie głoszenia Ewangelii.

## Myśląc demokracja...

Jan Paweł mocno akcentuje swoje przywiązanie do dziedzictwa *Vaticanium II*. Także wtedy, kiedy pisze o polityce (bo i taki wymiar ma omawiana tu książka) – i o soborowej wizji rozdziału Kościoła od państwa. W tej warstwie najważniejsze wydaje mi się poparcie dla demokracji – z jednoczesnym wskazaniem jej słabych stron i niebezpieczeństw pojawiających się wtedy, gdy zapomina ona o fundamencie wartości, a prawo stanowione pozostaje w sprzeczności z prawem natury. Tutaj do głosu dochodzi surowy obrońca praw człowieka, zwłaszcza prawa do życia, mający nadzieję na Sprawiedliwość – jeśli nie tutaj, na ziemi (jak w Norymberdze), to TAM, przed „trybunałem Boskiego Prawodawcy”.

Dlaczego Papież zdecydował się na publikację tej książki? Dlaczego nadał jej taki właśnie tytuł: *Pamięć i tożsamość*?

W roku 1994 roku odbywało się w Castel Gandolfo seminarium naukowe na temat „tożsamości w czasach zmiany”, zorganizowane przez wiedeński Instytut Nauk o Człowieku. Uczestniczył w nim m.in. Paul Ricoeur, który „mówił o znaczeniu pamięci i zapominania jako dwóch przeciwstawnych sił działających w historii”. „Pamięć – wspomina dziś tamten wykład Jan Paweł II – jest tą siłą, która tworzy tożsamość istnień ludzkich (...). Przez pamięć w psychice osoby tworzy się poniekąd i krystalizuje poczucie tożsamości”.

Pamięć tworzy i krystalizuje tożsamość: Polaka, Europejczyka, człowieka (w jego „najgłębszym zakorzenieniu, a zarazem w ostatecznej perspektywie swego człowieczeństwa”)... A także członka Kościoła, chrześcijanina, ucznia Jezusa. Pamięć o stworzeniu i odkupieniu. „To czyńcie na moją pamiątkę” (Łk 22, 19) – mówi Chrystus. A „pamiątka” w znaczeniu biblijnym znaczy „uobecnienie”,



obecność. „Kościół jest poniekąd żywą »pamięcią« Chrystusa (...), Jego Ciała i Krwi. Tę »pamięć« realizuje się poprzez Eucharystię”.

Bieżący rok został przez Jana Pawła ogłoszony Rokiem Eucharystii. Może zatem dlatego... W książce *Pamięć i tożsamość* – na dwóch sąsiadujących ze sobą stronach – znajdziemy przenikliwą diagnozę stanu współczesnej Europy (niebezpieczeństwo utraty tożsamości: „Toczy się tutaj jakieś wielkie duchowe zmaganie, od którego zależeć będzie oblicze Europy”) i lekarstwo, przepisane przez Papieża ludziom wierzącym w Chrystusa: „Chrześcijanie, celebrując Eucharystię, to jest przywołując na »pamięć« swego Pana, nieustannie odkrywają swoją tożsamość”.

Ale „pamięć” to lek również dla niechrześcijan i dla niewierzących: „Pozwala ona człowiekowi rozumieć siebie... rodzinę, ród i naród. Pozwala też wnikać w dzieje języka i kultury, w dzieje wszystkiego, co jest prawdziwe, dobre i piękne”.

Pamięć i tożsamość... – kolejna wielka lekcja, jakiej udziela nam Papież.

Książka Jana Pawła II ma swój epilog. Jest nim rozmowa o zamachu z 13 maja 1981 roku. Zdaniem włoskiego dziennikarza Giancarlo Zizoli, takie zakończenie pokazuje, że dla Papieża zamach miał przełomowe znaczenie w dziejach tego pontyfikatu. Chyba rzeczywiście tak jest: 13 maja Ojciec Święty wyraźnie odczuł, że „we wszystkim, co mówi i robi (...), dzieje się coś, co nie jest wyłącznie jego inicjatywą”: „Nie tylko ja jestem czynny w tym, co robię jako następca Piotra”. Jan Paweł czuje się zatem jak „sługa nieużyteczny”. Ta świadomość, mówi, „jest we mnie coraz silniejsza wśród tego wszystkiego, co się wokół mnie dzieje – i myślę, że mi z tym dobrze”.

To mogłyby być ostatnie słowa tej książki. Ale nie są. Słowo na prawdę ostatnie mówi bowiem o cierpieniu, o miłości, która jest „nadzieją na przyszłość świata”, i o radości. Cierpienie i radość? Tak, bo: „w Jego ranach jest nasze uzdrowienie”.

JANUSZ PONIEWIERSKI, ur. 1958, członek redakcji „Znaku”, w latach 1993-1997 kierownik działu religijnego „Tygodnika Powszechnego”, autor książek: *Pontyfikat* (1999; II wyd. 2003) i *Kwiatki Jana Pawła II* (2002).



Halina Bortnowska

\* \* \*

## W Milenkowcach

Wokół Nowego Roku. Raz zielono (mchy, paprocie, oziminy), raz białe od posypania śniegiem, dość intensywne, by tworzyć okiść na gałązkach za oknem, na ramionach, na czubach sosen i świerków.

Już na dobre zaczynamy rozmowy z J., z których ma powstać książka – nie o mnie, nie moja, ale brana ze mnie i wybierana, jak coś, co się uzbierało i jest traktowane jako pokarm czy budulec.

J. przez swoje pytania, a jeszcze bardziej przez słuchanie, dokonuje recepcji. Tekst, który zaczyna powstawać, jest jej, chociaż występują w nim kadencje mojego mówienia, całe zdania zapisane, wchłonięte, odtworzone.

Uderzające spostrzeżenie: już teraz J. stała się osobą, która wie o mnie najwięcej, jakby pomału stawała się bliźniaczką. Czy rzeczywiście? Przecież nie przestaje być niemal o pięćdziesiąt lat młodsza. Wydarzenia z mojego wieku spadają na nią jako lawina konturowych obrysów, słownych szkiców, otwierających się i zwiniętych wachlarzy.

Dziwne przeżycie. Po obu stronach – nowa postać bólu współczucia i pogodna wdzięczność za współpracę.





## Sen, wspomnienia i plan

**S e n:** Szpital jakby frontowy. Ciemnawe barakowate pomieszczenie. Legowiska na podłodze, jakieś szmaty, strzępy kocy. Jem zupę, którą sama ugotowałam, więc jest lepsza: zwykle to szczaw ugotowany w osolonej wodzie, całe duże liście i krzaczki o czerwonawych łodyżkach. A ja przebrałam i posiekałam tę zieleninę, łatwiej to jeść. Posilna jest głównie sól.

**W s p o m n i e n i e:** na krótko przed śmiercią Babcia z Dąbek (matka mego Ojca) opowiada o tym, z czego jest w swoim życiu – ma 96 lat – najbardziej dumna i zadowolona. Jak to było, kiedy z tyfusowego szpitala podczas pierwszej wojny uciekli lekarze i pielęgniarki. Została ona, młoda salowa. Nic nie było, więc tylko poila chorych osoloną wodą, chodziła od legowiska do legowiska i łyżką podawała do ust. Kiedy pojawili się wreszcie nowi lekarze i pielęgniarki, to chwalili tę salową, że tylu pacjentom życie uratowała.

Wyobrażam ją sobie: mała figurka, długi brunatny fartuch, bystre ciemne oczy, czarne loki splecione w ciasny warkoczyk. Dla siebie też nic do jedzenia nie ma. Moja babcia. Zawsze miała w szafie sól w białym płóciennym woreczku.

Na plebanii w Gołdapi czekam na księdza, który pomoże mi dostarczyć paczki dla internowanych w Ośrodku. Gospodyni mi opowiada: Jak nas na tę Syberię przywieźli, to mieliśmy jeszcze chleb i słoninę z domu i częstowaliśmy ludzi z tamtej wsi. Oni brali po okruchu i płakali. I powiedzieli: nie martwcie się, my się wszystkim z wami podzielimy. Pokażemy wam polanę, gdzie najlepsza trawa do jedzenia i zupę z niej się ugotuje.

**P l a n:** Dziś ugotuję dobrą zupę. Zaraz po obudzeniu (z tego snu o szczawiu) układam sobie w myśli, co włożę do garnka. Węzione żeberko, cebula pokrojona w piórka, łodyga naciowego selera, potem wcześniej już ugotowana fasola, czosnek, przecier pomidorowy, zioła z Milenkowiec... sól morska.



## 27 stycznia – 2005

Miałam kiedyś w rękach obozową ziemię. Razem z ludźmi z Akcji Znaków Pokuty przesiewaliśmy ją, by może znaleźć w gruzach krematorium jakieś ocalałe pamiątki.

To był ważny dzień, wtedy nie wiedziałam, jak ważny, co we mnie wtedy zapadło. W młodości po prostu się żyje, dzień po dniu, z prawie pustą pamięcią, która powoli się zapełnia. Powstaje w niej wewnętrzny świat, który jeszcze później zaczniemy porządkować i po trochu rozumieć.

Już dawno wiem, że prochy zabitych są wszystkie zmieszane z sobą, połączone płomieniami, które strawiły szczątki. Teraz w spalarni tego, co wtedy traktowano jako odpadki historii, widzimy stos całopalny. Takie stosy z ciałami zwierząt były święte – oto mój midrasz: święte, bo przypominały i oznaczały Boży zakaz stosów ludzkich. Izaak nie zginął, choć ojciec przeżył zupełną ofiarę z syna.

Ziemia nie gromadzi prochów: rozprasza je, miesza ze sobą, oddaje nowemu życiu, pokornemu życiu łąnów trawy, pastwisk i lasów. To, co materialne, mamy tylko pożyczone, wzięte i do zwrotu. Ale gdzieś, chyba właśnie tam, gdzie ów należny zwrot nastąpił – jeśli wiemy gdzie! – tam jest święte miejsce wspominania. Nieprzypadkowe i nie czysto umowne.

Podoba mi się żydowski zwyczaj wyłączenia tych miejsc na zawsze. My, ci z pogan, nie umiemy tego robić. Na prastarym zielonym cmentarzyku pod murem opactwa na wyspie Iona myślałam: kiedyś my też umieliśmy czcić, pamiętać i dawać spoczynek. Teraz przeważnie czuję: nie umiemy. Nawet sami Żydzi – jakby zarazili się od nas. Szczególnie to czuję, gdy wraca myśl o obozach Auschwitz i Birkenau, gdy tam coś się znów dzieje. W zasadzie odbywa się to, co powinno: upamiętnianie. A także przywracanie prawdy. To niezbędne. Wspominając, trzeba mówić o wszystkich, co się tam znaleźli i znaleźli śmierć. O konglomeratach przyczyn, o kształtach utraczonych losów, różnych przed utratą, różnych w samej utracie, w tym, jak następowała i stała się ostateczna.

To więc dobrze. Ale zarazem „obchody” oznaczają też zakłócanie spokoju prochów i szczerą żalobę żyjących. Zawstydzające są



spory i uparte odbieganie od jedyne go celu, w jakim wypada przybyć na cmentarz.

Trzeba pisać i mówić o tym, kto i jak stworzył i przekształcał obozy, jakie było ich miejsce w europejskiej sieci zagłady i jej dokonywaniu się w Polsce okupowanej przez władze niemieckiego państwa w rękach Hitlera. W Europie, w Polsce gwałconej w ten sposób i na wiele innych jeszcze sposobów. Trzeba myśleć, pamiętać i wstydić się i za to, że do Birkenau trafiali między innymi Żydzi, których wydali polscy szmalcownicy – to nasz wstyd i ból na zawsze. A oprócz Żydów także nie-Żydzi schwytni dzięki donosom ze strachu i dla zysku. Jeśli nam, Polakom, tak trudno uznać i wyznaczyć tę prawdę – albo prawdę o sprawcach zbrodni w Jedwabnem – to co się dziwić Niemcom, że jedni stworzyli Znaki Pokuty, a inni wracają do prób chociaż zatarcia, chociaż przymglenia prawdy o swojej winie. Musimy upominać się o to, by obozów tworzonych przez niemiecką władzę okupacyjną nie nazywać „polskimi”. Ale nie mogą tego robić ludzie, którzy dotąd nie potrafią uznać naszych win wobec Żydów. Ostatecznie, takie miejsca jak Auschwitz należy widzieć jako hańbę ludzkości, gdzie trzeba z pokorą, wstydem, żalem myśleć o człowieczeństwie swoim własnym, lękać się, co znów może się stać i już po Auschwitzu działo się i dzieje teraz w różnych wymiarach i skali. Są przecież ciągle tacy, co nie wstydną się swojej pogardy dla tych czy innych obcych, a p r z e c i e ż l u d z i.

## **Łaska szarej myszy**

Eva Kor jest dziś drobną energiczną starszą panią. Przez amerykański sztafaż przebijają swojskość. Typowe Amerykanki nie mają takich wymownych zmarszczek – od łez, od gorzkiego skrzywienia ust, od uśmiechania się z nieukrywanym wysiłkiem, od uważnego patrzenia prosto w to, czego lepiej byłoby nie widzieć. Nie zawsze była Amerykanką.

„Karta” zaprosiła mnie na film o Evie Kor i dyskusję, w której będzie uczestniczyć. Film: *Przebaczyć doktorowi Mengele*.



Jest dzień po obchodach w Auschwitz-Birkenau. W telewizorze niewyraźny dla mnie obraz: ciemne postacie dostojników, tam, na Rampie, wirujące nad nimi płatki śniegu, płomyki świec, werble. Obcowanie z grozą miejsca i przeżyć z nim związanych.

Film też zaczyna się od tej rampy w Birkenau. Tu oderwano od matki dziesięcioletnie bliźniaczki – Evę i Miriam. Czeka je inna śmierć: z rąk Mengelego, miłośnika okrutnych, śmiercionośnych eksperymentów na dzieciach. A jednak te dziewczynki przeżyły. Nie zrozumiałam, jakim cudem. Może trafiły do jakiejś grupy kontrolnej, niepoddawanej działaniu trucizny? A może tylko jedna z nich – właśnie Eva, bo Miriam zmarła w Izraelu przedwcześnie, choć już jako dorosła kobieta, mimo udanego przeszczepu nerki od swej bliźniaczki. Usiłujący ratować Miriam lekarze chcieli wiedzieć, na czym polegął „eksperyment” doktora Mengele, co wstrzykiwano dzieciom. Eva starała się zdobyć tę informację – bez powodzenia, choć dotarła do innego lekarza, jednego z oświęcimskich asystentów Mengelego. To mnie zdumiewa: jak to możliwe, że nikt w Niemczech nie zatroszczył się o los dzieci, które jednak przeżyły? Nikt nie podjął wysiłku, by zgromadzić w porę dane, które może pozwoliłyby je leczyć? I naprawdę również w Polsce nikt o tym nie pomyślał? Do dziś? Może to jednak wiadomo, tylko Evie nie udało się dotrzeć we właściwe miejsce? Mało prawdopodobne, bo miała i ma energię przebijającą mury. A może Eva jednak zdobyła te informacje, tylko że dla Miriam za późno, więc wzgardziła tą ponurą wiedzą i już o tym nie chce mówić.

Prześladują mnie oczy dzieci ocalałych z tych tortur na autentycznym zdjęciu wtopionym w film. Jest tuż po wyzwoleniu obozu. Eva rozpoznała na tej fotografii Miriam – o sobie nie wiedziała, jak wyglądała. Wtedy nie było tam luster. Ja widzę uparte nieugięte spojrzenie, to samo co dziś. „*I was a defiant child*” – mówi Eva, dziś stara kobieta wciąż krnąbrna wobec losu. „Złościłam się, że te inne dzieci zgadzały się umierać”. Wierzę, że tak czuła naprawdę. Ta złość Ewy była nieprawdopodobnym cudem, który musi dotąd pamiętać.

W doktrynie, że wiara uzdrowia, kryje się niebezpieczeństwo: nieuzdrowieni mogą zważyć w wartość swojej wiary. Mogą czuć się



winni, że jakoby za słabo wierzyli. Podobnie nie wolno nikogo oskarżać o zbyt słabą wolę życia. Ona jest tajemniczym darem, który trzeba podtrzymywać, ile się da. Ale nie powinniśmy dopuszczać się gniewnego żalu do tych, co stąd odchodzą bez protestu, zwłaszcza jeśli to odejście z Auschwitz czy od podobnego udręczenia. Wola życia jest wtedy cudem. Radosnym cudem na tle najgłębszej ciemności. Trzeba się cieszyć, że istnieje i jest skuteczna. I strzec się przed choćby cieniem poczucia wyższości nad tymi, którym woli życia zabrakło, którym ją odebrano.

Po latach Eva spotkała w Izraelu innego oświęcimskiego ocalańca, wyszła za niego za mąż i tak została Amerykanką. Musiała dalej walczyć o szansę pracy, budować jaki taki dobrobyt. Tam już będąc, podjęła bez powodzenia walkę o dalsze życie Miriam. Nie mówi o tym, ale myślę, że przez cały czas zmagala się ze swoją wewnętrzną raną. Eva nie chce zapomnieć, bardzo konkretnie uczestniczy w pracy nad tym, by nie zapomniał świat i kraj, gdzie żyje, by młodzi wiedzieli o Zagładzie. Tworzy małe muzeum służące uczeniu o Holokauście. Czuje, że dla tych ludzi wokół siebie potrzebuje świadectwa, przekonującego dla nich certyfikatu, że krematoria istniały i działały rzeczywiście. O taki dokument prosi niemieckiego lekarza, który pracował w Auschwitz. I ten się zgadza. Nie został uznany za zbrodniarza, ale wspomnienia mu ciążyą. Godzi się być świadkiem. Eva jest mu wdzięczna. Chce to okazać. Stąd myśl: posłać mu list z wyznaniem, że ona, Eva, osobiście, od siebie, wyłącznie we własnym imieniu udziela mu przebaczenia.

To musiała być dla niej wielka chwila, skoro przyniosła natchnienie: a gdyby tak wybaczyć też samemu doktorowi Mengele? Nie czekając na nic, dokonać tego w sobie. Już nie pamiętam, czy w filmie czy teraz, tu w Warszawie, Eva wypowiada ważne słowa, które wydają mi się jakimś kluczem do tajemnicy tej zadziwiającej osoby: „Ja, mała, szara myszka, mam w sobie siłę, mam władzę, żeby przebaczyć samemu doktorowi Mengele”.

Nie mogę sobie wyobrazić, czym było przeżycie posiadania takiej władzy. Chyba nadaje się tu słowo „wyzwolenie”. To zmienia, odradza życie, nadaje godność – jakby królewską. Eva Kor stanie się



odtąd głosicielką, promotorką tego, co odkryła: uzdrawiającej siły przebaczenia. Tego aktu, który nazywa „przebaczenie”.

Co to jest za siła? Obcując z Evą Kor, znajdujemy się w strefie, w której słowa zdają się mieć sens jedynie analogiczny (jak w mówieniu o Bogu). Tak jest, chociaż sama Eva deklaruje, że nie jest „osobą religijną”.

Moje pojmowanie rzeczy jest ukształtowane przez chrześcijaństwo. Dlatego z niego biorę słowo na określenie tej siły: Łaska. Oto umęczona ofiara, szara myszka, dziecko, którego człowieczeństwem wtedy wzgardzono – teraz suwerennie okazuje łaskę swemu katu. Katom, nazistom. Ma tę władzę. Może to uczynić. Jest wolna.

Nie dziwię się, że ona życzy tej władzy wszystkim ofiarom.

Nie dziwię się też, że nie oczekuje spełnienia jakichkolwiek warunków. Na przebaczenie, na łaskę tej kobiety nie można, a więc i nie trzeba zasłużyć. Krnąbrne dziecko nie poddaje się porządkowi świata. Dawca łaski musi być suwerenny. Taki jest Bóg. I ma w tym swoją radość. Muszę tu bronić zapoznanego pojęcia „łaski”. To nieprawda, że łaskę okazuje ten, kto się jakoś wreszcie daje ubłagać. Ani że łaskawość to jakby tolerancja, gotowość znoszenia tego, za co się łaskawie nie odtrąca. Ubłagalność i tolerancja to niepozbawione wartości, ale blade, może też zniekształcone odbicia tego, czym jest łaska: promieniowaniem samej Istoty Dobra, zwycięskiej, niewysłowionej. Ktoś może – wcale tego nieświadomy – nieść w sobie odblask czy okruch Łaskawości Niepojętego.

Myślę, że Eva Kor ma po swoim rację. Tylko że to racja, do której nie można nikogo przekonać. Ta racja sama musi olśnić.

\*

Film o Evie Kor nie jest ukończony. Wydarzenia toczą się dalej. Ktoś podpalił małe muzeum Holokaustu stworzone przez Evę.

Ludzie, do których mówi o swoim przebaczeniu, mają niespokojne twarze. Jedni płaczą, inni zaciskają gniewnie usta. Na twarzach nastolatków widać ich wrażliwość, czułość dla Evy okazującej im tyle uwagi, szacunku, zainteresowania. Ale czy rozumieją? Kto może zrozumieć?



Eva odbudowuje swoje muzeum. Myślę, że zrobiłaby to nawet zostawiona samej sobie. Niemniej są pomocnicy, przyłożą się do tego w amerykańskim stylu chętniej pomocy. Ale czy rozumieją Evę? Może nie muszą. Może wystarczy coś w niej odczuć? Coś poza siłą jej osobowości, może właśnie siłą jej odkrycia? Eva chce leczyć dusze: dzielić się tym, co ją samą uniosło i jakby namaściło. Czy dobrze zrozumiałam „projekt przebaczenie”, a także zachowanie Evy podczas dyskusji, troskę o obciążonych traumą? Jeśli tak, to misja Evy Kor może być błogosławieństwem dla wielu. Wszystko zależy od tego, co naprawdę stanie się w ludziach. Czy to będzie to, czego doznała Eva. W czyjej to mocy?

Myślę, że „przebaczenie” (albo łaska) leży na ściśle wewnętrznej i do głębi osobistej płaszczyźnie. Na płaszczyźnie społecznej bliżej rzeczywistości jest talmudyczna mądrość: daj się ubłagać! Niech proszą o przebaczenie trzy razy, niech proszą pokornie przy grobie ofiary i wtedy wybacz. To znaczy zgódź się żyć obok nich, przy nich, z ich potomkami bez nienawiści. Niezgoda na tę ostatnią szansę życia dla wszystkich byłaby już twoim grzechem. Możesz czekać do trzeciego razu. Jesteś tylko człowiekiem.



Piotr Kłodkowski

## Państwo

Przekonania Singapurczyków potwierdzają badania, z których wynika, że ich kraj należy do najmniej skorumpowanych na świecie. I do najlepiej zarządzanych. Bo wszystko można bardzo dokładnie zaplanować.

Singapur wydaje się niezbyt zrozumiały dla zamorskich przybyszów z zamożnej Europy czy Ameryki. I to mimo tego, że wszystko tutaj wygląda na pierwszy rzut oka dość znajomo: perfekcyjna infrastruktura, znakomita sieć komunikacji, nowoczesna architektura na Orchard Road, usługi finansowe na najwyższym poziomie, powszechna znajomość angielskiego, uprzejmość miejscowych, którzy nie żałują uśmiechu obcym turystom i biznesmenom. Są też znakomite dyskoteki i kluby nocne. I młodzież, która naprawdę lubi się zabawić. Ale gdzieś pod tą powierzchnią znajduje się inny świat. Najpierw pierwszy obraz: zamożni, niezwykle modnie ubrani singapurscy *yuppies* często stołujący się na przenośnych straganach, gdzie serwuje się proste i bardzo tanie potrawy. Ich smak zapewne przywołuje na myśl dania, które gotowali ich ubodzy przodkowie, przybyli lata temu z Chin, Malezji czy Indii. Obraz drugi: elegancka i piękna dziewczyna spacerująca niemal codziennie ze swoją przygarbioną babcią i





z ogromną rewerencją odpowiadająca na jej pytania. Obraz trzeci: wręcz niewiarygodna czystość na ulicach, skwerach i parkach. I dane w gazetach oraz informatorach mówiące, że Singapur ma jeden z najniższych wskaźników przestępczości na świecie. Zaraz za tym pojawia się dość niezwykła konstatacja: Singapur, jedno z najbogatszych państw z dochodem na głowę porównywalnym ze Szwajcarią, nie stosuje zasad demokracji parlamentarnej. I wniosek: niekoniecznie trzeba ją od razu wprowadzać, aby zapewnić bardzo przejrzyste reguły gry oraz powszechny dobrobyt. Dobrobyt płynący nie z danych przez naturę zasobów naturalnych, lecz z pracy i pomysłowości samych mieszkańców.

Singapur był od zawsze, jak powiadają, czymś absolutnie wyjątkowym w Azji. Przede wszystkim wierzy się tutaj politykom. Ze są uczciwi, nieskorumpowani, i że naprawdę stawiają dobro wspólne nad osobiste interesy. We wszelakich badaniach Singapurczycy nie podzielają zwątpienia nie tylko innych mieszkańców Azji, ale też wielu państw europejskich, którzy z pogardliwym uśmiechem patrzą na scenę polityczną u siebie w kraju, nie wierząc już w zapewnienia i obietnice przyszłych czy obecnych parlamentarzystów, ministrów i premierów. Przekonania Singapurczyków potwierdzają inne badania, że ich kraj należy do najmniej skorumpowanych na świecie. I do najlepiej zarządzanych.

Bo wszystko można bardzo dokładnie zaplanować. Polityk, administrator, ale też menedżer wyższego i niższego szczebla w potężnych przedsiębiorstwach nie może być przypadkową osobą. Nie chodzi tu tylko o to, że mógłby kusić niemożliwymi do spełnienia obietnicami, że kierowałby się przede wszystkim lojalnością względem swojej grupy etnicznej, narodowej i religijnej (chińskiej, malajskiej, indyjskiej bądź muzułmańskiej, hinduistycznej czy buddyjskiej), nie mając na względzie całej społeczności państwa, albo też zechciałby wykorzystać poparcie wyłącznie dla realizacji marzeń własnego klanu, rodziny i przyjaciół. To wszystko należy naturalnie brać pod uwagę, ale przede wszystkim trzeba odnaleźć człowieka, który spełnia najbardziej zasadnicze wymagania. To znaczy posiada odpowiednie wykształcenie, a przede wszystkim odpowiednio wysoki iloraz inteligencji, dający się przecież łatwo zmierzyć. No bo co z tego, że



kandydata na wysokie stanowisko wszyscy znają jako uczciwego i prawnego, skoro brak wysokiego ilorazu inteligencji utrudniałby mu realizację coraz bardziej skomplikowanych zadań? Czy sama uczciwość i formalne wykształcenie wystarczą w państwie, które zaliczane jest do najbardziej zaawansowanych technologicznie na świecie? W państwie, gdzie wszystko wydaje się skomputeryzowane i zautomatyzowane, nie wyłączając publicznych toalet? W państwie, które jest w ścisłej czołówce procesu globalizacji?

Odpowiedź dla mieszkańców Singapuru wydaje się oczywista. Podobnie jak i dla władz państwowych, niezwykle troszczących się o własnych obywateli. Już w latach 80. skonstruowano pewien plan, nazwany przez krytyków „socjobiologicznym”. Władze państwowe przeprowadziły mianowicie badania, z których wynikało, że matki kończące edukację na wyższym poziomie mają potomstwo znacznie lepiej radzące sobie w szkole, a potem w życiu zawodowym niż dzieci matek niemogących poszczycić się analogicznym wykształceniem. Mając zatem na uwadze dobro państwa, przygotowano specjalne kampanie informacyjne oraz akty prawne, które zachęcałyby rodziny najbardziej wykształconych obywateli do posiadania większej liczby dzieci, zaś tych, którzy nie mogli pochwalić się sukcesami edukacyjnymi, napominano, aby powstrzymywali się w swoich zapędach prokreacyjnych. Chociaż nie wyrażano tego zupełnie wprost, chodziło po prostu o polepszenie puli genetycznej społeczeństwa, którego średni iloraz inteligencji rósłby wówczas znacznie szybciej aniżeli w innych krajach. Ów socjobiologiczny plan spotkał się jednak początkowo z niejakim oporem i formalnie rząd zrezygnował z propagowania tego typu rozwiązań. Ale mimo to i tak wprowadzono go, tyle że nieco mniej bezpośrednio. Wprowadzono go, by tak rzec, tylnymi drzwiami.

No bo skoro w państwie preferowani są obywatele o wysokim ilorazie inteligencji (a to – przypomnijmy – łatwo zmierzyć podczas konkursów na odpowiednie stanowiska), zaś dobrze wykształcone matki mogą liczyć na hojną pomoc ze strony rządu, to nietrudno wyciągnąć wniosek co do szans przyszłej kariery małego chłopczyka czy dziewczynki z singapurskiej rodziny. Po co zatem ryzykować potomstwo i wydawać później niemałe pieniądze na jego edukację,



gdy samemu posiada się niespecjalnie wysoki iloraz inteligencji i kiepskie wykształcenie? Po co skazywać synka lub córeczkę na ciągłe porażki w społeczeństwie, które nieustannie dąży do doskonałości? Jeśli nie ma gwarancji sukcesu, to lepiej dać sobie spokój z rodziną wielodzietną. Poza tym skoro ufa się politykom (jak niemal nigdzie indziej na świecie), którzy szczerze wyrażają swoją troskę o przyszłość narodu, to nie ma sensu protestować. Zresztą jakże może powstać sama myśl o proteście, kiedy w grę wchodzi dobro wspólne, o którym nieustannie się mówi, że ważniejsze jest od jednostkowych ambicji.

Tak było zresztą u samych początków państwa. Od momentu gdy słowo *merdeka*, czyli niepodległość, stało się czymś jak najbardziej realnym. Bez wątplenia zbudowanie nowego społeczeństwa, złożonego z rozmaitych grup etnicznych, nie jest zadaniem łatwym. Odmienne zwyczaje, rozmaite wierzenia, a nawet inne gusta kulinarne mieszkańców niekoniecznie sprzyjają budowaniu wspólnoty, która powinna dzielić niemal bez sprzeciwu idee funkcjonowania nowej ojczyzny. Nieustannie rządząca Ludowa Partia Działania i sam Ojciec Założyciel Singapuru Lee Kuan Yew mieli jednakże pomysł na stworzenie doskonałego państwa i doskonałego społeczeństwa. Pomysł – co tu ukrywać – do dziś rażący wielu Amerykanów, a może bardziej samych Europejczyków, zwłaszcza tych, którzy przez długi czas mieszkali za żelazną kurtyną. Albowiem myśl, że państwo powinno regulować każdy element życia, i to nie tylko społecznego, ale i jak najbardziej prywatnego, dość nieprzyjemnie kojarzy się z systemem bardziej lub mniej dotkliwej dyktatury. Pełnej górnolotnych słów, niespełnionych obietnic i straconego życia.

Tak się jednak składa, że w przypadku Singapuru rzeczy mają się zupełnie inaczej. Państwo, jak chciał Lee Kuan Yew, ma być jak troskliwy, kochający, ale też sprawiedliwy i surowy ojciec. Ojciec, który napomina, nakłania, wyjaśnia i strofuje. Ojciec, który daje ogromną swobodę działania w biznesie i w badaniach nad najnowocześniejszymi technologiami, lecz niezwykle surowo karze za drobne na pozór przewinienia. Ojciec, który jest całkowicie nieprzekupny i nie toleruje drobnych nawet podarków, mogących mieć stygmat przekupstwa, nazywanego w różnych kręgach kulturowych wdzięcznością.

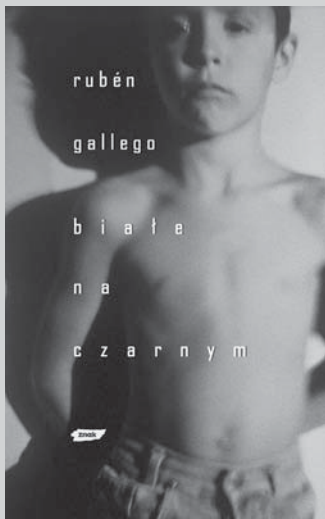


Od wielu lat państwo organizuje więc z ogromnym rozmachem wszelakiego rodzaju kampanie informacyjne i wychowawcze. O tym, że absolutnie nie wolno publicznie pluć ani żuć gumy. Albo że długie włosy nie przystoją mężczyźnie, albo że konieczne należy spłukiwać wodę w toalecie. Albo że w tym miesiącu szczególną uwagę zwracamy na dobre maniery, po to aby goście z zewnątrz wyrobili sobie jak najlepsze zdanie o państwie i jego mieszkańcach. I wreszcie najważniejsze: że wszyscy jesteśmy Singapurczykami, niezależnie od tego, czy nasi przodkowie pochodzą z Chin, Malezji, Indonezji czy Indii. I że wobec tego należy używać poprawnej wersji języka mandaryńskiego, a nie rozmaitych dialektów, które dzielą, a nie jednoczą.

Rzecz jasna, samo dobre słowo nie zawsze wystarcza. To niestety pożałowania godne, ale są i tacy, którzy niekoniecznie akceptują dyscyplinę społeczną i występują przeciw dobrym obyczajom. Kary muszą być zatem surowe. Za śmiecenie na ulicy mandat w wysokości 350 dolarów amerykańskich. Podobnie za palenie papierosów w miejscach niedozwolonych i za niesplukanie publicznej toalety. Dla notorycznych przestępców, którzy śmiecą, palą i nie spłukują, przewidziano specjalne treningi resocjalizacyjne, dzięki którym mają szansę zrozumieć, jak bardzo zblądzili. Niestety, resocjalizacji nie przewidziano dla narkomanów. Informację na ten temat zamieszczono z myślą o nieświadomych niczego zamorskich turystach lądujących na supernowoczesnym lotnisku Changi. Po to, aby do głowy nie przychodziła im myśl, że Singapur to taki bardziej nowoczesny Amsterdam. Informacja jest bardzo zwięzła i niezwykle treściwa: *Death for drugs in Singapore* – śmierć za narkotyki w Singapurze. Bez żadnych wyjątków. Nie pomagają więc interwencje obcych ambasad czy zaprzyjaźnionych zagranicznych polityków, próbujących ratować życie swoich obywateli, którzy ciągle są przekonani, że nowoczesny świat musi przyjąć zasady powstałe w Europie czy Ameryce.

Często zastanawiałem się, czy to właśnie nie Singapur stanie się pewnym wzorem dla innych państw, zwłaszcza tych bogatszych. To znaczy państwem, w którym kontrola nad obywatelem idzie w parze z ogromną skutecznością w zarządzaniu gospodarką i pragmatycznym planowaniem przyszłości. I gdzie podtrzymywana przez władzę tradycja w połączeniu z surowym prawem gwarantuje stabil-

znak



Rubén Gallego

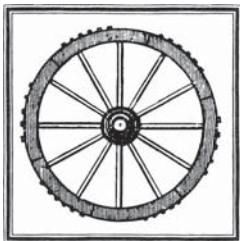
**Białe na czarnym**

tłum. K. M. Janowska

Ta historia jest zupełnie nieprawdopodobna. Tymczasem zdarzyła się naprawdę. Autor, syn Wenezuelczyka i Hiszpanki, wychowywał się jako sierota w sowieckich domach dziecka. Traumatyczne doświadczenia przekuł w wysokiej próby literaturę.

ność społeczną, zaś myśl o skonstruowaniu lepszemu intelektualnie narodu nadal ma wielu zwolenników. I gdzie jest bardzo czysto, bezpiecznie, nowoczesnie i niezwykle punktualnie. Przez długi czas myślałem, że to jednak niemożliwe. Bo to inna kultura, inny obyczaj, inne doświadczenie historyczne. Dzisiaj wszystko jednak wydaje mi się możliwe. Dużo bardziej aniżeli, powiedzmy, dziesięć czy piętnaście lat temu. Tylko nie wiem, czy naprawdę chciałbym żyć w takim państwie. A może to tylko kwestia przyzwyczajenia? I wiary, że wszystko da się odpowiednio zaplanować, zorganizować i przekształcić?

PIOTR KŁODKOWSKI, ur. 1964, dr orientalistyki. Wydał m.in.: *Wojna światów? O iluzji wartości uniwersalnych* (2002). Adiunkt w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, wykładowca Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie.



Władysław Stróżewski,

*Ontologia*,

Aureus-Znak, wyd. I,

Kraków 2004, ss. 317

Jacek Wojtysiak

## Metafizyka w cieniu tradycji

Krakowskie wydawnictwa „Aureus” i „Znak” rozpoczęły wspólne wydawanie akademickich kompendiów obejmujących podstawowe dyscypliny filozofii. Znakomity to pomysł, tym bardziej że dostępne podręczniki filozofii są w większości przestarzałe lub jednostronne. Nową serię wydawniczą inauguruje *Ontologia* Władysława Stróżewskiego. Na dobry początek mamy więc filozofię pierwszą autorstwa jednego z „pierwszych” polskich filozofów.

Czym charakteryzuje się książka Stróżewskiego? Jej głównym (a niestety rzadko zwykle spotykanym) walorem jest to, że prezentuje problematykę ontologiczną z perspektywy więcej niż jednej szkoły filozoficznej. Autor nie ukrywa, że został ukształtowany przede wszystkim przez KUL-owski tomizm, jednak w jego wykładzie „klasycznej filozofii bytu” jest on równoważony ujęciami fenomenologicznymi i pokrewnymi fenomenologii (np. Bergsona i egzystencjalistów). Można powiedzieć nawet więcej: Autor nie ogranicza się do żadnej z zastanych szkół, lecz



czierpie z całej różnorodności tradycji filozoficznej – od presokratyków do Levinasa. Rozważania Stróżewskiego, choć ułożone według klucza problemowego, są głęboko osadzone w całej historii filozofii. Autor niejednokrotnie przywołuje dorobek myślicieli różnych epok, ich refleksje stanowią naturalną osnowę jego własnych dociekań, które je harmonizują i syntetyzują. Na dodatek dokonuje tego w języku wolnym od filozoficznego żargonu, w języku „przyjaznym” czytelnikowi. Zza kart *Ontologii* czytelnik ten dostrzega wrażliwego na ludzkie doświadczenie erudyty, który tłumaczy ze spokojem zawiłości metafizycznych abstrakcji, odwołując się do naszych najbardziej „zwykajnych” przeżyć. Oto przykład: „Doświadczenie istnienia jest jak oddech: nie zastanawiamy się nad nim, póki »normalnie« oddychamy (...). Jeśli przeniknie nas na chwilę trwoga nieistnienia, zaczynamy nie tyle może rozumieć, ile odczuwać, co znaczy »być«” (s. 119). W innym miejscu Stróżewski przejmująco pisze o żalu po utracie czegoś wartościowego. „Żal, jaki w nas się rodzi, jest przede wszystkim żalem za istnieniem (...). Krzyk rozpaczny znajduje swój adekwatny wyraz w prostym »nie ma«, co oznacza po prostu doświadczenie nicości...” (s. 116).

Całość składa się z dziesięciu rozdziałów. Pierwszy ma charakter wprowadzający i metafizyczny, wyjaśnia pokrewne pojęcia ontologii, metafizyki i filozofii pierwszej oraz zarysowuje różne ujęcia tych dyscyplin. W świetle tego rozdziału dziwić może (skądinąd słuszny etymologicznie) wybór tytułu książki – Stróżewskiemu bliższa jest przecież tradycja filozoficzna związana z terminem „metafizyka” niż „ontologia”. Świadczy o tym nie tylko częstsze używanie w książce tego pierwszego terminu, ale i sam dobór problematyki. Przeważają w niej „klasyczne” zagadnienia bytu, istnienia, istoty, transcendentaliów, podziału (systematyzacji) rzeczywistości, jej „podstaw” (rozumianych przez Stróżewskiego bardzo szeroko) i racji (absolutu). Szkoda, że prezentujące je rozdziały nie są jednolicie rozczłonkowane, ostatni z nich (zresztą bardzo osobisty) jest nawet napisany „jednym tchem”, bez dalszych podziałów. W rozdziale o systematyzacji rzeczywistości Autor zapowiada „pokuszenie się” (po przedstawieniu stanowisk „historycznych”) o własną systematyzację (s. 231), której jednak nie podaje, chyba że uznać, iż została ona wyrażona w przedstawionej na końcu koncepcji... Karla R. Poppera (s. 251). Powyższe mankamenty równoważy jednak interesujący sposób redakcji książki (dokonana przez Sebastiana T. Kołodziejczyka, Michała Bardela i Jacka Rabusa), a zwłaszcza hasła tematyczne na marginesie (bardzo trafne – poza wyjątkami, na przykład na s. 188), analityczny



spis treści, indeks rzeczowy, aneksy, schematyczne zestawienia i noty biograficzne. Sebastian Kołodziejczyk jest autorem tych czterech ostatnich dodatków. Jak trudnego zadania się podjął, świadczy początek noty o Emmanuelu Levinasie: „francuski filozof litewskiego pochodzenia, uczonego żydowski” (s. 290). Więcej szczęścia miał Ludwig Wittgenstein, który okazał się tylko „filozofem austriacko-brytyjskim” (s. 174). Szkoda, że w niektórych przypadkach zawartość schematycznych zestawień jest niezgodna z treścią książki (na przykład: s. 182 – por. s. 162, s. 165; s. 275 – por. s. 264).

Niewątpliwie najciekawszy (może nawet unikalny w literaturze) jest rozdział V: *Negacja, niebyt, nicość*. Daje on przegląd różnych koncepcji negatywności – od minimalistycznych (sprowadzających ją do operacji językowych lub świadomościowych) do maksymalistycznych (uznających jakąś „realność” lub „autonomię” faktów negatywnych, a nawet nicości). Poglądy Stróżewskiego zdają się ostrożnie ewoluować ku temu drugiemu ujęciu. Czy jednak sympatia Autora dla tego ujęcia nie bierze się z braku rozróżnienia między realnym procesem nicestwienia-ginięcia (lub czynnością unicestwiania-niszczenia) a intencjonalnym odpowiednikiem sądu „X nie istnieje”? Gdyby Stróżewski akceptował to rozróżnienie, nie napisałby: „Fakt negatywny polega na tym, że unicestwia stan, jaki sam zastał” (s. 174). Oczywiście, sprawa wymaga dalszej dyskusji, na którą nie ma tu miejsca. *Ontologia* obfituje w zdania prowokujące do dyskusji. Jest to zresztą jej autentycznym atutem. Na księgarskich półkach częściej bowiem spotykamy podręcznikowe nudziarstwo niż inspirację do żywego filozoficznego sporu.

Na s. 172 wspomnianego rozdziału Stróżewski wyjaśnia, czym jest brak (por. s. 175 n). Brak jest niedobytkiem jakiejś części, która powinna przedmiotowi przysługiwać z natury. Dodajmy jednak, że niełatwo określić, co właśnie powinno przedmiotowi z natury (istoty) przysługiwać. Aby to wiedzieć, trzeba by – zgodnie z poglądami Stróżewskiego (idącego tu za tradycją platońską) – znać odpowiednią ideę (por. s. 155). A jaka jest idea, której podlega jego książka? Wbrew deklaracjom fenomenologów nie mam do niej bezpośredniego dostępu. Mogę się tylko domyślać jej zawartości. W związku z tym również moje wyliczenie braków *Ontologii* będzie tylko subiektywne, dokonane z mojego punktu widzenia. Niewykluczone jednak, że Stróżewski, zgodnie ze swą koncepcją, uzna mój rejestr jakości negatywnych jego książki za obiektywny.

Czego brakuje mi w recenzowanym kompendium ontologii? Po pierwsze, panującej obecnie filozofii analitycznej (z tradycją szkoły lwow-





sko-warszawskiej włącznie). Autor (poza omówionym wyżej rozdziałem) ogranicza się tylko do wzmianek o tym kierunku (i to raczej obejmujących jedynie jego „założycieli”). Owszem, brak ten znacząco uzupełnia w swych niektórych aneksach Kołodziejczyk. Są one jednak tylko encyklopedycznymi „wstawkami”, niewkomponowanymi w całość tekstu. Przykładowo, w bardzo ciekawym i kompetentnym aneksie *Pojęcie istnienia w filozofii analitycznej* (s. 132-134) wychodzi się od Fregowskiej koncepcji „istnienia” jako predykatu drugiego rzędu, a nie od „naturalnej” i tradycyjnej koncepcji „istnienia” jako predykatu pierwszego rzędu. A przecież ujęcie typu Fregowskiego powstało jako reakcja na trudności logiczne ujęcia „klasycznego” (lub jego „egzotycznych” postaci w stylu Alexiusa Meinonga). Poza tym charakter aneksu zmusił jego Autora do skrótów myślowych; na przykład półzdaniowe wspomnienie o teorii tropów bez jej wyjaśnienia jest tylko erudycyjnym ozdobnikiem, z kolei teza o pierwotności pojęcia własności w ontologiach Fregowskich (bez stosownego uzasadnienia) wydaje się fałszywa (pomijam tu dyskusyjną parafrazę zdania „Sokrates istnieje” w języku własności drugiego rzędu).

Drugim generalnym zarzutem, jaki można postawić recenzowanej książce, jest to, że przedstawiane w niej rozmaite teorie zdają się przesłaniać sam przedmiot badań. Na samym początku Autor deklaruje, że przedmiotem jego rozważań będzie „byt jako byt” (s. 17). Nie trzeba wnikliwej lektury, by zauważyć, że faktycznie tym przedmiotem stają się pisma i koncepcje filozoficzne, w których pojawia się pojęcie bytu i pojęcia pokrewne. Ontolog okazuje się więc komentatorem zastanych tekstów. Dobrze, gdy są to teksty jasne. Gorzej zaś, gdy mamy do czynienia z urywkami z prastarych „ciemnych” poematów (jak w przypadku Heraklita i Parmenidesa), paradoksalnymi „sentencjami” (jak w przypadku ulubionego przez Profesora Hegłowskiego *dictum*: „czysty byt i czyste nic są jednym i tym samym”) czy zagmatwanymi lub wręcz dziwacznymi metaforami (jak w przypadku Heideggera). Podziwiać należy mistrzostwo i cierpliwość Autora w sztuce interpretacji. Czyż jednak ontologia nie powinna być nauką przedmiotową, a nie egzegezą lub hermeneutyką? Filozoficzna tradycja, która miała odsłaniać metafizyce szerszą perspektywę, staje się u Stróżewskiego („stróża” bycia objawiającego się w tekstach) niekiedy zasłaniającym cieniem. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy Autor bezkrytycznie podchodzi do przywoływanych tekstów. Przykładowo, na s. 282 cytat ze św. Tomasza rozstrzyga postawione zagadnienie. Niestety, brak komentarza (uzupełnienia przytoczonego rozumowania o dodatkowe przesłanki) naraża go na zarzut



*non sequitur*: tylko z tego, że „wszystkie rzeczy mogą nie istnieć”, nie wynika, że „kiedyś nie było żadnej z tych rzeczy”. Z kolei na dwóch następujących stronach problem zostaje przedstawiony za pomocą cytatów z Heideggera. Niewprawiony czytelnik, który bez komentarza nic z nich nie zrozumie, zdziwi się na końcu zaskakującym stwierdzeniem, że „w ten sposób zarysowana zostaje odpowiedź” (s. 284). Podobnie jest z wywodem na s. 271, opartym na niewyjaśnionej definicji Bergsona: „trwanie jest to ciągły postęp przeszłości, która wgrzyza się w przyszłość i nabrzmiewa, idąc naprzód” (*ignotum per ignotius!*).

Powyższy brak jest ceną, jaką Autor płaci za wychwalaną wyżej zalecenią erudycji i „historyzmu”. Podobnie jest z trzecim brakiem – brakiem ścisłości. Stanowi on często cenę pięknego i popularnego stylu. Oczywiście, jak już dawno zauważył Arystoteles, nie do każdego przedmiotu przykłada się jednakowe miary ścisłości. Jednak w książce Stróżewskiego są liczne oczywiste wieloznaczności, niedopowiedzenia, niedokładności. Oto niektóre przykłady zaczerpnięte z kluczowego rozdziału II, *Problematyka bytu*. Na s. 57 błędnie twierdzi się, że słowo „byt” (w swych odpowiednikach greckich i łacińskich) pochodzi także od czasownika „istnieć”; na s. 61 znajdujemy osobliwy opis tworzenia pojęcia gatunkowego („poprzez zanegowanie imienia własnego „Burek” – „nie-Burek”, a więc zanegowanie indywidualności Burka”); na s. 64 do własności semantycznych wyrażen zalicza się jednoznaczność, wieloznaczność i analogiczność; na s. 72 twierdzi się (niby za Platonem), że dzięki bytowi zostaje przezwyciężone „niebezpieczeństwo statyczności rzeczywistości”; na s. 73 opozycja akt-możność traktowana jest jako tylko jedno z wielu złożen bytowych (zresztą kolejność zapisu sugeruje, jakoby substancja pełniła rolę aktu, a przypadłość – możliwości); na s. 78, pisząc o scholastycznej hierarchii bytów, zapomina się o relacji (*esse ad aliud*), a wybrane kryteria bytowości określa się tak szeroko, że zabrakło w nich może tylko przenikliwości i wszystko-jedności; stronę dalej Stróżewski używa niejasnego wyrażenia „Bóg jest istnieniem”, które swego czasu ustnie krytykował; od s. 79 do końca rozdziału dominują (dyskusyjne pod względem składniowym i semantycznym) zdania typu: „I to radykalne Inne objawia nam czyste bycie” (domyślam się, że stanowią one odpowiedź na – skądinąd wyjaśnione wcześniej – „pytanie o głębę”).

Z kwestią ścisłości wiążą się jeszcze inne usterki. Autor już w pierwszym rozdziale wprowadza terminy (np. transcendentalia), które bliżej objaśnia dopiero później. Nawet obeznany z filozofią czytelnik będzie miał kłopoty w ustaleniu, które terminy *Ontologii* są pierwotne, a które



(i przez które) zdefiniowane. Co najmniej z dydaktycznego punktu widzenia ryzykowne jest też stosowanie przez Profesora Ingardenowskiej terminologii semiotycznej. Jest ona mniej znana i bardziej skomplikowana od powszechnie używanej w kursorycznych wykładach z logiki terminologii standardowej. Metodologiczne wątpliwości budzić mogą powracające w książce „przeglądy stanowisk”. Są one skonstruowane jako typologie, w których typy (raczej nieidealne) dobrano dość przypadkowo (częściowo historycznie, częściowo merytorycznie). Sądzę, że w takiej sytuacji lepiej byłoby niektóre typologie przekształcić w chronologizację, a inne – po prostu w rzetelne klasyfikacje oparte na wyraźnych i jednolitych kryteriach (szkoda więc, że na przykład na s. 276 Autor nie poszedł o krok dalej).

Ostatnie braki to braki w bibliografii. Nie będę się nad nimi rozwodził, gdyż jako ontolog oraz przedstawiciel określonej opcji i środowiska mogę być oskarżony o stronniczość (zresztą na przykład brak filozofii analitycznej już zaznaczałem). Skoncentruję się więc w zamian na kilku „nadmiarach”. Otóż w bibliografii na przykład Jacek J. Jadacki został autorem antologii *Co istnieje*, której jest tylko współredaktorem (nb. pozostałych redaktorów pominięto); z kolei Piotr Gutowski został współredaktorem antologii *Metafizyka w filozofii analitycznej*, z którą nie ma nic wspólnego (nb. jej jedyny redaktor, Tadeusz Szubka, nieraz mówił o metafizyce własnym głosem); nadmiarem jest też wyróżnienie jednego artykułu Antoniego B. Stępnia, który znajduje się w jego (wymienionym jako kolejna pozycja bibliograficzna) zbiorze *Studia i szkice filozoficzne*. Rozumiem, że powyższe nadmiary są formą zrekompensowania: Stępniovi – pominięcia jego podręcznika *Wprowadzenie do metafizyki* (dotąd najściślejszego polskiego wykładu tomistycznej teorii bytu), Jadackiemu – pominięcia jego podręcznika *Spór o granice istnienia* (dotąd jedyne w Polsce oryginalnego wykładu ontologii analitycznej), Gutowskiemu – pominięcia jego prac o metafizyce amerykańskiej. Pozytywnie też przyjmuję nadmiar (w stosunku 5 do 4) pozycji Nicolai Hartmanna wobec pozycji Jana Hartmana. Pierwszy już jest klasykiem, drugi – jeszcze nie<sup>1</sup>.

Ktoś powie, że w niniejszej recenzji skoncentrowałem się zbyt mało na brakach. Uczyniłem to świadomie, gdyż recenzowana książka jest wyjątkową syntezą, dziełem wielkim, które będzie odgrywało ogromną rolę

---

<sup>1</sup> Większość zastrzeżeń recenzenta dotyczących błędów w bibliografii uwzględniono w II wydaniu *Ontologii*, Kraków 2004 (przyp. red.).



w polskiej edukacji filozoficznej. A wielkie dzieła opisuje się i ocenia w perspektywie najwyższych kryteriów. Są nimi (Kantowskie) idee regulatywne, które Stróżewski oryginalnie utożsamia z (Tomaszowymi) transcendentaliami (s. 200). Idee te wyznaczają umysłowi nieosiągalny cel – „największą jedność obok największego zasięgu”. Wobec takiego celu żadne ludzkie dzieło nie może okazać się pozbawione braków. Jednak każde wielkie dzieło (zwłaszcza dzieło ontologiczne) – w twórczym dialogu, którego owocem będą kolejne dzieła – przybliży nas do tego celu. Jak mówi Stróżewski, w interpretacji klasycznej (realistycznej) tym celem jest po prostu „być sam w sobie” (s. 201)...

JACEK WOJTYSIAK, ur. 1967, adiunkt w Katedrze Teorii Poznania KUL, autor kilkudziesięciu artykułów, głównie z zakresu ontologii; ostatnio red. (wraz z A. B. Stępnem) II tomu *Studiów metafizycznych: Kategorie filozoficzne. Istnienie i sąd*. Zajmuje się też dydaktyką i popularyzacją filozofii.

Katarzyna Wiśniewska

**La Trappe –  
pułapka  
Niewidzialnego**

Michał Ziolo,

*Jedynie znane zdjęcie Boga,*

Poznań 2003, ss. 282

Wyglądało to pewnie tak: zaciągnięte chmurami niebo nad Kentucky. Deszcz zraszał obficie i tak już grząskie kukurydziane pola. Wędrówka Thomasa Mertona do pustelni świętej Anny musiała być karkołomna. Ktoś obserwujący z daleka postać mnicha brnącego mozolnie przez rozmiękle uprawy pokręciłby tylko głową. Ale w pobliżu domku pomalowanego na biało i czarno nie było śladu ludzkiej obecności.

Najpierw więc nieszpory. Potem byłaby owsianka. Byłaby, gdyby nie wykipiiała. Mnich zapatrzył się na spadające z nieba krople, lekceważąc dymiący na kuchence garnek. Święto deszczu rozpoczęte. „Pogoda, nie planowana, nie fabrykowana – zanotował wtedy – to impertynencja, to narodził na obliczu postępu”. Przypiekając na ogniu grzanekę,



wsluchiwał się w mowę strug delikatnie kpiącą z wielkomięjskiego gwaru wtłoczonego w ramy *savoir vivre*'u cywilizacji. Deszcz nazywał znakiem Niewypowiadalnego, zapowiedzią obszaru ukrytego pod grubą warstwą słów, okrągłych, często miękich i mnożonych ponad potrzebę. To, co Niewypowiadalne, zaczyna się tam, gdzie kończy się chaos naszych Bardzo Ważnych Spraw. Niewypowiadalne nie mieści się w grafiku starannie rozrysowanych planów, których wypełnienie należy do spraw „bezdyskusyjnych” i „priorytetowych”. Kwestionuje zawrotną gonitwę codzienności, dającą zawsze błogi posmak sensu.

Leżą przede mną trzy książki ojca Michała Zioly<sup>1</sup>. Na okładce tej najnowszej zobaczymy fotografię autorstwa Thomasa Mertona przedstawiającą ogromny, zawieszony gdzieś pod niebem hak. To „jedyne znane zdjęcie Boga”, jak półżartem zatytułował je Merton. Obrazek ów, jak tłumaczy Ziolo, jest jednak raczej groźny niż zabawny. Bo oto hak symbolizuje rzeczywistość Nieba – klarowną i bezwzględną w swoim obiektywizmie: „hak po prostu, hak z pokaznym ciężarkiem, który zaczepi się zaraz za pasek u naszych portek i zostaniemy bez większych ceregieli pociągnięci w górę”. Hak uosabia Niewypowiadalne. Zamyka usta wyszczekanym mądralom, każąc spojrzeć im z lotu ptaka na własne recepty na sukces.

Mówienie o Niewypowiadalnym wydaje się niemożliwością, zadaniem sprzecznym w założeniach. Ale eseje Michała Zioly, trapisty, mistrza nowicjatu w Kamerunie, obecnie znów mieszkającego we Francji, wprowadzają w przestrzeń, w której wielosłowie i zuniformizowana pogoń za tym, co jest „trendy”, nie mają znaczenia. Autor nie obwieszcza ani nie nakazuje. O najważniejszym, zamiast przemawiać do nas *ex cathedra*, mówi półgłosem, z obrzeży. Dlatego pierwsza książka Zioly, *Inne sprawy*, przeszła niemal bez echa przez rynek księgarski, bo, wedle woli autora, ukazała się nakładem niewielkiego rzeszowskiego wydawnictwa seminaryjnego. Pisał ją jeszcze w habitcie zakonu kaznodziejskiego. W latach dziewięćdziesiątych był duszpasterzem akademickim w Gdańsku. Opiekował się dziećmi upośledzonymi umysłowo, a jego msze w kościele św. Mikołaja ściągały tłumy. Dzięki niemu powstał też „Dom na Skraju”, fundacja na rzecz dzieci z rozbitych rodzin. W roku 1995 charyzmatyczny dominikanin, otoczony zawsze gromadą studentów, wstąpił do zakonu trapistów.

---

<sup>1</sup> Oprócz *Jedynego znanego zdjęcia Boga* także: *Inne sprawy* (Rzeszów 1995) i *Bobry Pana Boga* (Poznań 1999).



## Zaczekanie

Początki zgromadzenia cystersów, którego odłam stanowią trapiści, tkwią w niepokoju i tęsknocie. Tajemny impuls, który jest przyczynkiem do nieracjonalnego poszukiwania istoty życia poza rytmiką społecznych norm, dotknął piętnastoletniego Roberta z Szampanii i poprowadził go do furty opactwa benedyktynów w Montier-la-Celle. Gdy liczył sobie lat czterdzieści, został opatem zgromadzenia. Ale miał to być dopiero początek jego drogi. Wraz z kilkoma braćmi eremitami uzyskał pozwolenie na założenie nowego opactwa w Molesmes, opartego na regule św. Benedykta. W krótkim czasie powstało ponad trzydzieści podległych opactwu przeorstw. Jednak Robert szukał dalej... Jak relacjonuje Ziolo, mnisi zmuszeni byli nawet interweniować u papieża, by nakazał Robertowi uciekającemu do puszcy w Aux powrócić w progi swojego klasztoru. Mnich nie chciał mnożyć kolejnych klasztorów benedyktyńskich, pragnął podążać za regułą bardziej radykalnymi ścieżkami, w pełniejszym odosobnieniu. Arcybiskup Lyonu, pełniący jednocześnie funkcję legata papieskiego, Hugus de Dieu, wyraził zgodę, aby kilku mnichów z Molesmes zamieszkało w lasach Citeaux. Był rok 1098. Nowa wspólnota z Citeaux osiadła w miejscu, które cysterskie dokumenty określają jako „opuszczone przez ludzi i zamieszkałe przez dzikie zwierzęta”.

A skąd trapiści? Ten cysterski klasztor „Obostrzonej Reguły” rozślawił Armand Rance, francuski arystokrata i królewski beneficjent z XVII wieku. Zrzuciwszy obiecującą karierę zarówno wojskową, jak i kościelną, gardząc poznanym smakiem miłości, wstępuje do La Trappe. Złowieszczą nazwę nadał zreformowanemu klasztorowi sam opat Rance. Słowo „*la trappe*”, pułapka, sugerować miało więcej aniżeli tylko niedostępność miejsca czy całkowite zatrzaśnięcie drzwi przed rozpędzonym światem. Nie należy także zawęzać skojarzeń do drakańskiej, pozbawionej mięsa, jajek i ryb diety, narzuconej przez Rance’a. La Trappe to pułapka Pana Boga. Dlatego, iż „czyni ludzi pustyni znakiem dla innych, że wszystko, co najważniejsze w życiu, to ON i Jego miłość”, pisze Michał Ziolo. Tylko pozornie jest to religijna metafora. Boża pułapka to więcej niż wzniosły symbol życia „zgodnie z Bożym planem”; rozumieć wypada ją stokroć bardziej dosłownie. Znak pozostaje przezroczysty. Jego treścią nie jest on sam, lecz rzeczywistość, którą oznacza. By wskazywać tylko na Tego, Który Jest, trzeba zgubić swoje *ego*. Trapista po prostu trwa w obecności. Ojciec Ziolo nie waha się tu użyć słowa „bezczytność”, odbierając mu jego negatywną



konotację. Bezczynny to ten, który wie, że nie jest w stanie wnieść do świata nic własnego, nic lepszego od tego, co już zostało człowiekowi dane. Bycie znakiem to pozostawanie w milczącym zachwycie, w dziękczynieniu:

    Za każdy szczegół ulicy, za dymy pieców wypalających garnki, za pięknych ludzi z gór (...). Potem psy przez całą noc. Można iść z dworca kolejowego i słuchać tego poszczekiwania i zawodzenia. Mijać domy, wchodzić w cień, wchodzić w ramiona Chrystusa, niedomknięte, otwarte jak księżyc tego kraju.

Konsekwencją tak pojmowanej bezczynności jest celebrowanie mijających dni jako przygotowania na ostateczne Przyjście. Ojciec Ziolo nazwie je „zaczekaniem się”. Jest w nim miejsce na niespieszne krzątanie się wokół spraw małych, bez pomniejszania ich wartości. Jest monotonna harówka i życie chwilą, niemające jednak wiele wspólnego z łapczywym *carpe diem*, z zagarnianiem do siebie uciekającego czasu, które przynosi tylko rozpacz i bezradność. „Zaczekanie się nadaje wolność i nadaje tempo, w którym niegdyś ociosywano kamień”. Bo zaczekać się to wyrazić zgodę na nieprzeniknione zamiary Boga. I nie tyle znaleźć czas dla Boga, ile z pokorą Jemu oddać władzę nad każdą godziną.

## Zasłuchanie

Julien Green zanotował w swoim dzienniku taką myśl Cocteau: „Stać się o zbawienie w Paryżu to niemożliwe. Dusza jest tu nazbyt roztrągnięta”. Mało kto chyba nie podpisałby się pod słowami artysty, w miejsce słowa Paryż wstawiając którekolwiek z naszych miast i nie tylko miast. Bo także zapobiegliwie wygospodarowana oaza spokoju, mały domek na Mazurach, do którego uciekamy, by złapać trochę tchu, jest zaledwie wyreżyserowanym przerywnikiem, tym krokiem w tył pozwalającym ruszyć ze zdwojoną energią przed siebie. Roztrągnięcie duszy to choroba współczesności. Lecz z lektury esejów Michała Zioly nie wynika wcale, że malownicze smaczki życia w algierskim opactwie stanowią na nią *antidotum* czy są jedynym pasującym do bramy kontemplacji kluczem. Nie, to byłoby zbyt proste. Nie można dać się zwieść urokom klasztornego klimatu, mówi trapista, ulec zapachowi serów przyrządzanych według zazdrośnie strzeżonych receptur, całej tej egzotyce, w którą wpisane są i miarowo bijące dzwony o czwartej nad ranem, i kulejące osły, i mocno sfatygowane mnisze sandały. Istota kontemplacji tkwi głę-





biej, nie w tym, co pociągające dla fanatyka powrotu do natury bądź łowcy osobliwości, lecz w realizmie. Kontemplacja, napisze Michał Ziolo, zaczyna się wraz ze świadomością, że nie ma dokąd uciec przed Bogiem. Dlatego nieodłączne od niej jest cierpienie. Nie trzeba utożsamiać go z doloryzmem, jest raczej bólem odwrotu od swojej woli. Ziolo przywołuje cysterskiego mistyka, Boduina de Forda, posługując się symboliką pieczęci, jaką Bóg przybija na człowieku. Pieczęć jest solidna i ciężka, a tworzywo, w którą wchodzi, musi poddać się jej bezwarunkowo, rozstępuje się przed nią i ugina pod jej siłą, co niejednokrotnie rodzi ból.

Roztargnienie duszy, jej „gadulstwo”, podobnie jak wosk musi ulec – zamilknąć i wejść w misterium zasłuchania. Ale duchowe słuchanie nie odpowiada temu, co rozumiemy przez proces słuchania, przyzwyczajeni do rejestrowania setek newsów od porannego półświadomego włączenia odbiornika radiowego przez gazetę czytaną przy kawie po wieczorne serwisy. Odbiór informacji wyzwala w człowieku pewną łapczywość, potrzebę skomentowania, ustosunkowania się do zaistniałego stanu rzeczy. Ze słuchaniem duchowym rzecz ma się inaczej. Zasłuchanie kontemplatyka trafnie uchwycił w jednej ze swoich miniatur Czesław Miłosz, analizując wyczytane w książce buddyjskiego mnicha słowo: *mindfulness*, które tłumaczy jako uważność, czyli, pisze Poeta, „przyjmowanie z uwagą tego, co jest t e r a z, zamiast zwracać się ku temu, co było, albo do tego, co będzie”. Uwaga kontemplatyka nie skupia się na zawłaszczeniu płynących słów.

Swoich pierwszych doświadczeń kontemplacyjnego słuchania upatruje Michał Ziolo w dziecięcej fascynacji odbiornikiem radiowym. Jako kilkuletni chłopiec spędzał długie godziny z przyklejonym do radia uchem, z upodobaniem przysłuchując się już to *Lalce*, już to teatrowi Polskiego Radia. Słuchanie zdarzało mu się przedkładać nad inne frapujące czynności (do których to należało na pewno bieganie po lesie i obserwowanie przepływających Wisłą „kanadyjkarzy”). Słuchaniem zawiaduje w pierwszym rzędzie wyobraźnia: „wolna i jakby nieco leniwa, lecz kierowana przeciw wyraźnym prądem słów, przepływająca przez człowieka rzeka, która bez pardonu unosi nas z prozaicznego miejsca w niewiadome. I jej wody zdają się pobłyskiwać tajemnicą”.

Misterium zasłuchania. Pozbawione wewnętrznego napięcia i lakomstwa czyhającego gdzieś w tyle głowy, nawet przy tak chwalebnej czynności, jaką jest oddawanie się lekturze wartościowej książki. Do takiej „pasywnej aktywności”, pobrzmiwającej nam, zanurzonym w kulturze celowości, trochę nierealnie, uzdalnia Ktoś, kto panuje nad słowem, a za-



tem zwalnia z obowiązku kurczowego uczenia się dźwięków. Pozwala na, jak określa to trapista, „marnotrawstwo” słów. Dopiero ono ukazuje człowiekowi bezmiar treści, jaką przekazuje Bóg swojemu stworzeniu poprzez otaczający go świat: „Dobre słuchanie rozpoczyna się często od prostego zainteresowania otoczeniem i zgody na monotonię sygnałów, jakie wysyłają dobrze znane miejsca i jeszcze lepiej znani ludzie”. Monotonia ta nie będzie jednak nabierała znamion rutyny. Pozwoli zatęsknić, usłyszeć wstrząsające wezwanie do wyjścia na pustynię.

Właśnie na pustyni zatrzymujemy się w „TERAZ”, odarci z upojnych konstrukcji tworzonych na „POTEM”. Na pustyni zdani jesteśmy już nie na własny czas przyszły, lecz Boży Czas Teraźniejszy, w którym ze zgrozą odkrywamy swoją marność. Lecz, jak w mądrym wierszyku pisał e. e. cummings: „prawdy są TU”, tak więc zgroza nie wpędza w rozpacz, chociaż – napisze Ziolo – „człowiek na pustyni traci kierunek, nie wie, gdzie iść, bo oto stało się widome, że Bóg ofiaruje się zawsze inaczej, czasem na przekór ludzkim zdolnościom pojmowania”. Niemoc i bezradność w końcowym rachunku owocują pokrzepieniem.

## Niedokończenie

Rzeczy niedokończone drażnią. Wolimy zawsze zacisnąć zęby i do oporu działać, coś dopracować, coś na ostatni guzik dopiąć, by z westchnieniem ulgi i poczuciem dobrego wykonania roboty rzucić się na kanapę. Rzeczy niedokończone drwią z nas, piętnując mianem „nieudaczników”. Czy będzie to przerwany w połowie projekt, czy raz po raz wypędzana ze świadomości pokaleczona relacja z innym człowiekiem, rzeczy niedokończone zakłują w oczy i złośliwie przypominają o sobie właśnie w momencie, kiedy już prawie, prawie uwierzyliśmy we własny perfekcjonizm. I dobrze! Bo takie jest właśnie przeznaczenie tych zarzucanych spraw-marginaliów – wskazywanie wiecznego niedouczenia, niedorastania człowieka do świata. Nazywa je Michał Ziolo „konturami” albo: szkicami. Tylko szkic chroni nas przed pokusą anielskości, wiarą w samobawienie: „Praca Kościoła to ustawiczne przypatrywanie się światu ze szkicownikiem w ręku. Nie bójmy się prostych kresek – są one bliżej prawdziwego obrazu niż solidnie położona farba. Wychowanie do świętości jest ciągłym szkicowaniem jego szans, ale i dostrzeganiem dróg prowadzących donikąd”.

O tym, jak prosto ulec „angelizmowi”, pisał Merton, charakteryzując postać gipsowego świętego, który prędzej wytarza się w krzaku dzi-



kiej róży, aniżeliby miał przyznać się przed sobą, że wcale nie jest mu łatwo nie ulec słabości... Chochlik perfekcjonizmu wywodzi się z „hydraulicznej”, jak określi ją Michał Ziolo, wizji człowieka, wizji opartej na *quasi*-harmonii. Zgodnie z nią mechanizm istoty ludzkiej nie jest tak skomplikowany, jak by się mogło zdawać, o ile solidnie nad nim popracować. Ale optymalne przykręcenie wszystkich śrubek, tak by z wierzchu pracował on bez zarzutu, kończy się nieuchronnie Wielką Usterką. Wzniosłe ideały, „precyzyjnie łączone moduły naszego życia”, runą jak kostki domina, gdy pogrążeni w dopełnianiu i dokańczaniu tego, co przecież „istotne”, zabijemy jednym niecierpliwym gestem czyjaś nadzieję. Perfekcjonizm, także ten duchowy, jest wedle Michała Zioly niebezpieczny nie tylko dla ulegającej mu jednostki. Wypacza hierarchię wartości, sprawia, że tracimy z oczu drugiego.

W zbiór „rzeczy niedokończonych” wpisują się też krótkie momenty zawieszenia, chwile, w których nic się nie dzieje. Trapista nazywa je najważniejszymi chwilami w życiu, polemizując ze swoim ulubionym Poetą. To, co Miłosz nazwie „krowią bezwładną rzeczywistością, ucieleśnieniem nicości”, dla Zioly stanowi moment jakże potrzebnego, przyjaznego przestawiania z samym sobą. Takie chwile, o ile sobie na nie pozwolimy, nie mają nic wspólnego z nicością. To czas, „w którym Bóg jest Bogiem”, a człowiek wreszcie człowiekiem. Chwil zawieszenia, tak mało mających wspólnego z perfekcją, nienawidzi Szatan, stokroć bardziej wolać widzieć nas zżeranych przez własne pragnienia i pochłoniętych przez pracę niż zasiadających na ławce w parku, by beczynninie (!) obserwować wiewiórki.

Gorączka aktywizmu świetnie uzupełnia się z inną chorobą naszych czasów. Jesteśmy chorzy na kompetencję. Cierpimy srodze, jeśli zarzucą nam nieprofesjonalizm, nieakuratność na n a s z y m poletku zawodowym. Rzeczy niedokończone otwierają na wymiar „odważnej niekompetencji”. To na jej karb ojciec Ziolo kładzie tak skandaliczne dla świata zachowania, jak porzucenie świetnie się zapowiadającej kariery czy gest świętego Tomasza, który miast pokręcić z podziwem głową nad ponad sześćdziesięcioma tomami swoich dzieł powie tylko: „słoma”. I nie będzie to kokieteria, nie będzie to ta skromność, którą lubimy czasem zademonstrować w oczekiwaniu na rychły protest ze strony naszych rozmówców.

Tego „niedokończenia” trzeba nam ciągle się uczyć, pisze trapista. Uczyc z mozołem nie tylko przez oczyszczanie intencji. Także przez pokorną zgodę na bolesne niezrozumienie, na niewyjaśnione torpedowanie naszych planów przez Boga. Czyż jednak właśnie w ten sposób nie



podchodzimy parę kroków bliżej do Niego? Czy nie było w Jego замыśle pozostawienie rzeczy niedookreślonymi? Tak jak pięknie ujął to Miłosz: „Ależ to wcale takie trudne nie jest. / Pan Bóg stworzył świat. A jak dawno temu? / Niedawno. Dzisiaj rano. Chyba przed godziną. / Bo kwiaty otwierają się, ledwo co dokończone”.

Rzeczy niedokończone otwierają oczy na detale. Myślenie w kategoriach holistycznych, przykładanie do świata jakichkolwiek szablonów, nawet jeśli będą to wybitne teorie etyczne czy teologiczne, zabija wrażliwość na drobiazgi tworzące kulturę. Zioło przywołuje św. Benedykta, który wzywał do troskliwej pieczy nad dobrami materialnymi, pisząc także o kubkach, nożach... Czy nie dziwią takie napomknienia w ustach świętobliwego pustelnika, który w końcu obrał tę lepszą częśćkę? Nie, bo przecież „Słowo ciałem się stało i zamieszkało w kulturze”, napisze Michał Zioło. Bliskie są te słowa tezie T. S. Eliota, który nazwał kulturę „wcieleniem religii”. Dlatego też, mimo kruchości rzeczy stworzonych, ważne same w sobie będą zarówno porcelanowe kubki, jak i kolor pitej z nich herbaty; ważna będzie gorąca dyskusja toczona na temat ostatnio zobaczonego filmu przez siedzących przy herbacie przyjaciół. Trzeba jednak kulturze pierwiastka religii, jako filtru, który zatrzyma tandetę, towar bezwartościowy. Religia spowoduje też, jak nazwie to Zioło, „zranienie marmuru”, odbierze kulturze odrobinę z jej narcystycznego blasku. Górnołotnie brzmiąca „ewangelizacja kultury wysokiej” jest zatem konieczna, będzie przypominać, że chociaż zanurzeni w kulturze, jesteśmy stale *in motu*, w drodze, a raczej – w trakcie Wielkiego Wyczekiwania.

## Umieranie

Kiedy pisałam ten tekst, Hiszpania trwała jeszcze w żałobie<sup>1</sup>. W serwisach informacyjnych mogliśmy usłyszeć nagrany urywek rozmowy telefonicznej młodej dziewczyny przebywającej w epicentrum tragedii. Gorączkowy głos. Krzyk. Potem tylko bezlitosny ciągły sygnał w słuchawce. Ona ocalała. Mężczyzna telefonujący do synka z płonącego budynku WTC już nie. Są rozmowy niedokończone, zostawiające nam czyjś ciepły śmiech, niby ochłap, którego tak kurczowo potrafimy się uchwycić. Michał Zioło notuje parę takich zdań, zapis swojej ostatniej rozmowy z ojcem Christianem, trapiistą z algierskiego klasztoru Tibhirine.

<sup>1</sup> Marzec 2004 – po ataku terrorystycznym na dworzec w Madrycie.



W Tibhirine było ich siedmiu. Do nich dołączyć miał ojciec Ziolo, do Polski wrócił tylko po to, by załatwić ostatnie formalności. Tymczasem Islamska Grupa Zbrojna porwała mnichów z Tibhirine. Był kwiecień 1996 roku. W maju terroryści z GIA podcięli im gardła. Ciała ukryto. Głowy zawieszono w worku na drzewie pod Medeą.

Pisarstwo Michała Zioly nosi wyraźne znamię tragedii sprzed ośmiu lat, kiedy pisze on o znakach przestankowych Boga. Algieria była wtedy takim postojem, ciągnącą się w nieskończoność chwilą nieznośnego milczenia Boga. Jaki jest sens owych postojów? – pyta trapista. Nie będzie to już jedynie duchowa pustynia, oczyszczenie ludzkich pragnień przez wzmożone poczucie nieobecności Boga. „Świętości jest przykazane spalać się...”, pisze Ziolo. Christoph Labreton, jeden z zamordowanych braci, zrezygnował z kryjówki naszykowanej na wypadek nagłego powrotu ICH. Bo to, że wrócić, było więcej niż pewne. Trzy lata wcześniej przyszli z listą żądań. Chcieli lekarstw, pieniędzy. Na stwierdzenie „emira”: „Nie macie wyboru”, Christian de Cherge odpowie krótko: „Ja mam wybór”.

Znaki przestankowe Boga. Można wtedy wybierać: schylić głowę z przyzwoleniem dla męczeństwa i – ze świadomością, jak niewybaczalny to po ludzku brak rozwagi – czekać lub salwować się ucieczką, obierając kierunek, który Michał Ziolo określi mianem „opcji demokratów”. Można więc podejmować decyzje godne miana ludzi wydukowanych, zawsze rozsądne i trzeźwe. To ścieżka ludzi „mądrze wygodnych”, którzy nie mają zamiaru spalać się ni uświęcać. Zupełnie „niedemokratyczne” będzie w tej optyce przebaczenie, a miłość do oprawcy okaże się wytworem chorej imagacji eremitów. Czy „opcja demokratów” nie wydaje się nam bliska? Maszerujemy w wiecach, zapalamy znicze. Powtarzamy słowa o wyrównaniu rachunków, o sprawiedliwości. Obiecujemy pamięć. I jeśli faktycznie pamiętamy i nie wracamy tak prędko uspokojeni do czterech ścian własnych spraw, to za sprawą nienawiści podszytej strachem, że będziemy następnymi.

Po algierskiej rzezi otwarto testament Christiana de Cherge. Skierował on do swojego oprawcy słowa: „I ty, przyjacielu ostatniej minuty...”. Sztuka przebaczenia jest sztuką umierania, *ars moriendi*, napisze trapista. Sprzeniewierza się temu, co zapewnić ma w miarę bezpieczne i bezbolesne przetrwanie, nie przypomina w niczym modnych nauk asertywności. Przeciwnie. „Sztuka umierania jest kultywowaniem życia przez powolne, codzienne dochodzenie do tego dziwnego na pierwszy rzut oka prawa: »Trzeba umrzeć, aby żyć«. *Ars moriendi* uczy także przyjmo-



wać przebaczenie, bezmiar ufności, jaki w człowieku z całą nieroztropnością, która w istocie jest Rozwagą, złożył Bóg. Sztuka umierania to tak naprawdę umiejętność życia – godnego, z podniesionym czołem. Życia człowieka, który – by ocalić siebie – nie musi czaić się z zaciśniętymi pięściami w swojej kryjówce.

„Śmierć mieć zawsze przed oczyma”, przywołuje Ziolo wskazanie św. Benedykta. I nie ma to być wcale bezwolne na nią oczekiwanie, ale zgoda, że zarówno śmierć, jak i życie są własnością Boga. Nie do człowieka należy ster nad płynącymi godzinami, nie jemu ferować wyroki i chciwie obejmować rządy nad życiem tych, którzy w naszym mniemaniu są „społecznie szkodliwi”. Ta właśnie świadomość pozwalała innemu z mnichów Tibhirine nazywać bojowników GIA „braćmi z gór”. Zgodnie z „opcją demokratów” nazywałoby się to zamazywaniem jaskrawej linii między naszym dobrem a ich złem, które trzeba wypełnić, raz na zawsze zniszczyć.

Sztuka umierania oznacza gotowość do bycia wygnańcem, bezdomnym. Znamiennie brzmią te słowa w ustach człowieka, Słowianina „z krwi i kości”, który porzuca ojczyznę – to, co swojskie i tak ukochane, nawet jeśli niekiedy irytujące – by wejść między ludzi innej, niezrozumiałej kultury, zamieszkać w miejscach, których egzotykę podziwiamy, owszem, ale najchętniej przez szyby klimatyzowanego autokaru.

Tymczasem wygnanie jest powołaniem nie tylko dla wybrańców, tych nielicznych jednostek naznaczonych dziwnym piętnem, niepozwalającym im długo zagrzać jednego miejsca. Wygnanie niesie z sobą prawdę o człowieku, odziera ze schematów określonych miejscem i czasem urodzenia, narzuconych przez grupę społeczną, a w niej – przez podgrupę, przez najciaśniejszy i niedostępny dla obcych krąg znajomych. Wszyscy jesteśmy braćmi – ten święty truizm rozbija nas swoją naiwnością, gdyż dawno przestał cokolwiek znaczyć. „Wygnanie, przejście z kontynentu na kontynent, z kultury do kultury, zawiera w sobie ten gorzki smak, który nazywamy mądrością lub doświadczoną ostrożnością w wydawaniu sądów skrajnych, podpalających świat i w przyklaskiwaniu prorokom różnych maści” – czytamy. Oto człowiek, wydostawszy się ze skorupki swoich drobnych przyzwyczajęń, ma szansę być z n a k i e m. Na początek wystarczy, jeśli uczyni wysiłek zrozumienia, że stawanie się przezroczystym jest życiodajne, a okopywanie się w sobie – na dłuższą metę dusi.

Mnich ma być cieniem, „istnieć w mroku, bez podpórek i nadziei, tych drobnych i tych wielkich”, pisze Michał Ziolo. Ale sługą nieużytecznym jest przecież nie tylko eremita, lecz i człowiek żyjący „w świe-



cie” – ten, kto posiadał miłą pewność należytego wypełniania doczesnego obowiązku i co dzień pracowicie zaznacza swoją obecność na ziemi. Człowiek – byt niekonieczny? Trudna to nauka.

KATARZYNA WIŚNIEWSKA, ur. 1979, absolwentka filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Publikowała w „Azymucie”, „Znaku”, „Tygodniku Powszechnym” oraz we „W drodze”. Mieszka w Warszawie.

Andrzej Pawelec

## Zarys całości

Paul Ricoeur,  
*Drogi rozpoznania*,  
tłum. J. Margański,  
Znak, Kraków 2004, ss. 270

Najnowsza książka Ricoeura – rozwinięcie wykładów wygłoszonych w 2001 roku w wiedeńskim Instytucie Nauk o Człowieku – to próba wyniesienia do rangi kategorii filozoficznej – „filozofemu”, jak zabawnie powiada autor – pojęcia „rozpoznania”. Powyższe stwierdzenie wymaga uściślenia. Choć nie ukazało się dotąd dzieło filozofa poświęcone „rozpoznananiu” – o czym w pierwszym zdaniu informuje nas autor – to samo słowo w różnych wersjach językowych (*reconnaissance*, *recognitio*, *Anerkennung*) pojawiało się w rozmaitych kontekstach. Przedsięwzięcie niniejsze ma zatem na celu scalenie dotychczasowych zastosowań pojęcia – określenie perspektywy bardziej pojemnej, która pozwoliłaby dostrzec spójność ujęć cząstkowych. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z próbą pokazania, iż „rozpoznanie” należy do kategorii centralnych, stanowi fundament antropologii filozoficznej.

Na pierwszy rzut oka projekt ten budzi konsternację. W samej strukturze słowa w wersji łacińskiej i francuskiej dostrzegamy prefiks „*re*”, który wskazuje na ponowienie czy umieszczenie w centrum uwagi czynności uprzedniej – poznania. Jakimże sposobem „rozpoznanie” może być bardziej pierwotne niż „poznanie”? Ponadto, czego w ogóle nie oddaje polski odpowiednik, znaczenie *reconnaissance* wykracza poza sens epistemologiczny – wątek statusu wiedzy – w kierunku „potwierdzenia” (własnych zdolności) i „uznania” (możliwości innych). Czy istnieje nić łącząca tak odległe znaczenia?

Czytelnicy poprzednich prac Ricoeura, a zwłaszcza *O sobie samym jako innym*, znają z grubsza odpowiedzi na te pytania, a zbliżone kwe-





stie w tej czy innej postaci pojawiały się od dawna w tradycji fenomenologiczno-hermeneutycznej. Pierwsza część wyjaśnienia (jak pokazuje np. Charles Taylor) wiąże się z zakwestionowaniem „prymatu epistemologii” – wiary w metodę pozwalającą jasno, bezspornie czy po prostu „obiektywnie” uchwycić jakąś sferę przedmiotową. U podłoża tej wiary znajduje się pojęcie „przedstawienia” czy „reprezentacji” (to drugie modne w naukach kognitywnych): idee w jakiś sposób odzwierciedlają świat. Niezależnie od interpretacji tego sformułowania (w miejsce „idei” można podstawić „stany umysłu” albo „mózgu”; w miejsce „świata” – aprioryczną, gatunkową czy kulturową formę doświadczania świata) jest ono niekoherentne. Z jednej strony owe stany mają być bowiem uchwytnie poza sytuacją, dostępne *in abstracto* (bo inaczej nie ma mowy o sondowaniu źródeł poznania, o metodycznym poznawaniu), z drugiej strony mają mimo to odnosić się do świata, „reprezentować” go. Krótko mówiąc, stany dotyczące świata muszą być zarazem odrębne od świata. Ponieważ warunek ten jest niemożliwy do spełnienia, w epistemologicznym punkcie wyjścia jesteśmy uwikłani w sytuację hermeneutyczną. Ten rezultat prowadzi do drugiej części wyjaśnienia: ponieważ poznawanie nie jest aktem pierwotnym (czy „źródłowym”, jak lubią mawiać fenomenolodzy), to nie ma statusu uprzywilejowanego; należy zatem zgłębiać wszystkie formy „odnoszenia się” do świata czy „bycia w świecie”. Dopiero na tym gruncie można próbować określić miejsce poznania „obiektywnego” (a więc nauki) jako formy egzystencji.

Powyższe wnioski wiążą się bezpośrednio z kwestią rozpoznania. Jeśli poznamy jakąś rzecz, potrafimy ją zidentyfikować, orzekać coś o niej. Wydając sądy, potwierdzamy swoje panowanie nad tym obszarem (s. 17). Ta władza jest jednak wystawiona na rozmaite zagrożenia. Jednym z nich jest zmiana, która nadaje rzeczom nieoczekiwany wygląd. Innym iluzje, które każą wątpić w nasze panowanie. Innym jeszcze opozycja ze strony tych, którzy odrzucają nasze sądy. W świetle, a raczej w cieniu tych zagrożeń, władza umysłu okazuje się krucha i tymczasowa – umacniają ją dopiero akty rozpoznania w sytuacji niepewności. Innymi słowy, tylko w świecie przejrzystym i jednoznacznym poznanie jest władzą, która stanowi podstawę rozpoznania. W świecie nieogarnionym, wieloznacznym poznanie jest zdobyczą możliwą dzięki aktom rozpoznawania. W tym kontekście rozpoznanie oznacza przemianę pierwotnego stosunku do rzeczy, który nie zasługiwał na miano poznania (wiedzy).

Prymat rozpoznania jest jeszcze bardziej oczywisty w przypadku poznania siebie. Tożsamość człowieka można wprawdzie traktować jako



rzecz identyfikowalną (*idem*) – np. przez kod genetyczny, odcisk palca czy stałe charakteru – ale jest ona zasadniczo zbiorem zdolności (*ipse*), których się „nie stwierdza”, tylko „potwierdza” (s. 143). Ricoeur wymienia cztery podstawowe moce: zdolność mówienia, działania, opowiadania (w tym o sobie) oraz poczytalność (bliską odpowiedzialności). Do tego zestawu dodaje jeszcze pamięć i obietnicę – zdolności o szczególnej randze, gdyż są opoką *idem* (pamięci) i *ipse* (obietnicy), a zarazem są stale zagrożone przez swoje przeciwieństwa: niepamięć i złamanie obietnicy (s. 100-101). W aktach potwierdzania tych zdolności człowiek dowiaduje się, co potrafi, na co go stać, kim jest – rozpoznaje siebie. Porządek poznania jest tu ewidentnie wtórny wobec porządku działania.

Tożsamość jednostki jest więc zagrożona przez niemoc w takiej czy innej postaci, ale podważa ją też brak uznania. Kwestionowanie identyfikacji przez innych było istotne już na szczeblu rozpoznawania rzeczy – jako wyzwanie dla jednostkowej władzy sądenia – ale znaczenie uznania różnie niepomierne na poziomie rozpoznawania siebie. W związku z pragmatycznym statusem tożsamości osobowej – jako wiązki mocy – nie chodzi tylko o aprobatę dla jakiejś samoidentyfikacji, ale przede wszystkim o potwierdzenie możliwości działania, by ta tożsamość mogła się urzeczywistnić. Od Hegla obszar ten opisuje się w kategoriach walki o uznanie, lecz – jak pokazuje Ricoeur – uznanie jest nie mniej istotne w stanach pokoju. Również na tym poziomie możliwość poznania, określenia tożsamości, pojawia się dopiero dzięki rozpoznaniu-uznaniu. Wątek epistemologiczny w relacjach międzyosobowych jest wyraźnie drugorzędny – ustępuje miejsca kwestiom pragmatycznym i etycznym.

Czy można przyjąć, iż „rozpoznanie” jako identyfikowanie, potwierdzanie i uznawanie to jedna kategoria, jeden filozofem? Niewątpliwie widać ciągłość kolejnych aspektów tożsamości: tożsamość rzeczy wymaga identyfikacji; tożsamość osoby wymaga również urzeczywistnienia, potwierdzenia; co nie jest możliwe poza wspólnotą, bez uznania (przynajmniej możliwości samorealizacji). Widzimy, że w przeciwieństwie do podejścia „epistemologicznego”, które wysuwa na plan pierwszy rzeczowy aspekt tożsamości, tutaj mamy do czynienia ze sprzężeniem aspektu rzeczowego, osobowego i wspólnotowego (co naturalne, skoro poruszamy się na obszarze antropologii filozoficznej). Ponieważ traf sprawił, że język francuski dysponuje słowem, które można odnieść do tożsamości w każdym z tych trzech kontekstów (co Ricoeur dokumentuje we Wstępie), autor miał dodatkowy powód, by dostrzegać spójność swojego ujęcia.



Na czym polega ta bardziej „pojemna” perspektywa? W Zakończeniu autor wyjaśnia, że jego propozycja nie jest ani teorią, ani luźną „suitą pomysłów” (s. 251), lecz zestawem „trajektorii”, przeglądów pola ujawniających związki między tematyką tożsamości, inności oraz uznania/nieuznania (s. 253). Ta konkluzja może rozczarowywać, ale jest konsekwencją podejścia hermeneutycznego: nie dysponujemy żadną perspektywą nadrzędną, więc możemy jedynie próbować przekraczać ograniczenia ujęć dostępnych.

To przeświadczenie nadaje kształt całej twórczości Ricoeura, która na arenie filozofii współczesnej jest bodaj najbardziej „katolicka” w sensie źródłowym, tzn. nastawiona na „ogarnięcie całości”. Wyrazem tego przekonania jest np. wybór „drogi okrężnej” czy „długiej”, polegającej na dialogu ze wszystkimi liczącymi się propozycjami, w opozycji do tych filozofii pokrewnych (np. Heideggera czy Merleau-Ponty’ego), które pewnym krokiem zmierzają w głąb, pomijając dokonania poprzedników czy ograniczając się do ich krytyki.

W związku z taką postawą Ricoeura trudno streścić – czego nawet nie próbowałem tu robić – gdyż lwia część jego rozpraw stanowią rekonstrukcje argumentacji bądź nawiązania do innych autorów, których wysiłki nieodmiennie pochwała, umieszczając w stosownych miejscach swoje korekty lub uzupełnienia. Ta metoda pisarska – godna szacunku, stanowiąca niedościgły wzór „krytyki pozytywnej” – może jednak budzić irytację, gdyż czytelnicy o węższych horyzontach (czyli my wszyscy) łatwo się gubią. Co więcej, wysiłki autora zmierzające do wyłuskania tego, co trafne w każdej propozycji, sprawiają czasem wrażenie synkretyzmu, akceptacji ujęć odległych od siebie i dalekich od hermeneutyki. Rzecz jasna tak nie jest, ale nowi czytelnicy Ricoeura muszą mieć dużo determinacji, by zasmakować w tym stylu. Trud ten opłaci się z nawiązką, gdyż autor należy do najlepszych przewodników po świecie myśli.

Po dwukrotnej lekturze tej książki nie jestem w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy przeciera ona nowy szlak – wskazuje drogę, którą można pójść dalej. Wiem tylko, że dzieło dziewięćdziesięcioletniego filozofa budzi mój podziw: nie tylko dla imponującej sprawności intelektualnej analityka, ale przede wszystkim dla odwagi poszukiwacza, który wciąż chce rozpoznać zarys całości.

ANDRZEJ PAWELEC, ur. 1964, dr filozofii, eseista, tłumacz. Pracuje w Instytucie Filologii Angielskiej UJ.



Anna Głąb

## Logika czy światopogląd?

Jan Woleński,  
*Granice niewiary*,  
Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 2004

(...) pytanie czy istnieje, czy nie istnieje bóg, można i powinno się rozważać racjonalnie i rozsądnie (...). Jest to pytanie autentyczne i sensowne oraz doniosłe – zbyt doniosłe, byśmy opowiadali się po którejś stronie niedbale czy arbitralnie. Żadna odpowiedź na nie, ani twierdząca, ani przecząca, nie jest jawnie słuszna, spór nie jest jednak tak mglisty, by nie można było przeprowadzić istotnych rozważań nad używanymi w nim argumentami i świadectwami.

John L. Mackie

Patrząc na to, w jaki sposób wielu filozofów wyjaśnia rzeczywistość, można zaryzykować twierdzenie, że o sposobie domknięcia systemu filozoficznego rozstrzyga często światopogląd. Tak było w przypadku Tomasza z Akwinu, Immanuela Kanta, Johna Deweya, Bertrandra Russella, u których przyjęcie istnienia Boga lub odrzucenie Jego istnienia decydowało o sposobie uzasadniania twierdzeń na temat świata oraz myślenia o nim. Czy przekonanie Laplace’a, że do napisania dzieła o mechanice niebios hipoteza Boga nie jest potrzebna, jest prawdziwe w odniesieniu do większości systemów filozoficznych? W przypadku metafizyki Kartezjusza twierdzenie to nie spełniło się, hipoteza Boga była mu bowiem potrzebna do wyjaśnienia prawdziwości idei, których Bóg stał się niezawodnym poręczycielem, mostem łączącym świat subiektywnych myśli z obiektywnym światem nauki. Kant też potrzebował Boga jako koniecznego założenia świadomości moralnej. W metafizyce średnio-wiecznej i nowożytniej pojęcie Boga było istotnym elementem dociekań warunkującym często sposoby stawiania i rozwiązywania problemów.

Dopiero w wieku XX rozwój nauk szczegółowych pysznących się naukowym podejściem do rzeczy, a w filozofii neopozytywizm eliminujący z dziedziny zdań sensownych te, których nie można sprawdzić em-



pirycznie, przyczyniły się do zmniejszenia zainteresowania Bogiem (przynajmniej w świecie filozofii analitycznej). Naturalizm jasno stwierdza dziś, że istnieje tylko to, co da się wyjaśnić przez nauki przyrodnicze, to zaś, co wymyka się standardom naukowości, nie istnieje. Bóg, którego istnienia nie sposób udowodnić empirycznie i dedukcyjnie, a więc obiektywnie, zostaje potraktowany z przymrużeniem oka, czasami przywoływany jako jeden z elementów świata wróżek i magów, o których opowiada się dzieciom bajki na dobranoc.

Z ciekawością więc sięgnęłam po najnowszą książkę krakowskiego logika i epistemologa prof. Jana Woleńskiego, *Granice niewiary*, w której autor zajmuje się analizą przekonań, wiedzy, racjonalności oraz wiary; odróżnia postawy wobec problemu istnienia Boga, a także zastanawia się nad możliwościami racjonalnego uzasadnienia zdania „Bóg istnieje”. Zajmuje się również zasadnością dowodów na istnienie Boga i przeciw Jego istnieniu i dyskutuje status teologii jako nauki. Książka *Granice niewiary* to jednak nie tylko abstrakcyjne rozważania na temat zasadności teizmu chrześcijańskiego. Woleńskiego zajmują też sprawy praktyczne, światopoglądowe: aborcja i antykoncepcja, rozwody i nierozzerwalność małżeństwa. Dużo uwagi poświęca nagannym przypadkom i niekonsekwencjom, jakie zauważa w doktrynie Kościoła, twierdząc, iż elementy relatywizmu w poczynaniach Kościoła i rozdźwięku między wyznawaną doktryną a praktycznym jej zastosowaniem znacznie obniżają jego autorytet.

Analizy tudzież rozważania Woleńskiego są prowadzone zatem na dwóch płaszczyznach: logiczno-epistemologicznej oraz praktycznej. Na pierwszej Woleński „wynosi” Boga z bitwy na tarczy logiki, ponieważ – jak uważa – istnienia Boga nie sposób dowieść, posługując się narzędziami logiki formalnej. Na tej tarczy zostają „wyniesieni” też teolodzy, dla których książka Woleńskiego powinna stać się dużym wyzwaniem. Na drugiej płaszczyźnie Woleński otwarcie polemizuje z doktryną Kościoła katolickiego. Jego sprzeciw – często agresywny i drapieżny – kierowany jest przeciwko Kościołowi jako autorytarnej instytucji reprezentowanej przez hierarchów Kościoła i jego doktrynę. Uważa, że Kościół nie ma prawa wymagać od ludzi moralnych zachowań, skoro moralność ludzi Kościoła pozostawia wiele do życzenia. Woleński nie uważa siebie za wojującego agnostyka o zacięciu misjonarskim, ale czytając ostatnie rozdziały jego książki, trudno uwolnić się od wrażenia, że zwycięża w nim namiętność polemisty-kpiarza, który próbuje usilnie przekonać czytelnika do swoich racji. Przywołując przypadki skrajne w życiu społecz-



nym Kościoła, wydaje się nie zauważać tego, że – powiedzmy metaforycznie – to, iż ktoś fałszuje, nie oznacza, że partytura jest zła.

Na pierwszej płaszczyźnie, pytając czy wiara religijna jest racjonalna, Woleński analizuje wartość epistemologiczną przekonań religijnych. Twierdzi, iż jako że nie posiadamy jednego wzorca racjonalności, nie możemy apriorycznie odmawiać racjonalności przekonaniom religijnym, ponieważ mogą one spełniać np. praktyczny standard racjonalności, zgodnie z którym racjonalne jest to, co służy skuteczności ludzkich poczynań. Na tym jednak nie poprzestaje. Swoją drogą zastanawiające jest w tych analizach to, że choć Woleński często podkreśla niewspółmierność dyskursu teologicznego z naukowym, to jednak nie powstrzymuje się od analizy przekonań religijnych za pomocą kryteriów naukowych. Zauważa, że racjonalność przekonań religijnych nie może dorównać racjonalności przekonań naukowych, które są intersubiektywnie sprawdzalne i komunikowalne, co świadczy o ich obiektywności. Dlaczego więc analizuje przekonania religijne tak, jakby były to przekonania należące do korpusu nauki? Porównując te dwa rodzaje przekonań i sposobów ich uzasadnień, nie wyklucza podobieństwa między nimi (s. 76). Uważa, że przekonania religijne i naukowe są pewnego typu aktami posiadającymi treść (o charakterze propozycjonalnym), przedmiot intencjonalny i powody, dla których są żywione. Oba rodzaje przekonań mogą być oceniane według standardów spójności/niespójności, dlatego można zastosować do nich podstawowe kryteria logiczne, jak uważa.

Co to znaczy, że się w coś wierzy? Woleński przywołuje grecką interpretację wiary jako *pistis* (łac. *fides*), czyli wiary jako zaufania, oraz rzymską zasadę dobrej wiary, która polega na tym, że strony przy zawieraniu umów, kontraktów *etc.* działają rzetelnie, tzn. w dobrej wierze. Zasada ta jest odzwierciedleniem ludzkiej potrzeby zaufania do kogoś lub czegoś, a to sugeruje, że wiara stanowi naturalny element ludzkiej kondycji psychofizycznej. W tradycji judeochrześcijańskiej *pistis* nabrała nowego znaczenia: ufność człowieka do Boga stanowi ludzki obowiązek, jest czymś bezwarunkowym i aksjologicznie pierwotnym. W miarę rozwoju religii chrześcijańskiej takie rozumienie wiary przestało być jednak wystarczające. Tomasz z Akwinu, fundując podstawy katolickiej koncepcji wiary, twierdził, że wiara to akceptacja prawdy objawionej, coś pośredniego między wiedzą (*scientia, episteme*) a mniemaniem (*opinio, doxa*). Wiara dotyczy sfery nadprzyrodzonej, dlatego nie jest wiedzą. Natomiast niosąc ze sobą pewność, nie jest tylko mniemaniem. Wiara nie jest wiedzą, ponieważ nie wymaga dowodu. Nato-



miast wiedza nie jest wiarą, ponieważ jest poparta dowodem. Akwinata twierdził więc, że wiedza i wiara mają różny status epistemiczny. Wiara jest jednak aktem rozumu, któremu towarzyszy akt woli wspomagany łaską Boga.

Czy akt religijny można uznać za prawdziwy? Tomasz z Akwinu uważał, że wiara religijna jest wytworem aktu prawnego, a to z kolei decyduje o jego prawdziwości. Woleński twierdzi, że o jego prawdziwości nie może decydować doświadczenie wewnętrzne czy egzystencjalna pewność w sprawie istnienia Boga. Jeśli zaś jasność tego doświadczenia ujawnia się – jak pisze ojciec Dariusz Kowalczyk – „w perspektywie spotkania z inną osobą, i to Osobą nieskończoną” (s. 91), taki opis zakłada to, co ma uzasadnić, wpadając w błąd *petitio principii*. Woleński odmawia asercji zdaniu, że spotkanie z Osobą nieskończoną gwarantuje jej istnienie. Rozumowaniu Kowalczyka zarzuca to, że nie daje ono podstaw odróżnienia poczucia spotkania od spotkania rzeczywistego. Przekonanie religijne uzasadnione poczuciem spotkania jest prawomocne wyłącznie subiektywnie. Podobnie ma się rzecz – zdaniem Woleńskiego – z uzasadnieniem prawdziwości wiary za pomocą stwierdzenia, że akt wiary ufundowany jest na Objawieniu. Filozof pyta: „dlaczego mamy wierzyć objawieniu?” (s. 92). Dla niego jako agnostyka pewien typ argumentów, np. uzasadniający dogmat o Trójcy Świętej stanowiskiem Kościoła, jest niewystarczający. Czy zatem dalsza dyskusja jest możliwa? Jakie są możliwe kierunki dialogu teisty z agnostykiem? Teista będzie mówił o nadprzyrodzonym charakterze Kościoła, który jest mistycznym Ciałem Chrystusa, natomiast agnostyk nie będzie mógł tego przyjąć, Kościół bowiem jest dla niego zjawiskiem społecznym, które rozpatrywać można w kategoriach socjologicznych. Cóż zatem mogą zrobić teista i agnostyk? Poprzestać na protokole różnic? Każdy z nich – na poziomie teoretycznego dyskursu – będzie się po cichu cieszyć, że jego oponent i tak nie wyjaśni wszystkiego: niewierzący będzie śmiać się z tego, że wierzący uzasadnia swoje racje tym, co ma być dopiero uzasadnione, natomiast wierzący będzie śmiać się z niewierzącego, że ten chce wyjaśnić to, co jest tajemnicą. Ale czy postawa kwietyzmu w tym przypadku jest postawą konstruktywną? Na czym miałyby polegać dialog między wierzącymi a niewierzącymi? Żadna ze stron nie może przecież zrezygnować z założeń podstawowych, bez których jej stanowisko nie jest tym, czym jest. Może zatem – jak proponuje Woleński – należałoby uznać, że zarówno wiara, jak i niewiara mają swoje granice? Granicą wiary bywa niewiara, gdy ktoś odchodzi od wiary. Natomiast granicą niewiary bywa





wiara; „jest rzeczą niemożliwą, by niewiara miała charakter totalny” (s. 8), uważa Woleński.

Akt wiary religijnej – twierdzi autor *Granic niewiary* – nie pociąga za sobą istnienia Boga. Teza o naturalnej jej prawdziwości jest pomieszaniem wypowiedzi *de dicto* (o tym, co odkrywa wierzący) z wypowiedziami *de re* (o tym, jaki jest stan rzeczy). Fundamentalne wyznanie wiary „Wierzę, że Bóg istnieje” nie implikuje wniosku, że „Bóg istnieje”, stwierdza Woleński. Zapytajmy jednak, czy w tym miejscu nie powinno się analogicznie dodać, że także zdanie „wierzę, że Bóg nie istnieje” nie pociąga za sobą wniosku, iż „Bóg nie istnieje”?

W wyniku precyzyjnych formalizacji relacji wiary do wiedzy Woleński proponuje odróżnienie poszczególnych postaw odniesienia człowieka do Boga: (1) stanowisko teisty (wiem, że Bóg istnieje, i wierzę, że Bóg istnieje); (2) stanowisko ateisty (wiem, że Bóg nie istnieje, i wierzę, że Bóg nie istnieje); (3) postawę fideisty (nie wiem, że Bóg nie istnieje, i nie wiem, że Bóg istnieje, wierzę, że Bóg istnieje); (4) stanowisko agnostyka (nie wiem, że Bóg nie istnieje, i nie wiem, że Bóg istnieje, i wierzę, że Bóg nie istnieje); (5) postawę sceptyka (nie wiem, że Bóg istnieje, i nie wiem, że Bóg nie istnieje, i nie wierzę, że Bóg istnieje, i nie wierzę, że Bóg nie istnieje).

Woleński skupia się przede wszystkim na analizie twierdzeń teizmu typu tomistycznego. Teista zrównuje twierdzenie „wierzę, że Bóg istnieje” z „wiem, że Bóg istnieje”. Punktem wyjścia jest wiara, która doprowadza do wiedzy. Jakiej wiedzy? Czy jest to wiedza naukowa, taka jak wiedza o przyciąganiu ziemskim? Moim zdaniem, nie chodzi tu o to, że wierząc w Boga, uzyskujemy naukową wiedzę na temat Jego istnienia. Jeśli jest to wiedza, to w znaczeniu egzystencjalnej pewności, nie ma zatem wymiaru obiektywnego, ale może właśnie na tym polega istota wiary, która nie potrzebuje dla swojego uzasadnienia naukowych świadectw? Zadaniem teisty jest jednak – według Woleńskiego – wykazanie, dlaczego twierdzi, że wiara w istnienie Boga jest równoważna z wiedzą o Jego istnieniu. Tomasz z Akwinu uważał, że istnienie Boga można dowieść rozumowo, ale – dodajmy – oddzielił wiedzę od wiary. W jakim znaczeniu używał więc słowa „wiem”? Na pewno nie w takim, w jakim używa go dzisiaj Woleński. Od Tomasza z Akwinu minęło już kilka wieków, a słowo „wiem” dzięki postępowi nauki ma już nieco inną konotację, czy zatem domaganie się od teisty uzasadnienia owego „wiem” nie jest nieporozumieniem?

Wśród dowodów na istnienie Boga Woleński wyróżnia tradycyjnie: argumenty kosmologiczne (dedukcyjne i empiryczne) oraz ontologicz-





ne. Analizując argumentację ontologiczną, polegającą na przejściu od istoty Boga do Jego istnienia, wśród dowodów praktycznych Woleński wymienia argument Kanta–Dostojewskiego, który ujmuje za pomocą słynnego zdania z *Braci Karamazow*: „Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno” (s. 138). To zdanie równoważne jest z „jeśli wszystko wolno, to Boga nie ma”. Oznacza to, że Boga nie ma wtedy, gdy wszystko wolno, co jest z kolei równoważne ze zdaniem, że Bóg istnieje wtedy, gdy nie wszystko wolno (s. 138). Biorąc pod uwagę zdania: „nieprawda, że wszystko wolno” oraz „coś jest nakazane lub zakazane”, Woleński uważa, że – zgodnie z zasadą Hume’a o separacji zdań normatywnych i nienormatywnych – zdania te nie implikują istnienia Boga (a także istnienie Boga nie implikuje tego, że nie wszystko wolno). Co to oznacza dla wcześniejszych zdań? Oznacza to, że istnienie bądź nieistnienie Boga jest spójne z istnieniem świata anarchistycznego, w którym wszystko wolno, a także z istnieniem świata unormowanego za pomocą praw i obowiązków. Dodanie zdania, że „Bóg jest źródłem zakazów i nakazów”, nie wystarcza do uzasadnienia, że „jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno”, ponieważ może istnieć inne niż Bóg źródło obowiązków. Zdanie to uzasadnia – twierdzi Woleński – tylko to, że nie wszystko wolno według woli Boga. Zasada Kanta–Dostojewskiego przybiera wtedy formę: „Bóg jest jedynym gwarantem zakazów i nakazów moralnych”. Teiści twierdzą, że jest to jedyny sposób uzasadnienia absolutności obowiązków moralnych. W podobny sposób argumentuje Leszek Kołakowski: „Jeśli chcesz mieć absolutne reguły, to musisz przyjąć egzystencję absolutnego Umysłu” (s. 140). Woleński, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie ma innego usprawiedliwienia dla absolutności norm moralnych, podkreśla, że z samego istnienia Boga nie wynikają reguły postępowania, a także że z istnienia tych reguł nie wynika istnienie Boga. Argument Kanta–Dostojewskiego oznaczałby zatem, że absolutność norm moralnych jest niezrozumiała bez religii, a odrzucenie religii pociąga za sobą relatywizm moralny. Z tym Woleński nie chce się zgodzić.

Jak zatem usprawiedliwia absolutne obowiązywanie norm moralnych? Woleński uważa, że po to, aby moralność mogła funkcjonować w społeczeństwie jako „element systemu kontroli społecznej” wartości i reguły absolutne nie są potrzebne. Potrzebne są natomiast wartości i reguły powszechnie przyjmowane. Powszechność ma znaczenie statystyczne i dopuszcza wyjątki. Powszechnie przyjmowane wartości odnoszą się – jak potwierdza empiria – do ochrony życia, zdrowia i mienia ludzkiego, uważa Woleński (s. 207). We wszystkich kulturach i religiach



istnieje tzw. minimum treści prawa natury, a to znaczy, że istnieją pewne podstawowe normy moralne chroniące wartości za pomocą reguł. Brak poszanowania tego minimum przyczyniłby się prawdopodobnie – zdaniem Woleńskiego – do katastrofy społecznej. Uczenie moralności jest zatem sprawą oczywistą, przy czym – co Kościół katolicki, mówiąc o prawie moralnym, traktuje jako rzecz drugorzędną – ludzie kierują się regułami, które są plastycznie modyfikowane w zależności od sytuacji i kontekstu. Woleński twierdzi, że nie ma różnicy w respektowaniu norm i obowiązków moralnych czy to przez wierzących, czy niewierzących. Religia zatem nie jest niczym wyróżnionym, gdy chodzi o pomoc czy źródło przestrzegania norm moralnych, co więcej – jego zdaniem – nie jest w stanie zapobiec występkom nagannym, także wśród duchowieństwa (s. 236).

Woleński z wielką precyzją i starannością analizuje argumentację nie tylko swoją, ale również przeciwnej strony. Wydaje się, że bierze pod uwagę wszystkie możliwe wersje odpowiedzi na problem istnienia Boga. Dziwi zatem to, że nie rozważa argumentacji za prawomocnością przekonań religijnych jednego z najwybitniejszych filozofów amerykańskich, Alвина Plantinga. W dyskusji nad racjonalnością chrześcijańskiego teizmu trudno nie odwoływać się do niego właśnie. Tymczasem Woleński tylko jeden raz wspomina Plantingę, wymieniając go wśród filozofów rozwijających argumentację ontologiczną za istnieniem Boga. Wymawia się tym, że „są to kwestie dość skomplikowane pod względem technicznym” (s. 133), dlatego jego uwagi na temat związków argumentacji ontologicznej z problemami logiki modalnej mają charakter ogólny. Myślę, że dla pełni swych poglądów na temat przekonań religijnych agnostyk Woleński powinien zmierzyć się z teistą Plantingą, który argumentuje za istnieniem Boga, odwołując się do spontanicznie żywionych przez ludzi przekonań. Wśród nich znajduje się nie tylko przekonanie o istnieniu tworców matematycznych takich jak liczby czy o obowiązywaniu praw logiki, ale również przekonanie o istnieniu Boga. Dlatego, idąc tropem Plantinga, moglibyśmy zapytać o to, czemu – skoro istnieją rzetelne władze poznawcze, które pozwalają nam stwierdzić nieistnienie Boga – te same rzetelne władze poznawcze nie miałyby w sposób racjonalny pozwolić nam na stwierdzenie, że Bóg istnieje.

Woleński jako naturalista, który – jak mniemam – przyjmuje prawdziwość teorii ewolucji, może napotkać również trudności tkwiące w samej argumentacji naturalistycznej. Jak pisze Plantinga w swojej najnowszej książce *Naturalism Defeated?*, naturalizm w połączeniu z ewolucjo-



nizmem wydaje się stanowiskiem wewnętrznym sprzecznym<sup>1</sup>. Naturalistyczne wyjaśnienie naszych mechanizmów poznawczych jest samoobalające. Skoro bowiem – jak twierdzą naturaliści przyjmujący prawdziwość teorii ewolucji – system poznawczy człowieka powstał na drodze procesów ewolucyjnych, ich celem zaś jest przetrwanie człowieka, a nie prawdziwość przekonań, możemy wątpić w prawdziwość wszystkich przekonań, w tym również przekonań naturalisty. Przekonania naturalisty, w tym przekonanie o nieistnieniu Boga, nie mogą być wiarygodne. John B. S. Haldane pisał: „Jeśli moje procesy umysłowe są całkowicie zdeterminowane przez ruchy atomów w moim mózgu, to nie mam żadnej racji do przypuszczeń, iż moje sądy są prawdziwe, (...) a zatem także do przypuszczeń, iż mój mózg składa się z atomów”<sup>2</sup>. Do czego zatem moglibyśmy sprowadzić stanowisko naturalisty? W odpowiedzi przytoczę obszerny cytat z prześmiewczego tekstu innego znanego filozofa analitycznego (z którym Ludwig Wittgenstein prowadził dyskusje podczas swojego krótkiego pobytu w Ameryce), Oetsa K. Bouwsmy:

...zbadajmy zdanie Krikoriana: „Dla naturalizmu jako filozofii, uniwersalne zastosowanie metod eksperymentalnych jest przekonaniem bazowym”. Rozważmy zdanie paralelne wobec niego, tyle że na temat sprzedawcy odkurzaczy: „Dla odkurzaczologii jako filozofii, uniwersalne zastosowanie otworu ssącego jest przekonaniem bazowym”. Sprzedawca odkurzaczy może mówić do siebie samego: „Jeżeli kiedykolwiek się poddam [w głoszeniu przekonania bazowego – A.G.], nigdy nie sprzedam żadnego odkurzacza. To jest przekonanie bazowe – podstawa”. Kiedy gospodyni domowa pyta: „Czy można go użyć do sprzątania kurzu z książek?”, odpowiada: „Oczywiście, że można”. A kiedy jej to demonstrowa i okazuje się, że w tym wypadku odkurzaczy nie działa najlepiej, czy sprzedawca nie powinien zaprzeczyć tej uniwersalnej zastosowalności otworu ssącego odkurzacza? Nic z tych rzeczy. Może co najwyżej ponarzekać na siebie, że nie jest dość zręczny lub że to, co gospodyni bierze za kurz, wcale nim nie jest. Uniwersalne zastosowanie otworu ssącego jest teraz kryterium określenia, czym jest kurz. Jeżeli możemy zastosować tu otwór ssący, to oznacza, że jest to kurz. Jeżeli nie, to nie jest kurz<sup>3</sup>.

Oczywiście, aby wykazać, że naturalizm jest postawą uwikłaną w sprzeczności, nie wystarczy wskazanie na jeden cytat, choćby trafnie

<sup>1</sup> A. Plantinga, *Naturalism Defeated? Essays on Plantinga's Evolutionary Argument Against Naturalism*, Ithaca and London, Cornell University Press 2002, s. 205.

<sup>2</sup> J. B. S. Haldane, *Possible Worlds*, s. 209, w: C. S. Lewis, *Cudy. Wprowadzenie ogólne*, tłum. S. Pacuła, Warszawa, PAX 1958, s. 35.

<sup>3</sup> Cytat za: William P. Alston, *What Is Naturalism that We Should Be Mindful of It?*, na stronie internetowej: [http://www.origins.org/articles/alston\\_naturalism.html](http://www.origins.org/articles/alston_naturalism.html), tłum. A. G., s. 10-11.



ujmował on problemy naturalistów. Nie moim jednak zadaniem jest rozwijanie w tym miejscu argumentacji Plantingi wskazującej na pułapki, jakie kryje w sobie stanowisko naturalisty, dlatego poprzestanę na stwierdzeniu, że naturalista nie jest w stanie zagrozić chrześcijańskiemu teizmowi, ponieważ nie uzyskuje tego, co jest wymagane do stwierdzenia, że jest tak, jak myśli. Nie tylko zatem teiści mają problemy z racjonalnym uzasadnieniem swojego stanowiska.

Czytając *Granice niewiary*, zastanawiałam się również nad tym, co decyduje o agnostycyzmie prof. Woleńskiego: niechęć do religii chrześcijańskiej jako takiej czy niechęć do instytucji Kościoła i jego doktryny? Wydaje mi się, że niechęć do Kościoła jako instytucji prezentującej pewną doktrynę, która realizowana jest często w sposób nieudolny, wyprzedza niechęć do wiary jako takiej. Woleński często powtarza, że nie ma nic przeciwko wierze prostych ludzi („w ogólności (...) jestem skłonny znacznie wyżej cenić wiarę zwykłych ludzi niż jej kościelne wydanie”, s. 235). W wielu miejscach podkreśla również, że wśród motywów zmuszających go do odrzucenia istnienia Boga była niemożność racjonalnego wytłumaczenia istnienia zła w świecie, który został stworzony przez pełnego miłości Boga (s. 158). Wydaje mi się, że w dyskusji Woleńskiego z chrześcijańskim teizmem jest wiele emocji, a o kierunku argumentacji profesora nie decyduje tylko czysta logika i czysta racjonalność.

ANNA GŁĄB, ur. 1979, doktorantka w Katedrze Historii Filozofii Nowożytnej i Współczesnej na Wydziale Filozofii KUL.



*połączeństwo nieobojętnych*

Tomasz Wojciechowski

## **Do demokracji przez odpowiedzialność**

**Program „Lider Dialogu - Pokonać Tremę”**

W ostatnim czasie w Polsce spadek zaufania do instytucji publicznych stał się faktem. Dewaluacja wartości demokratycznych powoduje nie tylko osłabienie pozycji rządzących, niski udział społeczeństwa w wyborach, ale także zagraża strukturom społeczeństwa obywatelskiego.

Badania przeprowadzone na uczniach ostatnich klas szkół ponadpodstawowych wskazują, iż w ciągu pięciu lat gwałtownie wzrosła liczba uczniów niezadowolonych z demokracji w Polsce, przybyło także takich, którzy są gotowi zgodzić się na rządy niedemokratyczne. Młodzież nie uczy się demokracji. Stawia na indywidualny sukces, rywalizację, przebojowość, a nie mówi o wspólnocie. Do tego dochodzi niewiedza – młodzi nie do końca rozumieją, czym tak naprawdę jest demokracja. Nie znają też z własnego doświadczenia innych systemów władzy.

Innego myślenia o demokracji nie ułatwia także sytuacja w szkołach, które często przypominają bardziej pole bitwy między nauczycielami a uczniami niż miejsce zdobywania wiedzy i rozwoju umiejętności społecznych. W szkołach dotkniętych zjawiskiem przemocy uczniowie, którzy z własnej woli zdecydują się pełnić jakiegokolwiek funkcje: przewodniczącego klasy, dyżurnego itp., otrzymują od swych rówieśników etykietę „konfidenta” – współpracującego z nauczycielami, co może być powodem szykan ze strony kolegów. Tym bardziej więc problem uczenia demokracji jest złożony, wymaga pracy wielu środowisk, nie tylko szkoły.



Jednym ze sposobów takiego działania jest program „Lider Dialogu – Pokonać Tremę” realizowany przez Stowarzyszenie Ruch Pomocy Psychologicznej „Integracja”. Program ma formę cyklicznego obozu wakacyjnego przeznaczonego dla młodzieży w wieku 14-18 lat. W tym roku realizowana będzie jego trzynasta edycja. Celem projektu jest rozwój umiejętności społecznych uczestników: treningu ról, współpracy w grupie, realizowania pomysłów autorskich, a przede wszystkim podejmowania konstruktywnej odpowiedzialności za innych. Dla kształtowania demokracji ważni są konstruktywni liderzy środowisk, myślący kategoriami interesu publicznego, dobra wspólnego grupy. Takie myślenie nie jest możliwe, jeśli nie doświadczyło się tego, czym jest odpowiedzialność za innych, co się wiąże z podjęciem roli lidera i jakie to niesie konsekwencje.

Dostarczenie takiego typu doświadczeń jest głównym celem programu. Obóz trwa 13 dni. Co roku uczestniczy w nim od 30 do 60 osób, zajęcia prowadzone są przez trenerów rekomendowanych przez Polskie Towarzystwo Psychologiczne. Nad całością czuwa superwizor PTP i autor programu – Zdzisław Kuśnierz.

Praca na obozie składa się z dwóch części: interpersonalnej i zadaniowej. W trakcie pierwszej z nich trwają intensywne zajęcia w grupach. Celem warsztatów jest przygotowanie członków grup do późniejszej pracy zadaniowej poprzez:

- trening komunikacji
- zbudowanie bezpieczeństwa w grupie

Część zadaniowa to przede wszystkim realizacja (w różnych zespołach) pomysłów autorskich/projektów uczestników: filmów, przedstawień teatralnych, happeningów, wydawania gazetek, przygotowywania stron internetowych itp. Celem tej pracy jest nie tyle przygotowanie dobrego filmu fabularnego, ile n a b y c i e u m i e j ę t n o ś c i w s p ó ł p r a c y w z e s p o l e r ó w i e ś n i c z y m, sprawdzenie siebie w roli lidera zespołu czy też osoby organizującej zaplecze. Zajęcia te pozwalają uczestnikom zaistnieć i spróbować swoich sił w działaniach, których wcześniej nie podejmowali, na przykład: aktora, reżysera, menedżera...

Bardzo ważna dla realizowania celów tego programu jest praca tzw. metodą senatu. Uczestnicy codziennie w każdej grupie wybierają spośród siebie dwie osoby – lidera i senatora – których zadaniem jest podejmowanie odpowiedzialności za innych. Lider grupy to osoba odpowiedzialna za poszczególne osoby w grupie, senator jest zaś przedstawicielem grupy we „władzach” obozu.



Senat ma także swój budżet, tak zwaną świnkę (500 zł). Zaskakująca jest racjonalność, z jaką młodzi ludzie podchodzą do dysponowania niewielkimi wprowadziami, ale jak najbardziej „publicznymi” pieniędzmi.

Zarówno senator, jak i lider po skończonej kadencji otrzymują informacje zwrotne dotyczące ich pracy od pozostałych uczestników oraz trenerów grupowych.

Zadania stawiane przed senatorami i liderami są dostosowywane do możliwości uczestników: wynikających zarówno z wieku, jak i indywidualnego potencjału poszczególnych osób. Zwłaszcza że dzięki odpowiedniej pracy trenerów młodzi ludzie sami zachęcają się do podejmowania odpowiedzialności za innych. Dlatego też kadencja „władz” trwa jeden dzień. W zasadzie każdy uczestnik dostaje od grupy możliwość pełnienia jednej z tych funkcji.

Uzupełnienie „metody senatu” stanowią spotkania tzw. społeczności – wszystkich uczestników i trenerów. Na nich podejmowane są decyzje dotyczące zasad funkcjonowania na obozie. Zasadą jest równość praw (głos trenera ma taką samą wagę jak głos uczestnika). Zróżnicowane są natomiast pełnione na obozie role. Podczas spotkań „społeczności” negocjowane – na zasadzie zawierania umów społecznych – są normy życia na obozie, na przykład godziny ciszy nocnej. Uczy to odpowiedzialności za podejmowane decyzje, które nie mogą naruszać praw słabszych. Dla młodego człowieka jest to często pierwsze doświadczenie posiadania wpływu na zasady obowiązujące w otaczającej go społeczności.

Senatorom kończącym kadencję przysługuje prawo wyboru dla siebie zadań, które wiążą się z ich zainteresowaniami i za które są odpowiedzialni do końca programu. Noszą one nazwy ministerstw (np. ministerstwo aerobiku).

Program „Lider Dialogu” to jednak nie tylko rozwój liderów. Konstrukcja zajęć w grupie umożliwia rozwój umiejętności społecznych nie tylko przywódcom, ale i innym wartościowym młodym ludziom borykającym się z różnymi trudnościami w społecznym funkcjonowaniu – z odczuwaniem lęków, obniżoną samooceną, nieśmiałością. Przygotowanie filmu wymaga przecież nie tylko sprawnego reżysera, ale i scenografa, kamerzysty itp. Stąd też drugi człon nazwy: „Pokonać Tremę”. Celem programu jest rozwój umiejętności społecznych: dla jednych będzie to zarządzanie 50-osobowym zespołem, dla innych poradzenie sobie z przeprowadzeniem jednego ćwiczenia dla dzieci.

Młodzi ludzie zmieniają się pod wpływem udziału w tym programie. Nabywają więcej pewności siebie w kontaktach społecznych, na-



bierają wiary we własne możliwości oraz w to, że otaczającą rzeczywistość można zmieniać i kształtować. Uczestnicy programu angażują się często w działania wolontariackie w domach opieki, świetlicach środowiskowych. Zostają przewodniczącymi klas, działaczami młodzieżowych organizacji.

Program przygotowany jest przez krakowski oddział Stowarzyszenia Ruch Pomocy Psychologicznej „Integracja” założonego w 1993 roku. Organizacja ta skupia głównie psychologów, socjologów, pedagogów, nauczycieli. Celem jej działania jest wspieranie zmian za pomocą treningów i warsztatów rozwijających umiejętności społeczne.

Wszelkich informacji na temat programu udziela Katarzyna Pawlikiewicz (0-600 276 110; [kasiencja1@poczta.onet.pl](mailto:kasiencja1@poczta.onet.pl)).

Nasz adres:  
Stowarzyszenie Integracja  
Al. Mickiewicza 3  
31 – 120 Kraków  
[integracja.krakow@free.ngo.pl](mailto:integracja.krakow@free.ngo.pl)



INSTYTUT MYŚLI **T**ISCHNERA  
JÓZEFA



Fundacja „Instytut Myśli Józefa Tischnera”,  
założona w 2003 r. przez Jego uczniów i przyjaciół, stawia sobie za cel  
opiekę nad intelektualnym dorobkiem ks. prof. Józefa Tischnera  
oraz upowszechnianie i twórczą kontynuację  
najważniejszych wątków Jego filozofii.

Już od roku Instytut posiada status organizacji pożytku publicznego,  
co pozwala podatnikom przekazywać na jego potrzeby 1% swojego podatku.  
Wszystkich ludzi dobrej woli zatroskanych o jakość polskiego myślenia  
bardzo prosimy o wsparcie naszej inicjatywy.

Aby wspomóc Instytut, mogą Państwo dokonać wpłaty na niżej podane  
konto za pośrednictwem banku lub poczty.

---

Instytut Myśli Józefa Tischnera  
ul. Stradomska 9/2  
31-068 Kraków  
nr konta: 57103015820000000852613009

Szczegółowe wskazówki znajdują Państwo na stronie [www.tischner.org.pl](http://www.tischner.org.pl)



Piszcie do nas:  
[rok1984@znak.com.pl](mailto:rok1984@znak.com.pl)

Zapraszamy na stronę:  
[www.1984.znak.com.pl](http://www.1984.znak.com.pl)

---

Redakcja rubryki Rok 1984: Michał Godzic, Jakub Lubelski, Katarzyna Marek, Janka Skrzypek, Paweł Szeliga

## PRÓBA MIKROFONU

Drodzy Czytelnicy,

„Nadejszła wiekopomna chwila” ogłoszenia wyników konkursu na tekst o bardzie naszego pokolenia. Bardzo dziękujemy za wszystkie przesłane nam prace. Nie zdecydowaliśmy się przyznać głównej nagrody, niemniej jednak pragniemy wyróżnić teksty Grzegorza Lewickiego i Tomasa Stefanka. Oba teksty przedstawiamy Czytelnikom, a autorom składamy serdeczne gratulacje!

Możliwe, że nasze pokolenie nie ma jednego barda. Możliwe, że taki bard się kiedyś pojawi. Tymczasem o muzyce, autorzytetach, inspiracjach i polskiej scenie fonograficznej rozmawiamy z człowiekiem którego kult nie przemija – Kazikiem Staszewskim.

Następny numer poświęcimy idei dobrego uniwersytetu.

NUMER 9/III 2005

**MAŁO SIĘ INTERESUJĘ  
MUZYKĄ**  
rozmowa  
z Kazikiem Staszewskim

s. 170

**GRZEGORZ LEWICKI  
BARD**olenie

s. 175

**TOMASZ STEFANEK**  
bard naszego pokolenia

s. 178

**MARCIN ŻYŁA**  
nikt już nie jedzie  
do graceland

s. 183

## mało się interesuję muzyką

**z Kazikiem Staszewskim rozmawia Katarzyna Marek**

**KATARZYNA MAREK: W wywiadach przyznaje pan, że pańska publiczność wciąż młodsze. Co takiego jest w tych tekstach i muzyce, że młodzi ludzie chcą ich słuchać?**

**KAZIK STASZEWSKI:** To nie mój odbiorca młodsze, tylko ja się starzeję. Gdy zaczęliśmy swoją przygodę z występami publicznymi, słuchali nas rówieśnicy – studenci. Po latach staliśmy się niejako weteranami, a nasi słuchacze, znajdując w naszej propozycji coś wartościowego dla siebie, zaczynają na przykład przyprowadzać swoje latorośle, by się tym z nimi podzielić.

**Wiele grup zaczynało karierę jako zespoły studenckie, jednak z upływem czasu i muzycy, i słuchacze dorastali, a nowe pokolenia nie interesowały się ich twórczością. Z *Kultem* stało się inaczej.**

Dlaczego mnie słuchają? Chyba z tego samego powodu, dla którego każdy w miarę inteligentny człowiek ma ochotę poświęcić swe pieniądze i czas, aby przyjemnie, a zarazem niegłupio się rozzerwać.

A że ja szanuję mojego słuchacza, to i on szanuje mnie.

Rozmawiałem niedawno z Piotrem Banachem z grupy Hey na temat marginesu kulturowego stanowiącego opozycję do tego, co się bełkocze i pokazuje w telewizji. Istnieją artyści – którzy, mimo że w mediach nie występują wcale lub pojawiają się tam bardzo rzadko – są w stanie przyciągnąć całkiem sporo publiczność. Dżem, Kult, Pizdama Porno, Indios Bravos i Wojciech Waglewski grają dla tych, którym nie wystarcza to, co serwuje się w mass mediach. Jesteśmy trochę jak moje ulubione chińskie napoje z galaretkami w środku, dostępne w bardzo niewielu sklepach – może ośmiu w całej Warszawie. Żeby je znaleźć, potrzeba sporo wysiłku. Tymczasem pepsi-colę i coca-colę z łatwością kupisz wszędzie.

**A może słuchanie muzyki niszowej jest przejawem snobizmu?**

Myszę, że nie. W maju 2004 odbył się w Warszawie koncert Gentlemana – niemieckiego wokalisty reggae, który mieszka na Jamajce. Nie istnieje on w mediach polskich ani europejskich, ani nawet amerykańskich. A jednak na tym koncercie był dziki tłok. To dlatego, że spora publiczność, która – nie czekając, aż ktoś poda produkt na srebrnej tacy – sama szuka muzyki dla siebie (ci ludzie stanowią mniejszość, ale liczącą się). Ja też w młodości jej szukałem, aby nie być skazanym na powszechnie dostępne Boney M. czy Demisa Roussosa. Mnie akurat zainteresowali kolorowi koledzy z czerwonymi włosami i agrafkami w uszach, czyli punk rock.

Mojej muzyki też, jak sądzę, słuchają ci, którzy są w stanie zdobyć się na wysiłek i rozejrzeć się za czymś ciekawym.

### **Czy to takie ważne, dla kogo się śpiewa?**

Najważniejsze, by być w zgodzie z samym sobą, czyli oferować, jak to brzydko nazwę, produkt, który satysfakcjonuje mnie samego jako twórcę. Ale jest mi bardzo miło, jeśli okazuje się, że wielu innym osobom też wydał się on interesujący. To, poza materialnymi zyskami, ma znaczenie ambicjonalne. Bez audytorium nie istnieję jako twórca i cała moja filozofia traci sens.

### **Ale „jakość” audytorium też ma dla pana znaczenie?**

Już dobór repertuaru selekcjonuje odbiorców. Najpopularniejsze w tym kraju i na świecie są proste w odbiorze śmieci, typu: Ich Troje, Britney Spears i Anastacia. Dla ich publiczności jestem kimś zupełnie bezwartościowym. Natomiast ci, którzy nie dają sobie wepchnąć w gardło byle czego i nie kupują kultury globalnej, akurat na terenie od Bugu do Łaby są moimi krewnymi. Oni oglądają w teatrze spektakle Jarzyny, a do kina idą na *Pręgi*. Nasza sztuka istnieje obok tego, co popularne, i w jakimś stopniu może wpływać także na tłuszczyk, że się tak brzydko wyrażę.

### **Sztuka ma zatem jakąś misję?**

Nie jestem aż takim optymistą, by twierdzić, że muzyka zmienia historię. Jedyny przykład, jaki znam, to piosenka z Portugalii, z czasów Rewolucji Goździków – *La vida de morena*. Żołnierze wiedzieli, że gdy usłyszą tę pieśń w radiu, mają ruszać na Lizbonę.

Ja z wiekiem uświadamiam sobie coraz wyraźniej: artyści są błaznami. Po pro-

stu dostarczają ludziom rozrywki. Pamiętamy jednak, że na niejednym dworze błazen bywał bardzo istotnym komentatorem, ba, nawet doradcą króla. Studiując socjologię, dowiedziałem się, że człowiek ma pewien zasób potrzeb, które dzielą się na dwa rodzaje: potrzeby pierwszego rzędu warunkujące przeżycie i potrzeby drugiego rzędu wiążące się z przyjemnością. Sztuka należy do potrzeb drugiego rzędu.

### **Kaczmarek śpiewał Mury tylko po to, by sprawić ludziom przyjemność?**

Pamiętam, jak w akademiku staliśmy z pięściami uniesionymi do góry, śpiewając: „Wyrwij murom zęby krat!...” Oczywiście, zdarzają się niezwykle emocjonalne utwory, które potrafią w pewnych okolicznościach porwać tłumy. Zwykle jednak sztuka funkcjonuje na zasadzie znaku czy sugestii, nie ma realnej mocy, by obalać dyktatury. Dodam, że poziom intelektualny człowieka w dużym stopniu generuje rodzaj jego rozrywki – to przecież jasne jak słońce.

### **Czasem to jedyny sposób walki, na jaki można sobie pozwolić w danej sytuacji.**

Gdy byłem młodszy, wydawało mi się, iż rzeczywiście zdołam „zburzyć mury” i „wyrwać zęby krat”. Teraz jestem realistą: losy świata toczą się swoją koleją. Doszedłem do wniosku (który daje mi pewien komfort psychiczny), że nie zgadzam się na rzeczywistość, w jakiej żyję. Dlatego jako twórca przede wszystkim ją neguję. Nie uprawiam dialektyki pozytywnej, bo nie umiem podać żadnych budujących rozwiązań na przyszłość. Wiem, co idzie źle, natomiast, jak sprawić, by szło dobrze, to już niekoniecznie. Jestem tak głupi jak cała reszta. Znalezienie własnej indywidualnej harmo-

nii życiowej to już jest trud nie lada, gdzie tu rozwiązania na miarę globalną? Irytuje mnie wyjątkowo, gdy widzę tych zakompleksionych koniobijców nieradzących sobie ze swym własnym jestestwem, którzy próbują (albo raczej udają, że próbują) rozwiązywać problemy natury ogólnospołecznej. Ale czy artysta może w ogóle przewidywać pozytywny rozwój wydarzeń? Jak dotąd niewielu się to udało. Dlaczego więc mnie miałyby się udać?

A czasem wydaje mi się, że monarchia była dobrym ustrojem...

### **Których muzyków naszego pokolenia lubi pan słuchać?**

Naszego? [Kazik wskazuje na siebie]

### **Mojego. [wskazując na siebie]**

A z jakiego jesteś rocznika?

### **Z 1983.**

Słuchaj, to dla mnie zupełny kosmos! Pamiętam niemal jak dziś mistrzostwa świata w piłce nożnej z 1982. Oglądaliśmy z Piotrem Wieteską mecz Polska–Peru i umówiliśmy się tak: jeśli Polacy strzelą bramkę, każdy z nas wypije po setce. Pech chciał, że strzelili pięć goli w drugiej połowie!.. Więc gdy mi mówisz, że się urodziłeś w 1983 roku, zupełnie się załamuję.

Właśnie pracuję nad muzyką do filmu i na tym poletku jest to moje rozprawczenie. Tuż przed Wigilią zintegrowałem się przy wspólnej biesiadzie z chłopakiem, który gra tam główną rolę. Jemy tatara, sałatki, wódkę pijemy. W pewnej chwili rzucam pytanie: „Który ty jesteś rocznik?”, a on mówi: „Osiem trzy”. Po prostu odpadłem! A przecież mam asumpt do tego, by czuć się młodym.

### **To rzeczywiście straszne, ale czy na młodej scenie muzycznej są jacyś artyści, którzy mogliby przejąć pałeczkę po Kulcie i Dżemie?**

Generalnie mało się interesuję muzyką. Przez ostatnie dwa lata zajmowałem się swoją solową płytą. Pierwszą, którą zrobiłem samodzielnie od początku do końca. Byłem producentem, realizatorem dźwięku, aranżerem... Zajęło mi to masę czasu i skutecznie oderwało od słuchania czełkówek.

### **Czy pokoleniu obecnych dwudziestolatków w ogóle potrzebni są bardowie?**

Myszę, że każdy człowiek, a szczególnie młody, potrzebuje autorytetu, prawd i miłości. Kogoś, na kim mógłby się oprzeć i kto pomógłby mu stawić czoła coraz groźniejszemu światu. To może być bard, to mogę być ja albo, niestety, także Roman Giertych.

Zmiana systemowa w tym kraju pociągnęła za sobą zmianę ekonomiczną i socjologiczną. Dokonała destrukcji wartości niezwykle ważnej – rodziny. Dziś młodzi, gdy zaczynają samodzielnie myśleć i działać, dostrzegają obok siebie dwoje obcych ludzi, którzy ich splotzili i dają im jeść. Tylko tyle. Wtedy szukają miłości poza domem, gdzie bądź, bo bez niej czują się zagubieni i bezwartościowi. Czasem wydaje im się, że znajdują ją u szefa skinheadów albo innego skurwysyna.

### **Kto był dla pana autorytetem?**

Muzycznym – zimna fala: Ian Curtis z Joy Division, Bauhaus i Killing Joke. Byłem punkowcem i miałem precyzyjnie zdefiniowanego wroga: system jako taki. Oczywiście, tu, na miejscu, był to komunizm.

Zawsze sobie tłumaczyłem, że gdybym mieszkał w Anglii Margaret Thatcher, buntowałbym się przeciwko niej.

Potem wymieszałem punka z reggae. Do tego doszły studenckie melanże i lawiny idei zewsząd, które nadzwyczaj chętnie spuszczali bardziej doświadczeni i starsi. Przez długi czas nie działo się nic pozytywnego. W końcu przypadkiem zetknąłem się ze świadkami Jehowy i wtedy dopiero powstał melanż! Z jednej strony postawa anarchistyczna (choć byłem punkowcem raczej z uwielbienia estetycznego niż ideologicznego, bo wcale nie pociągała mnie wizja społeczeństwa bez jakiegokolwiek władzy), z drugiej strony Bob Maley. A z trzeciej świadkowie Jehowy...

Moim największym może autorytetem artystycznym był przez chwilę Robert Brylewski, z którym chodziłem wcześniej do tej samej szkoły średniej. Wydawał mi się artystą skończonym: do czegokolwiek się zabrał, powstawały rzeczy zajebiste, by nie powiedzieć genialne.

### **Czy bard naszego pokolenia mógłby być naszym rówieśnikiem?**

Możliwe jest znalezienie autorytetu i wykładni postępowania wśród artystów sceny hiphopowej. Mam dwóch synów: dwudziesto- i osiemnastoletniego. Od młodszego dowiedziałem się, że dla niego taką wykładnią jest zespół Molesta. Koledzy, owszem, sympatyczni i inteligentni, ale – w mojej ocenie – raczej chuliganerka. Niemal zawsze sądziłem, że to „niepozytywne wibracje”. A dla mojego syna to bardzo pomocne i mądre myśli. Ale moja ulica to nie jest. Natomiast zgadzam się, że każdy z nas żyje w innej bajce, a mimo wszystko się kochamy i jesteśmy rodziną.

Chłopcy z Molesty nie są bardami całego pokolenia, ale myślę, że taki bard się pojawi.

### **Co musi zrobić młody człowiek, który chce zaistnieć na scenie muzycznej?**

Kiedy zaczynałem przygodę z muzyką, wcale nie wiedziałem, co trzeba zrobić, by to osiągnąć. Moja młodość była dosyć nietypowa i niekompatybilna, a jednak losy potoczyły się szczęśliwie. Gdy miałem dwie dychy, okazało się: jest dziecko i trzeba się żenić, za poważne sprawy zabierać. Przez pierwszych trzynaście lat nie przypuszczałem, że pisanie i granie muzyki będzie moim konkretnym i pierwszoplanowym zajęciem. Zajmowałem się tym amatorko, to hobby kręciło mnie (i kręci do dziś), ale mama, teściowa i nauczycielki pytały: „Kiedy zajmiesz się czymś poważnym?”. Stawanie się osobą publiczną wymagało ode mnie podjęcia wielu decyzji. Odkładałem to, przedłużałem sobie dzieciństwo. Bardzo długo robiłem wiele rzeczy naraz, myślałem: kiedyś skończę grać, obronię się na socjologii... Byłem wtedy na tyle głupi i niedojrzały, że uciekałem przed radykalnymi wyborami.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć: recepty na sukces nie ma. Gdy ktoś w młodym wieku chce podbić rynek muzyczny i stawać oko w oko z publicznością podczas koncertów, musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czego tak naprawdę chce. Jeżeli zależy mu na pieniądzach i chce być gwiazdą na nasz prowincjonalny sposób (bo w Polsce nie ma mowy o gwiazdstwie światowym), nie mamy o czym rozmawiać. Jeśli jednak ktoś ma talent, jest zdecydowany i wie, co chce w muzyce osiągnąć, mógłbym mu coś poradzić. Ale wcale nie jest pewne, że uda mu się wejść na drogę, jaką sobie wytyczył.

### **Jak branża muzyczna pozwala zaistnieć młodemu muzykom, potencjalnym bardom?**

Czymże jest branża muzyczna w tym kraju? To zgraja niekompetentnych ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia, co dla potencjalnej publiczności może być trafione. To sprzedawcy kartofli, niezrealizowani muzycy i dziennikarze bez osiągnięć. Nie pomagają młodym, ale i nie pomagają starym. Patrzą wyłącznie z perspektywy zysków i strat. Piotr Banach opowiedział mi, jak próbował podpisać kontrakt z *Universalem*. Przeszedł do ich biura i mówi: „Chcemy wydać płytę. Od półtora roku mamy komplety na koncertach”. A ci specjaliści z branży muzycznej pytają: „Taaak?”. To niewiarygodne. Ludzie zatrudnieni w międzynarodowym koncernie fonograficznym powinni takie rzeczy wiedzieć. Tymczasem oni – półświatek, który generuje kulturę popularną – kompletnie biernej tłuszczy wypychają do gęby plastikową papkę. Najpopularniejsi wykonawcy w Polsce to wataha obskakująca bankiety i rauty, gdzie serwują swoją muzykę między kotлетem a wódką, gardząc do końca towarzystwem, przed którym idzie im się prezentować, ale czynią to, bo na ich występ w formule normalnego koncertu nikt nie kupi biletu. A prawdziwa hierarchia na rynku jest zupełnie inna.

Niestety, to jednak międzynarodowe koncerty w dużym stopniu tworzą rzeczywistość medialną. Nie wdają się w „lokalne” niuanse i lansują wszystko, co centrala na Zachodzie uważa za najlepsze. Wypracowane przez wytwórnie fonograficzne sztanace przykładają się też do miejscowych muzyków i machina promocyjna rusza.

### **Czym różni się polskie realia od zachodnioeuropejskich?**

Co raz próbuje się promować jakąś mniej lub bardziej atrakcyjną dupencję albo gładkiego mydłka, ale nie udaje się z nich

zrobić gwiazdy. Na Zachodzie wzór stworzony przez specjalistów, tak zwanych kreatorów wizerunku publicznego, jest tykany w 95 procentach. Jeśli powiedzą o kimś „cool”, lud myśli: „To naprawdę cool gość!”. W Polsce społeczeństwo nie ufa bezkrytycznie mass mediom. Może to jedyna pozytywna lekcja, którą, trochę bezrefleksyjnie, ale jednak wynieśliśmy z czasów komuny. Mamy zakodowane w świadomości, że telewizja kłamie i lepi postaci publiczne, jakie chce.

### **A pan wspiera młodych?**

Nie czuję się poszukiwaczem nieodkrytych talentów. Po naszej rozmowie nie będę łowił po kanciapach interesujących muzyków, to nie moja bajka. Natomiast wśród rzeczy, które ludzie mi przysyłają, trafia się sporo dobrych. Jeśli coś mi się spodoba, pomagam temu dotrzeć do szerszego audytorium. Ale to wyjątki. Wszyscy ci, którzy mnie szczególnie zainteresowali – jak Ztvorki, Zacier czy MC Kobas – później zaistnieli. A że ludzie nie chcieli tego kupować, to zupełnie inna historia.

Nie będę sobie roił, że mam jakąś misję i muszę pomagać młodym. Młodość nie jest żadną zaletą. Dla mnie ważna jest nośność samej sztuki.

KAZIK STASZEWSKI, ur. w Warszawie, w tym roku obchodzić będzie 42. urodziny. Ma żonę Annę, dorosłych synów Kazia i Janka. Od 16. roku życia tworzy muzykę, najpierw z zespołem Poland, potem z Kultem i KNŻ oraz pod nazwą „Kazik”. Wydał grubo ponad 20 płyt o takiej różnorodności stylów i treści, że podziwiają go młodsze i starsze pokolenia. Mówi się, że tekstami „dotyka przedpiekieł ludzkiej duszy”.

GRZEGORZ LEWICKI

## BARDolenie – czyli o bardów deficycie i globalizacji w rozkwicie

Jego palce z łatwością i lekkością ślizgały się po gryfie. Gdy śpiewał, wypływające z instrumentu dźwięki zdawały się rozlewać wokół i unosić zgromadzonych w wir pradawnej historii. Kiedy skończył ostatnie akordy refrenu, klienci tawerny wciąż stali w osłupieniu, wpatrując się w niego błędnym wzrokiem. – To było... pięknie – zdołał wydusić z siebie gospodarz i z wdzięcznością wcisnął w dłoń Owyna garść złotych monet (por. *Betrayal at Krondor*, gra RPG, oparta na prozie fantasy Raymonda Feista).

Owyn, bohater powieści Raymonda Feista to znany z literatury *fantasy* archetyp charyzmatycznego barda – utalentowanego poety i pieśniarza potrafiącego poruszyć i dosłownie oczarować słuchaczy. Wiele w życiu widział, zna się po trochu na wszystkim, a poznawanie świata interesuje go bardziej niż dbanie o pełną sakiewkę. Jest skarbnicą różnych opowieści, niezrównanym gawędziarzem znającym dawno zapomniane historie, dodającym otuchy swoim towarzyszom. Tradycyjnym instrumentem barda jest lutnia – instrument szarpany z pudłem rezonansowym w kształcie przepołowionej gruszki, spopularyzowany w Europie w średniowieczu, a wywodzący się z krajów arabskich. Czeczeńscy bojownicy, afgańscy talibowie czy egipscy bojówkarze wciąż posiadają swoich bardów, podczas gdy ponowoczesnym Europejczykom zaczyna ich brako-

wać. Polska nie jest tutaj wyjątkiem – nie ma i w najbliższej przyszłości nie będzie mieć swojego barda. I nie jest to niczyja wina – deficyt bardów to jeden z tych deficytów, za których powstanie możemy winić nie siebie, lecz historię.

Proces historyczny, który zainicjował to zjawisko, ma swój początek w roku 1989, kiedy to Polska z rąk moskiewskich aparatczyków została przekazana w tłuste łapska architektów globalizacji. Lokalni krzewiciele patriotyzmu i idealisci ostrzegający przed moralnymi konsekwencjami postępowania byli potrzebni za komunę – w czasach represyjnych, gdy poczucie misji musiało być stale pielęgnowane przez wzgląd na skłonność jednostki do ulegania własnym słabościom. Bard był kowalem wykuwającym poczucie narodowej wspólnoty i historycznej ciągłości „Nam do obrony dany pamięć pancierz nasz; więc choć za ciosem pada cios i wróg posiłki śle w konwojach, nas przed upadkiem chroni wciąż – zbroja” – śpiewał Jacek Kaczmarski. Po 1989, gdy zniknęło zagrożenie, ta zbroja z hartowanego sumienia przestała być potrzebna i pokolenie walczące z systemem najzwyczajniej w świecie ją zdjęło, z namaszczeniem odkładając w kącie.

A nam, obecnym dwudziestolatkom, zbroja nie była w ogóle potrzebna. W sychłkowym okresie komunizmu mieliśmy mniej więcej po 5-6 lat i nie pamiętamy dokładnie tamtych zdarzeń. Kiedy burzono mur berliński, być może siedzieliśmy na dywanie i podobny mur budowaliśmy sobie z drewnianych klocków. Gdy w telewizji mówiono o wyzwoleniu Polski spod wpływów Sowietów, my doniosłość tej sprawy kontemplowaliśmy, puszczając po podłodze resoraki. Komunizm znamy jedynie z książek oraz rodzinnych opowieści, a w dorosłość wkraczali-



śmy, czerpiąc już garściami z możliwości ofiarowanych nam przez wolny świat. Nowe czasy zatarły w nas jednoznaczny podział na zło i dobro, a nasze pokolenie mogło wybierać własne ścieżki postępowania, oczyszczone z moralnego manicheizmu poprzednich dekad. Jeśli chodzi o ideologię, mogliśmy wybierać i zostawać, kim chcemy – hedonistami, konserwatystami, erudydami, transwestytami, nihilistycznymi katolikami lub nawet entuzjastycznymi ramolami. Wielkie spektrum wyboru! Stało się tak, ponieważ wzniosła idea jednocząca społeczeństwo została zastąpiona przez zgrabny, acz płytki postulat liberalny: rób, co chcesz, jesteś tego wart! A skoro wszystko wolno, po cóż nam jest bard?

Gorzka prawda jest taka: on po prostu przestał być potrzebny. Wyjaśnienie to może zdawać się z pozoru trywialne, ale przykład naszego ostatniego barda – Kaczmarzkiego – tylko je potwierdza. Gdy nastały czasy muzyki komercyjnej, prywatne rozgłośnie przestały grać jego piosenki, bo nie pasowały do nowego, popkulturowego trendu. Niegdyś poruszający tłumy śpiewak stał się nagle twórcą, który został zaklasyfikowany przez marketing muzyczny jako „wykonawca niszowy”. Wprawionemu w hartowaniu dusz Jackowi Kaczmarzkiemu przez pewien czas ciężko było ten wir przemian zrozumieć. „Obaj pamiętaliśmy wypełnione hale Olivii, Wisły i inne w 1989 roku. Ty chciałeś, żeby tak było zawsze. Ja wiedziałem, że tak mogło być tylko raz” – napisał po latach Tomasz Kopec, szef Polskiej Fundacji Muzycznej.

Miał całkowitą rację – tak mogło być tylko raz, bo w stabilnym społeczeństwie, gdzie większość rozterek egzystencjalnych wypierana jest przez te czysto materialne, grający na strunach uczuć wysokich pieśniarz raczej nie znajdzie sobie zbyt duże-

go audytorium. Pop-kultura dąży do homogenizacji, a kreowana przez nią rzeczywistość ściśle wyznacza granice akceptowalnego przez masę indywidualizmu artysty. Pieśni barda są atrybutem kultury wysokiej albo przynajmniej offowej. Gdyby zrobić mały eksperyment i promować kulturę wysoką w prywatnych telewizjach muzycznych, zapewne skończyłoby się to spektakularną, finansową klapą, bo duża część społeczeństwa by jej po prostu nie zrozumiała. Sam byłem kiedyś świadkiem sytuacji, kiedy stylizowana na Britney Spears dziewczyna przeglądająca artykuł poświęcony miłości – o dziwo! – platonicznej zapytała swą smerfetkową towarzyszkę: „Ty, a co to jest ta miłość płatnicza?”. No cóż, można by oczywiście powiedzieć, że to przejęzyczenie albo pomyłka spowodowana brakiem polskiej czcionki w artykule, ale powód jest chyba inny. I nie jest bynajmniej związany z brakiem zainteresowania filozofią wśród młodzieży! Przeciwnie, większość młodych natógowo dzisiaj czyta filozofię, tyle że zamiast po dzieła Platona sięga po dzieła innego filozofa – Planktona, którego tworzone w popkulturowym esperanto konstrukty myślowe dość łatwo objąć umysłem między jedną a drugą rozrywką i wrzucaniem kolejnego kwasika. Świadomy zachodzącej w społeczeństwie zmiany świadomości Kaczmarzki ostatecznie sam przyznał: „Gram dla tych dziesięciu czy siedmiu procent widzów, którzy nie chcą zagłuszyć się rytmem, nie szukają w sztuce sposobu na zabicie czasu, ale inspiracji do myślenia”.

Siedem procent. To wcale nie tak mało, ale większość osób pretendujących dziś do miana artysty woli raczej bratać się z odbiorcą masowym. Warunki rynkowe wymuszają pogodzenie autentyczności i chęci wyrażania siebie z żelaznymi zasadami kapitalizmu. Znalazienie barda

będzie niezmiernie trudne, ponieważ, jak trafnie zauważył Patrick Kiger: „mimo że mamy więcej rzekomych artystycznych geniuszów niż kiedykolwiek, ich spuścizna jest coraz bardziej przeciętna” („Forum” nr 13/2004). Kiedyś międzynarodowych nagród muzycznych było kilka – dziś jest ich kilkadziesiąt. Dzisiaj grających na lutni Owyna zastąpił samplujący na komputerze didżej oraz hiphopowiec „robiący bity i nagrywający płyty”. Razem produkują hity.

Jednak wysyp przeciętnego geniuszu w muzyce nie oznacza wcale, że należy spisać na straty jakiegokolwiek próby poszukiwania barda. Kandydatów jest mnóstwo. Do tych samozwańczych, ba – do tych pozujących często na trzynastego apostoła polskiej muzyki w ogóle – zalicza się wielu hiphopowców (dbając o polityczną poprawność, postaram się nie wskazywać na konkretne osoby). Otóż analizując polski hip-hop, można spotkać się z pewnymi zaskakującymi statymi elementami przekazu. Oprócz ubolewań nad szarością i beznadzieją życia w betonowym blokowisku wśród dorobku hiphopowych wykonawców znajdziemy zaskakująco wiele peanów na cześć własnego sukcesu, własnej wyjątkowości i własnej osoby w ogóle („talent, charyzma, kariera jak Nikodem Dyzma!”). Szczegółowe wątki autobiograficzne wplatanie są gęsto między strofy utworów, bo większości z setek tych co najwyżej przeciętnych wykonawców wydaje się, że ich twórczość w sposób bezprecedensowy wzbogaca polską kulturę... Mając w pamięci wizerującą z hiphopowych tekstów rozbuchaną próżność, można by nawet pójść o zakład, że wielu wykonawców tego typu muzyki (dywagacje w stylu: „czy hip-hop jest muzyką?”, pomijamy) naprawdę czuje się bardami młodego pokolenia, którzy lutnię zamienili na mikrofon i sampler. Niestety, jako że bard

to człowiek śpiewający o rozterkach pokolenia, a nie tylko jednej subkultury, to chociażby ze względu na ograniczony zasięg poruszanych treści hip-hopowcy bardami nigdy nie będą. Nawet, jeśli bardzo by tego pragnęli.

Zglądając na scenę muzyki rockowej i alternatywnej, również dałoby się wyłowić wstępnych kandydatów na bardów. Piętnujący zepsucie polityki („osobowość autorytarna, każdy polityk to świnia marna”) i zakłamanie współczesnego świata Kazik Staszewski już jakiś czas temu przystoczył się w błyskotliwego moralistę-socjologa i tej roli się trzyma. Nic dziwnego – wszak doskonale się w niej sprawdza. Z kolei kpiący z konsumpcjonizmu, na przemian ironicznie, błazeński i abstrakcyjny zespół T-Love Muńka Staszczka ma w sobie za mało powagi, aby móc zostać piewą rozterek pokoleniowych. Podobnie z Pawłem Kukizem, który po nagraniu całkowicie komercyjnej płyty z Janem Borysewiczem postanowił przypomnieć o swojej buntowniczej naturze, wydając *Piracką płytę*. Ciekawym kandydatem na barda mógłby być również Maciej Maleńczuk, ale zachłystnął się własną popularnością. Mimo trafnych uwag na temat współczesnych procesów społecznych („polityka kulturalna, słodka ptakanka móżgowa, dyskretna presja radiowa”) obserwowanych przez pryzmat swojego poplątanego życiorysu, Maleńczuk w wyniku swoich prymitywnych, często nastawionych na efekt zachowań (np. porównywanie swojej książki *Chamstwo w państwie* do *Pana Tadeusza* albo prostackie odzywki w telewizji) został zaklasyfikowany przez część sceny muzycznej jako „megaloman z kompleksami”, co jakiś czas temu rzeczywiście zaczęło do niego pasować.

Można też powiedzieć, że ostatecznie wspomnianych wyżej artystów dyskwalifikuje już sam wiek. Wszyscy oni są już do-

brze po czterdziestce i uznawanie ich za głos pokolenia dwudziestolatków byłoby trochę nie na miejscu. Poza tym, powyższe rozważania można by kontynuować jeszcze długo, bo różne subkultury i środowiska widzą swojego barda w kimś innym. A zatem – albo mamy wielu bardów (co jest wątpliwe nawet logicznie, bo słowo „bard” niesie w sobie duży ładunek wyjątkowości i niepowtarzalności, który „wielość” by dewaluowała), albo nie mamy ich wcale.

Bard pokolenia '84 musiałby być osobą, której czas dorastania przypada na lata dziewięćdziesiąte, musiałby być kimś, kto poznał dylematy nowego pokolenia i stara się wznieść ponad podziały subkulturowe. Jego poszukiwanie da się w zasadzie ująć w kategorii dialektyki – obecnie jesteśmy na etapie ścierania się różnych koncepcji pokoleniowych, z których być może kiedyś wyłoni się jakaś spójna synteza. Twórczość Jacka Kaczmarskiego na pewno pomoże wielu ludziom naszego pokolenia w wychowaniu dzieci. Czy twórczość kogoś urodzonego w latach 80. będzie równie pomocna? Jeśli tak, to znaczy, że bard odnajdzie się mimochodem – za jakiś czas wyłoni go kulturowa dialektyka. Mimo galopującej globalizacji i braku sprzyjających okoliczności historycznych takie poszukiwania warto kontynuować, bo zawsze jest jakaś nadzieja na sukces. Zwłaszcza że – jak śpiewał nieodżałowany Kaczmarski – „póki słońce świeci, wciąż będą rodzić się poeci”.

GRZEGORZ LEWICKI, student II roku stosunków międzynarodowych Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. J. Tischnera w Krakowie.

TOMASZ STEFANEK

## bard naszego pokolenia

W polskiej tradycji historycznej, kulturowej, a do pewnego stopnia również politycznej, pojęcie „barda” pełni niezwykłą rolę. Ma to, wydaje się, coś wspólnego z naszym charakterem narodowym, chociaż ten termin w rodzimej publicystyce nie cieszy się obecnie wielką popularnością. Rafał Ziemkiewicz, na przykład, w ogóle nie wierzy w istnienie takiego zjawiska, przekonując, że zachowania i myśli ludzi nie są zdeterminowane przez ich pochodzenie<sup>1</sup>. Trudno jednak nie zauważyć, że kultura, częściowo zawsze narodowa, w której człowiek wychowuje się i dorasta, odciska na nim jakieś piętno. Jeśli nie dotyczy to całego społeczeństwa, to przynajmniej jego opiniotwórczych elit, które potem wpływają na sposób myślenia innych. Mówiąc zaś o polskiej tożsamości narodowej, nie sposób pominąć literatury romantycznej jako jej istotnego elementu. Z romantyzmem, będącym w szerokim rozumieniu tego słowa pewną koncepcją postrzegania rzeczywistości bardzo bliską większości Polaków, łączy się sylwetka poety-wieszczka. A według Władysława Kopalińskiego to w literackiej przemośni nikt inny jak właśnie bard<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Rafał A. Ziemkiewicz, *Polactwo*, Lublin 2004, s. 7-8.

<sup>2</sup> Władysław Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, Warszawa 1988, s. 78.

Przed przystąpieniem do refleksji nad osobą barda pokolenia obecnych dwudziestolatków warto zatem zastanowić się zarówno nad znaczeniem tego terminu w polskim kontekście historyczno-literackim, jak i nad cechami oraz rolą naszych dotychczasowych bardów. Ich zadaniem było, mówiąc najogólniej, przenoszenie dylematów, myśli, aspiracji całego pokolenia na język artystyczny, język literatury. Polski poeta-wieszcz był jednak kimś więcej. Nie tylko opisywał rzeczywistość, ale również tłumaczył przeszłe wydarzenia, tworząc koncepcje historyzoficzne, a nawet starał się wpłynąć na bieg wypadków. Znamienne są przecież słowa, które w noc wybuchu Powstania Listopadowego pojawiły się na murach Belwederu: „Słowo stało się ciałem, a Wallenrod Belwederem”. Mickiewicz i Słowacki nie tylko rejestrowali to, co działo się z narodem, lecz pragnęli mu przewodzić, domagali się „rzędu dusz”. Bard stawał zatem na pierwszym planie, podporządkowując swej twórczości oraz swej osobie sferę szeroko rozumianej polityki. O tych aspiracjach świadczy również rzeczywiste, osobiste zaangażowanie obu poetów na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości. Słowacki, w nieco innej już roli, pozostawał zresztą bardem pokoleń, które następowały długo po jego śmierci. Piłsudzczyki walczyli z tomikami jego poezji na piersiach, a o przywiązaniu pokolenia żołnierzy AK do jego twórczości wie każdy, kto czytał *Kamienie na szaniec*.

Bardem „Solidarności” został, nie do końca z własnej woli, Jacek Kaczmarski. Była to już poezja śpiewana, forma z jednej strony bardziej nowoczesna, trafiająca do szerszego kręgu odbiorców, z drugiej stanowiąca powrót do korzeni terminu „bard”, który pierwotnie oznaczał celtyckiego poetę-pieśniarza z harfą. Kacz-

marski, abstrahując już od jego dość specyficznej osobowości, był bardem zupełnie innym niż romantyczni poeci. Nie stał w centrum istotnych dla Polaków wydarzeń, więcej – w ogóle w nich nie uczestniczył. Obserwował rzeczywistość z całą jej ówczesną dynamiką, pisał i śpiewał o tym, co przeżywa, a ludzie trochę przypadkiem odnajdowali w jego twórczości myśli i pragnienia będące udziałem całego pokolenia. Na koncertach tworzyli wspólnotę jednego celu, z jego głosu czerpali siłę i odwagę, ale on sam znajdował się raczej z boku tego, co się działo.

Trzech artystów, trzy sylwetki polskich bardów. Słyszę już głosy polemiki: jak można Jacka Kaczmarskiego stawiać w jednym szeregu z autorami *Dziadów* i *Kordiana*? Odpowiadam, że nie ma w tym nic zdrożnego, bo nie chodzi przecież o wartość artystyczną ich poezji, lecz o związek utworów ich autorstwa z myślami i uczuciami pokoleń odbiorców. Warto więc zadać pytanie, co łączy historycznych polskich bardów. Rzecz bardzo charakterystyczna: zainteresowanie sprawami narodu, jego duchem, współczesną kondycją i aspiracjami, często jak najbardziej politycznymi. Dzieje się tak, bo pokoleniowy bard pojawia się, aby przekładać na język sztuki, werbalizować dążenia ludzi jednej generacji, zjednoczonych w poparcie pewnej idei lub zbuntowanych przeciwko jakiemuś stanowi rzeczy. A Polacy, konstatacja dość banalna, w swej historii występować i działać wspólnie potrafili jedynie w krytycznych momentach zagrożenia narodowego bytu. I tak poeci, którzy pisali o niepodległości i sposobach jej odzyskania, cieszyli się ogromną popularnością w okresie zaborów, okupacji czy PRL-u, a ich strofy znana i powtarzana zdecydowana większość Polaków – rzecz można, całe pokolenia. W XIX wieku od-

zyskania niepodległości pragnęli wszyscy, pozostawało pytanie: jak? W roku 1980 do „Solidarności” zapisało się 10 milionów ludzi, co do dziś pozostaje fenomenem na skalę światową. To, co łączy polskich bardów, to również romantyczne wezwanie, zgodnie z którym o wolność ojczyzny trzeba się bić i warto za nią ginąć. Mickiewicz sformułował je w *Konradzie Wallenrodzie* czy III części *Dziadów*. Słowacki choćby w *Grobie Agamemnona*, kiedy zarzucał rodakom:

Mnie od mogiły termopilskiej gotów Odgonić  
legion umarłych Spartanów; Bo jestem z kraju  
smutnego Ilotów, Z kraju – gdzie rozpacz nie  
sypie kurhanów, Z kraju – gdzie zawsze po  
dniach nieszczęśliwych  
Zostaje smutne pół – rycerzy – żywych<sup>3</sup>.

Jacek Kaczmarski piosenkę *Tradycja*, będącą pozornym pamfletem na całą polską historię, w tym na ideę zbrojnej walki o niepodległość, kończył wymownymi słowami, śpiewanymi w przeciwieństwie do reszty utworu na melodię *Mazurka Dąbrowskiego*: „Jeszcze Polska wtedy żyła, gdy za nią ginęli”.

Jakie wnioski z tego dziedzictwa historyczno-literackiego wyprowadzić można w odniesieniu do pokolenia dzisiejszych dwudziestolatków? Obecna sytuacja III Rzeczypospolitej wybitnie nie sprzyja pojawieniu się artysty-piewcy zbrojnej walki o niepodległość, bo państwo jest dziś wolne i suwerenne. Problem polega na tym, że innego barda Polacy w swej historii nie mieli. Nie sposób dziś wskazać barda pokolenia ludzi II Rzeczypospolitej, a warto przypomnieć jej początki, kiedy nastąpiło wyraźne odwrócenie się poetów

od tematów narodowych. Pisał o tym Jan Lechoń w wierszu *Herostrates*:

Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze  
Jesiennych wiatrów gęźdba w półnagich bady-  
lach;  
A latem niech się słońce przegląda w motylach,  
A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zoba-  
czę<sup>4</sup>.

Pisał Antoni Słonimski w utworze *Czarna wiosna*:

Ojczyzna moja wolna, wolna...  
Więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada.  
Ojczyzna w więzach już nie biada.  
(...)  
Odrzucam oto płaszcz Konrada:  
Niewola ludów nie roznieca  
Płomienia zemsty. – Pusta heca!  
Gdzie indziej żagiew moja pada!<sup>5</sup>

Zastanawiając się nad osobą barda naszego pokolenia i jego twórczością, zdecydowanie łatwiej przewidzieć formę tej twórczości niż jej treść. Wystarczy powiedzieć, że byłaby to prawdopodobnie forma jeszcze bardziej nowoczesna i przystępna niż poezja śpiewana Jacka Kaczmarskiego. Należy spodziewać się raczej barda-observatora rzeczywistości i wyrażiciela poglądów większości Polaków niż narodowego wieszczka. Trudno oczekiwać też kolejnej recepcji Słowackiego i, wobec braku potrzeby zbrojnego poświęcenia, powszechnego powołania do „niesienia kaganka oświaty”. Bez odpowiedzi pozostaje zasadnicze pytanie: co to będzie za pokolenie? Jakie myśli i idee przekładać ma jego bard na język artystyczny?

<sup>4</sup> Jan Lechoń, *Poezje*, Warszawa 1987, s. 8.

<sup>5</sup> Antoni Słonimski, *Rozmowa z gwiazdą*, Warszawa 1961, s. 12-13.

<sup>3</sup> Juliusz Słowacki, *Podróż do Ziemi Świętej. Pieśń VIII: Grób Agamemnona*, w: tenże, *Dzieła wybrane*, tom I, Warszawa 1987, s. 423.

Prawie nie pamiętamy Polski Ludowej, a w kulturze naszego pokolenia nie ma już raczej miejsca na te tematy, które wcześniej zaprzętały myśli i angażowały siły twórcze. Sztuka, stawiająca na pierwszym planie sprawy narodowe, będąca wyrazem patriotyzmu, nie ma możliwości zaistnienia jako zjawisko kultowe. Patriotyzm ten musiałby bowiem być udziałem całego pokolenia odbiorców, a to wydaje się obecnie zupełnie nieprawdopodobne. Ale warto sięgnąć głębiej i zapytać: czy jakkolwiek idea, jakiegokolwiek przekonanie może dziś stać się udziałem całego pokolenia? W liberalnej demokracji największy nacisk kładzie się przecież na indywidualizm, pluralizm poglądów, różnorodność we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Silne poczucie tożsamości, przynależności do grupy ludzi uważa się raczej za zagrożenie. I rzeczywiście, wśród młodych Polaków przybiera ono niekiedy formy skrajnie prymitywne, jak na przykład subkultura stadionowych chuliganów. Być może zatem nie będzie nigdy mowy o naszym pokoleniowym bardzie, bo nie będzie miejsca na pokolenie jako coś więcej niż tylko, w czysto biologicznym rozumieniu, „grupa ludzi urodzonych w tym samym czasie”<sup>6</sup>. Może nie będzie miejsca na prawdziwą wspólnotę myśli i celu, o której bez wahania można mówić w odniesieniu do pokoleń: podchorążych z Powstania Listopadowego, „niepokornych” z książki Bohdana Cywińskiego, Kolumbów czy pokolenia „Solidarności”. Bo zastanówmy się, co mógłby nasz bard pisać czy śpiewać, aby dotyczyło to nas wszystkich lub przynajmniej zdecydowanej większości. Że jesteśmy różni, uczymy się, bawimy, pracujemy, mamy różne poglądy i dyskutuje-

my o nich? Paradoksalnie, sytuację tę doskonale oddają słowa Jacka Kaczmarskiego, barda naszych rodziców, z utworu *Nasza klasa*: „Wszyscy w miarę są normalni, ale przecież to niewiele”. Trudno nawet o jakąś ponadnarodową ideę, która nie byłaby jedynie modą czy kaprysem. Żeby postawić sprawę jasno, nie chodzi o to, by ten stan rzeczy poddawać druzgocącej krytyce. Tak po prostu jest, ale dla możliwości pojawienia się pokoleniowego barda perspektywa to mało optymistyczna.

Szukając podobieństw w twórczości polskich historycznych bardów, można zauważyć, że wszyscy oni buntowali się przeciwko rzeczywistości, co jest, nawiasem mówiąc, kolejnym świadectwem tego, że romantyzm pozostaje istotnym składnikiem polskiej tożsamości. Bunt ten przybierał charakter zdecydowanego protestu przeciwko zastanemu porządkowi, przede wszystkim politycznemu, stanowiąc zarazem wyraz sprzeciwu całych pokoleń Polaków. Przeciw jakiemu stanowi rzeczy my moglibyśmy się buntować? Pytanie to z pozoru banalne, bo dla młodzieży nic łatwiejszego jak znaleźć powód do buntu. Jaki więc porządek moglibyśmy uznać za wyjątkowo represyjny? Na pewno nie polityczny, bo położenie Polski jest pod tym względem najlepsze chyba od XVI wieku, a i sfera wolności obywateli, choć można tu zgłaszać zastrzeżenia, od dawna nie była tak szeroka. Bunt nasz mógłby zatem przybrać jedynie głębszy, kulturowy charakter, który ujawniłby się także przy okazji wyborów politycznych. Problem w tym, że nie ma już żadnych barier, które nie zostałyby przekroczone, żadnych tematów, które stanowiłyby wciąż tabu, żadnych wartości, które pozostawałyby nienaruszone, niekwestionowane przez nikogo. Co więc mamy kontestować? Chyba tylko samą kontestację. Sensowny bunt przeciw-

<sup>6</sup> *Nowa encyklopedia powszechna* PWN, Warszawa 1997, s. 948.

ko rzeczywistości może mieć dziś jedynie charakter konserwatywny. Może być tylko powrotem do tradycyjnych wartości, takich jak religia, dobro, prawda, poświęcenie.

O tym, że zjawisko takie jest prawdopodobne oraz o dalekosiężności jego skutków świadczy przykład dzisiejszej Ameryki. Francuski liberalny pisarz i publicysta Guy Sorman twierdzi, że wynik ostatnich wyborów prezydenckich w USA jest kolejnym efektem rewolucji konserwatywnej lat 80.: „Kerry jest bardziej »laicki«, zaś Bush bardziej natchniony. I właśnie tego bardziej natchnionego – czyli konserwatywnego – kandydata woleli Amerykanie. (...) Od lat 80. demokraci sprzeciwiają się wizji konserwatystów, wizji, której doskonałym wcieleniem był Ronald Reagan, a George W. Bush – wcieleniem bardziej niezdatnym. Demokraci nie potrafili jednak przeciwstawić tej wizji własnej koncepcji, o równie solidnych podstawach”<sup>7</sup>. Guy Sorman przekonuje również, że skutki rewolucji konserwatywnej do dziś widoczne są także przy okazji innych niż polityczne wyborów Amerykanów. Wątpliwości dotyczące braku analogii między tym przykładem a pragnieniami i myślami dwudziestoletnich Polaków rozwiewają autorzy tekstu *Generacja R* w tygodniku „Wprost”<sup>8</sup>. Okazuje się, że 80% osób poniżej 25. roku życia deklaruje przywiązanie do tradycyjnych wartości: „gdyby ująć te przekonania w hasło reklamowym, mogłoby on brzmieć 4 razy R: Rodzina, Rynek, Religia, Rozsądek”. Jesteśmy w szych ocenach i poglądach bardziej konserwatywni zarówno od rówieśników z Europy Zachodniej, jak i od własnych rodziców, a socjologowie

twierdzą, że jest to właśnie „reakcja na zmianę ustrojową i związane z nią niebezpieczeństwo anomii (czyli zaniku norm w życiu społecznym)”. Jednak najistotniejszą rolę w tym procesie odgrywa na pewno Kościół katolicki, będący instytucją dla młodych Polaków wciąż niezwykle ważną. Jest to poza tym jedyne już chyba miejsce, gdzie czeka na nich tak wielka i prawdziwa, a jednocześnie zupełnie dobrowolna, wspólnota myśli i celu, a to przecież warunek zaistnienia pokolenia w rozumieniu socjologicznym. Nie jest zatem wykluczone, że bardem naszego pokolenia będzie poeta z gitarą śpiewający o Bogu, rodzinie i miłości. Być może ktoś, kto tradycyjne wartości będzie potrafił wyrazić w bardziej nowoczesnej formie. Szczególnie, że z takimi próbami mamy już do czynienia: rock chrześcijański Roberta Friedricha czy występ hiphopowców przed Janem Pawłem II. Nie sposób na razie wskazać pokoleniowego barda, ale kto wie, może droga wiedzie właśnie tędy.

Dużo łatwiej byłoby znaleźć pokoleniowego barda wśród artystów występujących na placu Niepodległości w Kijowie. Młodzi Ukraińcy na naszych oczach przeżyli bowiem swoje pokoleniowe wydarzenie, które jeszcze długo pozwoli im tworzyć wspólnotę opartą na pewnym istotnym doświadczeniu. Jak bardzo może być ona trwała, świadczy przykład „Solidarności”. Politycy obozu posierpniowego w III Rzeczypospolitej potrafili po wyborach 1997 roku tworzyć razem rząd, opierając się właśnie na wspólnej przeszłości, bo o wspólnych celach czy przekonaniach od dawna nie mogło już być mowy. Czy nas czeka wydarzenie lub proces, które pozwolą nam stać się pokoleniem, nie mam pojęcia. Przewidywania dotyczące polskiej rewolucji konserwatywnej, choć bardzo za-

<sup>7</sup> Guy Sorman, *Ameryka imperialna*, w: „Europa – tygodnik idei” (dodatek do dziennika „Fakt” nr 33 z 17 XI 2004).

<sup>8</sup> Mariusz Cieślak i Kaja Szafrańska, *Generacja R*, „Wprost”, nr 1154 z 16 I 2005.



chęcąjące, również pozostają przecież w sferze prognoz, żeby nie powiedzieć: luźnych dywagacji. A jeśli nie stworzymy pokolenia jako prawdziwej wspólnoty, również na barda nie ma co liczyć. Czy lepiej więc, byśmy taką wspólnotę mieli? Mam mieszane uczucia. Z jednej strony serce bije mocniej, kiedy widzi się Ukraińców na Placu Niepodległości lub ogląda kroniki filmowe z lat 80. Rozum przypomina jednak, że wszystkie polskie „pokolenia” spotykały wydarzenia mniej lub bardziej tragiczne, a ich bardom też wiodło się bardzo różnie. Pytanie brzmi zatem: czy można wyobrazić sobie wspólnotę Polaków jednego pokolenia oraz jej barda w okolicznościach innych niż zagrożenie narodowego bytu? Odpowiedzi niestety nie znam.

TOMASZ STEFANEK (ur. 1984), studiuje prawo na Uniwersytecie Warszawskim.

MARCIN ŻYŁA

## nikt już nie jedzie do graceland

*The Mississippi Delta was shining  
like a National guitar  
I am following the river down the  
highway  
Through the cradle of the civil war  
I'm going to Graceland, Graceland  
In Memphis, Tennessee*

Kiedy prawie dwadzieścia lat temu Paul Simon śpiewał tak o swoim „pielgrzymowaniu” do Graceland, miejsca szczególnego dla fanów rock’n’rolla, niewiele znaków zapowiadało, że powoli kończy się okres sprzyjający takim sentymentalnym wyprawom. Jeszcze nie przebrzmiały echa Live Aid, wielkiego i – wbrew głosom krytyków – spontanicznego koncertu dla głodującej Afryki, a świat kultury popularnej wchodził już w erę płyt kompaktowych i komputerów. W świadomości mas piosenka stała się po prostu zbiorem danych, a wykonawcy musieli przystrzyc nieco swoje długie, rockowe włosy, żeby ładniej prezentować się w telewizji...

Prawdziwy rock’n’roll nie umrze pewnie nigdy i zawsze znajdzie świadomych odbiorców, ale rozumiana nieco szerzej muzyka popularna dawno utraciła kontakt ze swoją publicznością, przestała być dialo-



giem z młodymi ludźmi; dialogiem wprowadzie ułomnym, a może nawet nieco prymitywnym, ale dla niektórych jedynym.

Różnorodność gatunkowa rocka, szczególnie szybko wzrastająca począwszy od lat 60., powodowała wyodrębnianie się specyficznych grup odbiorców tej muzyki. Dotyczyło to przede wszystkim subkultur (jak choćby *mods* – brytyjscy fani The Who), ale niektóre zespoły wiązały ze swoją muzyką ludzi bardzo różnych. Fenomen Depeche Mode, którego wielbiciele do dzisiaj organizują regularne zloty fanów, to jeden z najbardziej wyrazistych przykładów. Muzykę popularną rozumiano w inny sposób w różnych krajach, dlatego np. w Japonii większą niż gdzie indziej popularnością cieszył się tzw. rock progresywny.

Kontakt między wykonawcą a słuchaczem był bardziej bezpośredni, a stacje radiowe – nawet jeśli w socjalistycznej Polsce była to tylko „Trójka” – cieszyły różnorodnością muzyki popularnej. W dodatku ambitniejszych nagrań można było słuchać z „merytorycznym” przygotowaniem, które zapewniali wiedzący wszystko prezenterzy...

Kultura zawsze wyrastała z tradycji, była sposobem uczestnictwa w doświadczeniach poprzednich pokoleń – a zatem rodzajem dziedzictwa. Udział w kulturze polegał na postępowaniu w zgodzie z ustalonym rytuałem i łączeniu się w ten sposób z poprzednimi pokoleniami. Współczesna kultura masowa to całkowite zaprzeczenie takiego podejścia, między innymi dlatego, że nie uznaje żadnej hierarchii kulturowej, a jej siłą napędową i wyróżnikiem jest wyłącznie pieniądź.

W jednym z numerów „Res Publiki” sprzed kilku lat Dariusz Gawin z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN pisał, że początkiem procesu kształtowania się kultury popularnej jest „pomieszenie sposobów istnienia różnych poziomów kultury”. Masy – które w liberalnym społeczeństwie są siłą

dominującą – narzucają własne standardy. Ich upodobania wyznaczają zadania kultury i w ten sposób ta ostatnia musi się „umasowić”. Powinna na przykład dostarczać rozrywki, która stanowi jedną z podstawowych potrzeb mas. Celem produktów takiej kultury jest natychmiastowa konsumpcja pozostająca w całkowitej sprzeczności z trwaniem, które stanowi o sensie kultury wysokiej.

Idee i pomysły autorów schodzą więc na plan dalszy. Część twórców zaczyna schlebzać gustom odbiorców i tworzyć, uwzględniając zwykły bilans zysków i strat. Muzyka rozrywkowa ujednocila się, stacje radiowe nie chcą ryzykować utraty słuchaczy i wszystkie grają to samo. Piosenki nie są już autorskie – właściwie należą do wszystkich, można więc bez skrępułów je kopiować... Utwory nie istnieją, jeśli nie poparto ich atrakcyjnym teledyskiem: nie tak dawno w tramwaju podsłuchałem rozmowę dwóch nastolatków, z których jeden pytał: „czy widziałeś ostatnią piosenkę (tu następowało nazwisko wykonawcy)?”. Sklepy muzyczne zamieniły się w popkulturalne supersamy, w których sprzedawcy pytają, czy Led Zeppelin to imię i nazwisko czy może na odwrót (to też autentyczna historia!).

W tym nieprzyjaznym dla rocka klimacie dominują formy jeszcze bardziej od niego proste, jak choćby suche, pozbawione uczuć techno. Ambitniejsza muzyka młodzieżowa przestała się liczyć tak bardzo, że trzeba było znaleźć dla niej nową, poprawną politycznie nazwę – muzyka alternatywna.

Droga do Graceland jest dziś wyjątkowo pusta.

MARCIN ŻYŁA (ur. 1979) studiuje psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

## Zespół

Wojciech Bonowicz, Halina Bortnowska, Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, Stanisław Grygiel, ks. Michał Heller, Waclaw Hryniewicz OMI, ks. Jan Kracik, ks. Grzegorz Ryś, Marek Skwarnicki, Stanisław Stomma, Władysław Stróżewski, ks. Tomasz Węclawski, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski

## Redakcja

Michał Bardel (sekretarz redakcji), Olgierd Chmielewski (opracowanie graficzne), Jarosław Gowin (redaktor naczelny), Janusz Poniewierski, Krystyna Strączek, Karol Tarnowski, Łukasz Tischner, Stefan Wilkanowicz (przewodniczący Fundacji Kultury Chrześcijańskiej ZNAK), Elżbieta Wolicka, Henryk Woźniakowski, Dorota Zańko

### NOWE, KORZYSTNE WARUNKI PRENUMERATY

Cena pojedynczego numeru – 18 zł.

Cena numeru w prenumeracie:

przy zakupie jedenastu kolejnych numerów – 12 zł; sześciu numerów – 14 zł;  
trzech numerów – 16 zł.

### UWAGA!

Numer wakacyjny (lipiec/sierpień) jest łączony.

PRENUMERATĘ można rozpocząć od wybranego numeru. Cena prenumeraty w 2005 roku: prenumerata roczna 11 numerów: 132 zł, 6 numerów: 84 zł, 3 numery: 48 zł. Wpłaty przyjmuje SIW Znak Sp. z o.o., ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, 80 1440 1127 0000 0000 0197 0054 (Nordea Bank Polska S.A., Królewska 51, Kraków).

Prenumeratę miesięcznika „Znak” prowadzi dział handlowy SIW ZNAK. Wpłatę kwoty na prenumeratę rozpoczynającą się od wybranego numeru proszę zgłaszać pod numerem bezpłatnej infolinii: 0800 130 082, na adres e-mail: [dzial\\_handlowy@znak.com.pl](mailto:dzial_handlowy@znak.com.pl) lub przesłać na nr faksu: (+12) 61 99 563.

DO PRENUMERATY zachęcamy Czytelników mieszkających poza Polską. Roczną prenumeratę zagraniczną można rozpocząć od wybranego numeru. Koszty prenumeraty wraz z opłatą za wysyłkę lotniczą: Europa – 62 euro lub 72 \$, Ameryka Pn. i Afryka – 87 \$, Ameryka Pd. i Łac., Azja – 107 \$, Australia i Oceania – 132 \$. Wpłaty w złotychkach (według aktualnego kursu NBP) proszę kierować pod adresem jw.

KAŻDY PRENUMERATOR jest członkiem Klubu Przyjaciół Znak i otrzymuje zaproszenia na wszystkie spotkania i dyskusje organizowane przez miesięcznik „Znak”.

KAŻDY PRENUMERATOR otrzymuje raz w roku nieodpłatnie książkę. W roku 2005 jest to *Słowo o slobdzie. Kazania spod Turbacza* ks. Józefa Tischnera z kasetami.

PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA PROWADZONA PRZEZ „RUCH”

Cena prenumeraty w I kwartale 2005 wynosi 48 zł. Szczegółowe informacje we właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora oddziałach „Ruch” lub w urzędach pocztowych. Prenumerata zagraniczna jest o 100% droższa od prenumeraty krajowej i za I kwartał 2005 r. wynosi 96 zł.

#### adres redakcji:

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37, tel. (+12) 61 99 530, fax (+12) 61 99 502;

e-mail: [miesiecznik@znak.com.pl](mailto:miesiecznik@znak.com.pl)

Dział reklamy i promocji, tel./fax: (+12) 61 99 550

Materiałów niezamówionych nie odsyłamy

Nakład 2400 egz.

Skład i łamanie: Łukasz Mazurkiewicz

Druk: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16



**Polacy są z Marsa, Niemcy z Wenus?, s. 10**

Arkadiusz Stempin: A gdyby tak zorganizować i uczcić rocznicę Powstania Warszawskiego w Roku Polsko-Niemieckim (2005) meczem reprezentacji Niemiec i Polski, poprzedzając transmisję telewizyjną u naszych sąsiadów filmem o losach tego najbardziej tragicznego momentu sprzężenia w dziejach obydwu narodów?



**Społeczność ludzi wolnych, s. 62**

Ks. Tomasz Węclawski: Jestem księdzem i także dlatego wiem dobrze, ile jest moralnego nieszczęścia (we mnie samym i w innych). Wiem, jak jest. Jednakże właśnie dlatego wiem też, że ucieczka przed tym, co się nagromadziło w nas samych i w ludziach wokół nas, prowadzi donikąd.



**Lato 1979, s. 72**

Marek Lasota: Jeszcze na kilkanaście dni przed przyjazdem Jana Pawła II Breżniew miał przekonywać Gierka słowami: „Powiedzcie papieżowi, on mądry człowiek, żeby oświadczył publicznie, że nie może przyjechać, bo zachorował”. Ale zatrzymanie maszyny organizacyjnej było już niemożliwe, pozostały więc intensywne działania aparatu bezpieczeństwa w PRL mające (...) ograniczyć szkodliwe dla Polski Ludowej skutki papieskiej wizyty.



**O książkach o. Michała Zioly, s. 150–151**

Katarzyna Wiśniewska: ... służyć nieużytecznym jest nie tylko eremita, lecz i człowiek żyjący „w świecie” – ten, kto posiadał miłą pewnością należytego wypełniania doczesnego obowiązku i co dzień pracowicie zaznacza swoją obecność na ziemi.



**Mało się interesuję muzyką, s. 170**

Kazik Staszewski: Z wiekiem uświadamiam sobie coraz wyraźniej: artyści są błaznami. Po prostu dostarczają ludziom rozrywki. Pamiętajmy jednak, że na niejednym dworze błazen bywał bardzo istotnym komentatorem, ba, nawet doradcą króla.

Za miesiąc: **Kobieta w świecie – kobieta w Kościele**

